FELIETON WOJCIECHA CEJROWSKIEGO

Kto gra w durnia z Polakami w sprawie wojny na Ukrainie?

Piotr Semka recenzuje książkę o Jarosławie Kaczyńskim

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 21/579 20–26 MAJA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

JACEK PAŁKIEWICZ

Z WIZYTĄ U POTOMKÓW KANIBALI

Jak z gwar śląskich próbuje się na siłę zrobić język

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 52 000 egzemplarzy

Inwazja perwersji

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK ADAMCZEWSKI: „ZAGROŻONE DZIEDZICTWO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~869~~ ZŁ

404,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 465ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9062e47cf9

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polskie interesy na Bliskim Wschodzie

Miałem nadzieję, że po kwietniowych występach ambasadora Ja'akowa Liwnego w Warszawie przynajmniej na pewien czas będzie można liczyć na spokój. Że, najkrócej mówiąc, otrzeźwieje. Nic z tego. Izraelski dyplomata znowu pokazał butę i pychę. Zachowuje się w Polsce nie jakby był gościem, ale wielkorządcą.

Przypomnę, że w kwietniu po spotkaniu z wiceszefem polskiego MSZ wyraził „osobisty głęboki smutek i szczere przeprosiny" z powodu tragicznej śmierci pracowników World Central Kitchen, w tym polskiego obywatela Damiana Sobóla. Zrobił to, mimo że wcześniej przez kilka dni oskarżał Polaków o antysemityzm, a głosy domagające się przeprosin za śmierć wolontariusza zabitego przez armię izraelską (wszystko wskazuje na to, że z premedytacją) puszczał mimo uszu.

Teraz ten sam ambasador publicznie w bardzo ostry sposób skrytykował poparcie Polski dla zaproszenia Palestyny na forum ONZ. „Polska popierająca członkostwo Palestyny w ONZ po masakrze 7.10 to […] niebezpieczny precedens nagradzania agresora" – napisał Ja'akow Liwne w mediach społecznościowych. Następnie porównał decyzję Warszawy do polityki państw bloku wschodniego sprzed 1989 r. W jego ocenie uznanie Palestyny na forum ONZ to „kontynuacja antyzachodniej decyzji z 1988 r. pod przewodnictwem Sowietów o uznaniu »państwa palestyńskiego«". Według niego Polska „nagradza Iran i Hamas przeciwko stanowisku USA i Izraela". Stanowisko polskiego MSZ uważa on za „całkowite naruszenie Karty ONZ dla celów politycznych". „To decyzja błędna i szkodliwa dla bezpieczeństwa, stabilności i Polski" – podsumował Liwne.

Pomijam już kwestię stosowności tonu tej wypowiedzi ambasadora – nie wydaje mi się, żeby inni dyplomaci tak otwarcie pouczali państwo, na którego terenie przebywają, i mówili mu, jaką ma prowadzić politykę. Ważniejsze, że wszystkie jego argumenty są błędne. Otóż inaczej, niż twierdzi ambasador Liwne, Polska żadnego agresora nie nagradza. Głosowanie za przyznaniem Palestynie prawa do państwowości jest z wielu powodów decyzją rozsądną i zgodną z polskimi interesami.

Po pierwsze, mimo wszelkich możliwych protestów obecna odpowiedź Izraela na atak Hamasu dawno już przekroczyła wszelkie granice tak obrony koniecznej, jak najszerzej rozumianego prawa do wymierzenia sprawiedliwości. Z faktu, że należy potępić działania terrorystów i ich zwalczać, do czego Izrael ma prawo, nie wynika, że wolno pozwolić zabijać Izraelowi wszystkich Palestyńczyków jako potencjalnych terrorystów. Takie podejście, a w praktyce można je zaobserwować od miesięcy, to skrajny przykład stosowania zasady odpowiedzialności zbiorowej. Zabijanie tysięcy kobiet i dzieci, dążenie do całkowitego oczyszczenia terenów Palestyny z Arabów nie mogą być usprawiedliwione. Zarzuty ludobójstwa mają tu poważne podstawy. Wiele wypowiedzi tak samego premiera Beniamina Netanjahu, jak innych polityków jego rządu wskazuje na to, że ich celem jest całkowite wyrugowanie Palestyńczyków i osiedlenie w ich miejscu Żydów.

Po drugie, Polska nie ma żadnego interesu w tym, żeby na wyczyny żydowskich żołnierzy zabijających cywilów patrzeć przez palce. Najważniejsi politycy izraelscy wiele razy publicznie atakowali nasz kraj, przypisując Polakom antysemityzm i oskarżając, z roku na rok coraz głośniej, o udział w Holokauście. Zamiast zabiegać o życzliwość i docenić polski wkład w ratowanie Żydów podczas wojny, zawsze są pełni uraz, pretensji i roszczeń. W takiej sytuacji głosowanie za przyznaniem Palestyńczykom prawa do własnego państwa jest nie tylko słuszne moralnie, lecz także dla Polski korzystne. Izraelscy politycy liczą się tylko z siłą, dlatego dobrze, że Polska pokazała im, że również rozumie, na czym siła polega. Skoro nie są w stanie powściągnąć wrogości wobec Polski, to nie mogą liczyć na taryfę ulgową.

Po trzecie, nie wydaje się, żeby bez przyznania Palestyńczykom państwa dało się rozwiązać konflikt na Bliskim Wschodzie. Im dłużej on trwa i im bardziej jest krwawy, tym większe prawdopodobieństwo pojawienia się w Europie kolejnej gigantycznej fali uchodźców arabskich. Przecież te setki tysięcy, miliony Palestyńczyków będą musiały gdzieś znaleźć sobie miejsce do życia, jeśli Izrael się ich ostatecznie pozbędzie. Niektórzy żydowscy rabini wprost mówią, że skierowanie do Europy wielkiej arabskiej fali migrantów jest pomysłem na dalsze destabilizowanie Zachodu. Dlatego powstanie palestyńskiego państwa, a nawet nadzieja na to powstrzymują ewentualny, masowy exodus.

Po czwarte, wreszcie Polska w żadnym stopniu nie wspiera Iranu i nie jest przeciw USA. Owszem, Warszawa uznaje Stany Zjednoczone za sojusznika, ale to nie znaczy, że będzie ślepo wykonywać nawet ich nieroztropne i błędne decyzje. Wprawdzie Joe Biden zadeklarował, że jest syjonistą, ale to nie znaczy, że syjonistami mają być Polacy. Czyżby głosowanie Polski w ONZ było przejawem tak rzadkiej w ostatnich latach suwerenności w relacjach z Waszyngtonem? ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

TEMAT TYGODNIA

16 ZUZANNA DĄBROWSKA
KIM JEST NEMO?
Festiwal perwersji

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRZEBRANIA WYBORCZE
Powiedzą wszystko, by wygrać

23 PIOTR SEMKA
KLUCZ CZY WYTRYCH?

26 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
TUSK NIE JEST SZCZERY Z ROLNIKAMI

30 PAWEŁ CHMIELEWSKI
NAJTRUDNIEJSZA MISJA BISKUPA WAŻNEGO

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
PROBLEM SIĘ ROZKRĘCA

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
TARANTINO FICTION
Twórca „Django" o swoich fascynacjach filmowych

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 MAREK JUREK
EUROFATALIZM JAKO PROGRAM POLITYCZNY
Polityka wymaga powagi

46 ALEKSANDRA NIEWIARA
SŁUCHAJMY JĘZYKOZNAWCÓW

50 FILIP MEMCHES
HISTORIA LEWICOWO ZAANGAŻOWANA

HISTORIA

52 SŁAWOMIR SIWEK
WOJNA PZPR Z PIELĘGNIARKAMI
Siostry odsuwane od pacjentów

ŚWIAT

56 MACIEJ PIECZYŃSKI
RZĄD DŁUGIEJ WOJNY
Co oznaczają zmiany na Kremlu

60 WITOLD REPETOWICZ
BOSKA MISJA JUDEJCZYKÓW

63 ROZMOWA Z PROF. MIGUELEM AYUSO TORRESEM
DLA HISZPANII NIE MA JUŻ RATUNKU

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
MODA NA SCHRONY
Jak przeżyć armagedon

70 ŁUKASZ WARZECHA
UNIA ABSURDALNYCH REGULACJI

PODRÓŻE

72 JACEK PAŁKIEWICZ
U POTOMKÓW KANIBALI
Z dala od cywilizacji

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (59), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 9062e47cf9

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jens Bittner/DPA/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA
FIRMA RODZINNA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Osiem lat wodzenia za nos", Jan Fiedorczuk, „DRz" nr 17–18/2024

Szanowni Redaktorzy,
z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Jana Fiedorczuka „Osiem lat wodzenia za nos" („Do Rzeczy" nr 17–18 2024) na temat katastrofy smoleńskiej obalającej mit zamachu [...]. Cała ta podkomisja smoleńska to istna farsa, osiem straconych lat i żadnych efektów, nie mówiąc o braku sprowadzenia wraku. W mit zamachu wierzy nadal ok. 36 proc. obywateli i to jest ten twardy elektorat, który pozwala na w miarę dobre wyniki wyborcze. Jednak nie na długo.

Każde społeczeństwo ma swoje mity czy półbogów. Dla jednych to superkanclerz typu Bismarck (w większości zbrodniarze), superkrólowie typu Leopold II Koburg (nie mniejsi zbrodniarze) czy mit Holokaustu (naprawdę był Shoah/Zagłada). Bez mitów żyje się ciężko, a jeśli ich nie ma, to trzeba je wynaleźć lub zapożyczyć. Teraz ukraińscy pseudonaukowcy na wzór Putina piszą swoją historię/mity, na nowo odnosząc się do nas, Polaków, nie najlepiej pomimo naszego wysiłku militarnego i społecznego. Czego się nie robi dla budowy mitu? Odsłuchałem wiele nagrań z ostatnich chwil lotu do Smoleńska, obejrzałem filmy na ten temat w wielu wersjach i trudno było mi uwierzyć w zamach.

Nie znaczy to, że zbrodniarze ruscy nie są zdolni do każdej zbrodni. Nie winię nikogo z delegatów za katastrofę, w tym śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, ale zejście poniżej określonej wysokości (100 m) w złych warunkach (mgła) było błędem. Dodatkowo stan techniczny lotniska był katastrofalny. Uważam, że samolot też nie był w dobrej kondycji, skoro nie był w stanie odejść na drugi krąg. Zginęło niepotrzebnie 96 zacnych, szanowanych osób, to wielka strata i należy im się pamięć. Proszę redakcję TV Republika o wyświetlenie dokumentu na temat katastrofy prezentowanego przez stację Planete. Oddaje ten dokument klimat całego zdarzenia.

Uporczywe wmawianie społeczeństwu zamachu nie ma sensu i przed każdymi wyborami będzie dzieliło/odstraszało wyborców. Nie ma ludzi gorszego sortu. Są wolni obywatele wielkiego, dumnego narodu zasługujący na poważne traktowanie. Czas zmienić narrację i wsłuchać się w ich głos.

Pozdrawiam
Mariusz Czech, stały czytelnik

Wyjaśnienie

W tekście Krystiana Kratiuka pt. „Co dalej z Domami Polskimi w Jerozolimie?" („Do Rzeczy nr 20/2024) omyłkowo zamieściliśmy zdjęcie z kaplicy w Papieskim Instytucie Notre Dame w Jerozolimie, za co przepraszamy.

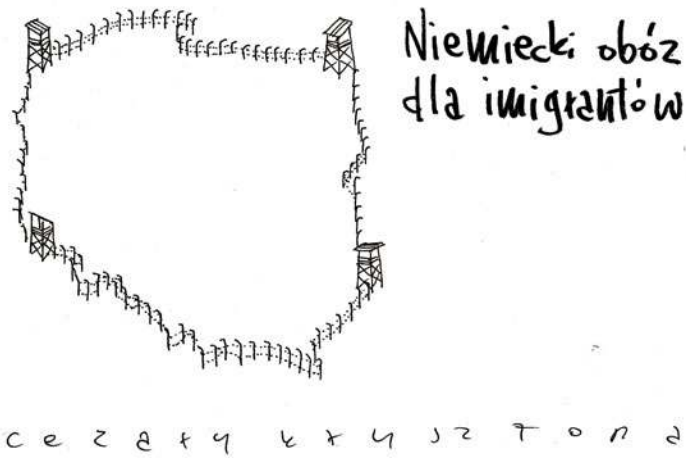

eprasa.pl 9062e47cf9

STRZAŁY NA SŁOWACJI. KRWAWY ZAMACH NA PREMIERA FICĘ

15 maja Słowacja zamarła. Gdy premier Robert Fico po wyjazdowym posiedzeniu rządu w miejscowości Handlová podszedł przywitać się z ludźmi, zamachowiec oddał w jego kierunku aż pięć strzałów. Szefa rządu w Bratysławie trafiły trzy wystrzelone z bliska pociski. Obrażenia 59-letniego Roberta Ficy były tak rozległe, że nie było czasu, aby przetransportować go do szpitala w Bratysławie. W klinice w Bańskiej Bystrzycy słowacki premier przeszedł pięciogodzinną operację.

Sprawcą okazał się 71-letni nieznany szerzej poeta i pisarz Juraj C., który podczas przesłuchania powiedział, że „nie zgadzał się z polityką rządu". Sprawca został więc oskarżony o usiłowanie zabójstwa z premedytacją.

„Jestem zbulwersowany tym, do czego może prowadzić nienawiść do osób o odmiennych poglądach politycznych. Nie musimy się ze wszystkim zgadzać, ale istnieje wiele sposobów, aby wyrazić nasz sprzeciw w sposób demokratyczny i prawny" – mówił prezydent elekt Peter Pellegrini, który po krótkich odwiedzinach u premiera oznajmił dziennikarzom, że szef rządu „był o włos od śmierci". Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", premier Słowacji był „w stanie stabilnym, ale poważnym". W obecnym tygodniu lekarze mają rozważyć przetransportowanie go do szpitala w Bratysławie. ***(jap)*** ©℗

FOT. RADOVAN STOKLASA/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 9062e47cf9

eprasa.pl 9062e47cf9

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Za Tatrami mgła

Zamach na słowackiego premiera Roberta Ficę wywołał falę medialnych spekulacji wokół możliwych przyczyn i ewentualnych zleceniodawców. Najczęściej brane są pod uwagę cztery możliwości.

Według pierwszej teorii 71-letni zamachowiec Juraj Cintula, pisarz i poeta, który pracował ostatnio jako ochroniarz w jednym ze słowackich centrów handlowych, był po prostu niezrównoważonym psychicznie, zgorzkniałym przeciwnikiem władzy. Działał sam, bez niczyjej inspiracji.

Wersja druga stawia pytanie, czy zamach na Ficę nie był scenariuszem „pisanym cyrylicą". Miałby on z jednej strony wzmocnić pozycję u władzy prorosyjskej partii SMER premiera Roberta Ficy, a z drugiej – pogłębić korzystny dla Moskwy wewnętrzny konflikt polityczny na Słowacji. Krytycy tego typu podejrzeń pytają: Dlaczego Moskwa miałaby ryzykować śmierć prorosyjskiego polityka, którym jest Fico? Kreml jednak często poświęca swoje pionki, a nawet jeśli Fico wskutek odniesionych ran wycofa się na pewien czas z polityki, to u władzy pozostanie wzmocniona współczuciem dla premiera partia SMER.

Trzecia – popularna w sieci wersja – rzuca podejrzenie na rząd w Kijowie, ale jest to zazwyczaj oznaka daleko posuniętej ukrainofobii.

Czwarta wersja zakłada, że mogła być to zemsta mafii słowackich za to, że premier Fico nie wywiązał się z jakiejś umowy. Przenikanie się świata polityki i przestępczości zorganizowanej jest za Tatrami wielkim problemem. Przerażającym przykładem potęgi i bezkarności mafii było zamordowanie w lutym 2018 r. dziennikarza śledczego Jána Kuciaka wraz z jego narzeczoną Martiną Kušnirovą. Śledztwo nie pomogło ustalić żadnego winnego tej ponurej zbrodni, a demonstranci, którzy wyszli na ulice Bratysławy po tym haniebnym czynie, wskazywali na liczne powiązania ówczesnego rządu Roberta Ficy oraz komendanta głównego policji Tibora Gašpara ze strukturami mafijnymi. Otwarcie mówiono o parasolu ochronnym rozpiętym przez ludzi z ekipy Ficy nad zleceniodawcami zamachu. Istotnie, ostatecznie tylko jedna osoba została skazana na 25 lat więzienia za zabójstwo Kuciaka, a pozostałych dwoje oskarżonych uniewinniono. Ówczesna fala oburzenia społecznego odsunęła Ficę od władzy, ale lider partii SMER wrócił do niej w 2023 r.

Jeden ze słowackich dzienników zamieścił niedawno wstrząsający tekst o górskim kurorcie Tatrzańska Łomnica. Według dziennikarzy śledczych wszystkie najbardziej lukratywne gałęzie usług tego miasta podzielone są według stref wpływów lokalnych mafii. Według dziennikarzy mafia kontroluje przemysł gospodarowania śmieciami, czerpie zyski z machlojek przy odzyskiwaniu VAT czy z pozyskiwania funduszy europejskich.

W czwartek 16 maja minister spraw wewnętrznych Słowacji, Matusz Szutaj Esztok, oświadczył, że śledczy pracują już tylko nad jedną wersją wydarzeń – działaniem zamachowca jako samotnego wilka niemającego żadnych szerszych powiązań. Skąd tak szybkie wykluczenie innych scenariuszy?

Nad śledztwem w sprawie zamachu na Ficę gęstnieje mgła. ©℗

FOT. IMAGO/IMAGO SPORT/FORUM

POLSCY PIŁKARZE Z PUCHAREM WŁOCH

Juwentus – drużyna Wojciecha Szczęsnego i Arkadiusza Milika – kolejny raz zdobyła Puchar Włoch. Sam Milik kolejny raz został bohaterem włoskich kibiców i mediów. Trzydziestoletni polski napastnik zdobył w tym roku tytuł króla strzelców Pucharu Włoch (Coppa Italia). Do triumfu Polakowi wystarczyły w tym sezonie rozgrywek zaledwie cztery gole. To już drugi Coppa Italia w karierze Arkadiusza Milika – pierwszy zdobył w 2020 r., jeszcze w barwach SSC Napoli. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU

NBP INFORMUJE

„

**NARODOWY BANK POLSKI
NIEZALEŻNY OD RZĄDU I PARLAMENTU
ORAZ STABILNA WŁASNA WALUTA
SĄ FINANSOWĄ PODSTAWĄ
ROZWOJU GOSPODARCZEGO POLSKI
I WZROSTU DOBROBYTU JEJ OBYWATELI.**

„

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl 9062e47cf9

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Klapki emira

Portal Onet – a za nim kilka innych mediów – ogłosił kolejną kompromitację PiS-owskiego prezydenta: podczas forum ekonomicznego w Doha emir Kataru, Tamim ibn Hamad Al Sani, na spotkaniu z Andrzejem Dudą miał na nogach klapki. „Zlekceważył polskiego prezydenta? Ekspert nie ma wątpliwości!". Ekspert to niejaki Janusz Sibora, który jako „specjalista od protokołu dyplomatycznego" wyskakuje jak diabeł z pudełka przy każdej kolejnej tego typu publikacji TVN czy RASP. Premier Szydło ubrała się w żółtą garsonkę? Skandal! Prezydent Trump siedział przy biurku, podczas gdy prezydent Duda stał? Kompromitacja! Premiera Morawieckiego ustawiono do zbiorowego zdjęcia w drugim szeregu? Ostateczny dowód upadku międzynarodowego znaczenia Polski pod rządami PiS! – grzmi dyżurny ekspert Sibora.

Wszystkie to było, jak to prosty lud mówi, z zupy wzięte. Na żółto na tym samym szczycie ubrana była i Angela Merkel, zdjęcie przy historycznym biurku, przy którym siada tylko prezydent USA, dokładnie tak samo wyglądało, gdy odwiedzali go przywódcy krajów G20, a ustawienie do zdjęcia na spotkaniach UE nie ma nic wspólnego z kodem pierwszomajowej trybuny w ZSRS. W przypadku klapek też oczywiście mamy do czynienia z brednią. Emir Kataru ubiera się zawsze w tradycyjny strój swego kraju, którego białe sandały są nieodłączną częścią. Ma je na nogach na zdjęciach z prezydentami USA, Francji, Rosji, Chin czy kanclerzem Niemiec. Równie dobrze mogliby Onet ze swoim Siborą bredzić, że emir upokarza rozmówców, nie zdejmując z głowy arabskiej chusty obwiedzionej na czubku głowy czarnym sznurem.

Niby drobiazg – prawa strona Internetu miała chwilę beki, wydobywając zdjęcia emira z innych spotkań, lewa – chwilę orgazmicznych uniesień, jak to znowu dowalono znienawidzonemu PiS i prezydentowi, a dr Sibora jeszcze jedną szansę zaistnienia. Jakby powiedziała pani Bieńkowska: takie mamy media, sorry. W rzeczy samej – takie macie media. I ekspertów. Całe szczęście, że Polacy, mimo starań cenzorów Tuska, wciąż mają dla nich alternatywę. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Królu Zygmuncie!

Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy, usuwa krzyże z urzędów. Nie wiem, kiedy ostatni raz czytał konstytucję, ale z pewnością powinien wziąć przykład z marszałka Hołowni i poczytać. Nawet jeśli nad konstytucją nie będzie jak marszałek płakał, powinien nad nią medytować.

Chyba że zamiast medytować, będzie jednak płakał ze złości. Przecież konstytucja to nie tylko tysiąckroć przywoływane stwierdzenie socjologicznego faktu, że „naród polski" to „zarówno wierzący w Boga […], jak i niepodzielający tej wiary", lecz także deklaracja, że samą konstytucję ustanawiamy „w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem lub przed własnym sumieniem". I to stwierdzenie, że odpowiedzialność przed Bogiem jest podstawą referendalnego przyjęcia konstytucji przez miliony Polaków, ma (również potwierdzone przez konstytucję) praktyczne i kulturowe konsekwencje. Bo niezależnie od wspomnianych na początku socjologicznych różnic „my, Naród Polski – wszyscy" jesteśmy naszym przodkom „wdzięczni za kulturę zakorzenioną w chrześcijańskim dziedzictwie narodu". Wiceprzewodniczący PO tę konstytucyjną wdzięczność anulował, skoro tylko jego partia ogłosiła, że konstytucja obowiązuje tylko o tyle, o ile Unia Europejska się na to zgadza.

I co teraz będzie z symbolem Starej Warszawy – królem Zygmuntem, który stoi nad stolicą z krzyżem w ręku?! Wprawdzie rozporządzenie prezydenta Trzaskowskiego łaskawie pozwala na „symbole noszone na użytek osobisty", ale Zygmunt III wielki krzyż dzierży bynajmniej nie „na użytek osobisty". No więc co z kolumną? Prezydent Trzaskowski zabierze królowi krzyż? Ekspediuje Zygmunta III na Miodową, na dziedziniec rezydencji arcybiskupów warszawskich? A może usunie kolumnę z placu Zamkowego i ustanowi gdzieś na peryferiach miasta jakąś Kozłówkę dla licznych w Warszawie pomników kultury katolickiej? Nie wiem, ale najlepiej byłoby chyba prezydenta Trzaskowskiego do Kozłówki wysłać. ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Zakrzyczeć, wybuczeć, zelżyć

To prawdziwe, choć niewypisane na sztandarach hasło przyświecające walczącej o lepszy świat włoskiej młodzieży. Zgodnie z przewidywaniami bojówki propalestyńskich manifestantów zaatakowały chroniony kordonem policji Salon Książki w Turynie. I to mimo że organizatorzy wpuścili delegację protestujących z palestyńskimi z flagami, a wielu literatów występowało w arafatkach. Jest więc jasne, że chodziło nie tyle o sprawę palestyńską, ile o wywołanie burdy.

Innym celem kontestacji były zorganizowane przez związane z Kościołem Forum Stowarzyszeń Rodzinnych Stany Generalne w sprawie dzietności. Chodziło o włoski kryzys demograficzny. Impreza w watykańskim audytorium była otwarta dla wszystkich. Setka kontestatorów, uczniów i studentów gwizdami i krzykami nie pozwoliła na wystąpienie minister do spraw rodziny Eugenii Roccelli. Ta zaprosiła na estradę protestujących. Odczytali swój manifest pod hasłem: „Ja decyduję o swoim ciele", ale potem kocią muzyką zmusili Roccellę do zejścia z estrady. Podobny los spotkał mającą po niej wystąpić kobietę w ciąży. Następnego dnia gościem Forum był papież. Bojówkarze usiłowali imprezę rozpędzić.

O co poszło? We Włoszech bezpłatna aborcja jest praktycznie na życzenie. Muszą dać placet konsultanci, co jest czczą formalnością. Rząd chce, by wśród konsultantów byli także reprezentanci ruchów pro-life, na co zresztą zezwala odpowiednia ustawa. Chodzi o możliwość poinformowania kobiet, jakiej pomocy i gdzie mogą się spodziewać, gdyby zdecydowały się urodzić dziecko.

Debile z drugiej strony barykady ostatnio zbezcześcili grób Giacomo Matteottiego, ofiary faszystowskich siepaczy w 1924 r., i Enrica Berlinguera, szefa włoskich komunistów. Gdy zmarł w 1984 r., na pogrzeb przyszedł incognito jego polityczny wróg Giorgio Almirante, przywódca postfaszystowskiego Ruchu Społecznego. Wytropiony przez żurnalistów i pytany, dlaczego się pojawił, powiedział: „Berlinguer był uczciwym człowiekiem". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 9062e47cf9

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

UMĘCZONA

Maja Bohosiewicz cierpi za nas wszystkie i należy to docenić. A że cierpi w luksusie i w słonecznej Hiszpanii? Bez znaczenia. Celebrytka podzieliła się zaskakującymi przemyśleniami. „Czytałyście »Chłopki«? Ja próbowałam na dwa razy. Męczyłam się każdym rozdziałem i oczami wyobraźni widziałam te męki, niesprawiedliwość i patriarchalne podejście do kobiet, które w Polsce były mułem do roboty, rodzicielkami, karmicielkami i jako ostatnie dostawały parę butów. Wszystko to działo się w historii świata przed chwilą. To nie są zamierzchłe czasy. I cieszę się, że realia się zmieniają, ale wciąż widzę i uwypuklają mi się te wszystkie echa i pogłosy tego, co było i nadal unosi się w powietrzu" – tak rozpoczęła swój wpis na Instagramie.

Następnie przeszła do sedna. „Czemu to piszę? Bo wierzę w epigenetykę, czyli fakt, że doświadczenia naszych rodziców i dziadków przechodzą na nas dziedziczone genetycznie jak kolor włosów czy oczu. Mam piękne życie pod hiszpańskim niebem i nie wiem, w co mam dzisiaj włożyć ręce, a głowa rozsadza mnie od odpowiedzialności i mnogości zadań" – wyznała utrudzona Maja. Z jakimi problemami boryka się gwiazda? „Chcę być najlepszą mamą [to się zdecydowanie, nieironicznie chwali – przyp. red.], budzić dzieci, jeść z nimi śniadanie, zawozić do szkoły, obierać, podawać obiad, odrobić lekcje, czytać książkę, pójść na spacer. W tym samym czasie prowadzę firmę, w której jestem zaangażowana w każdy jeden dział, i wiem, że można byłoby lepiej tu i tu, i jeszcze tu. Remontuję dom, dzwonię do dostawców, piszę z notariuszem, lecę do Polski, jadę do urzędu, zrobię sesję zdjęciową, umówię modelkę, przygotuję się do programu, nakręcę Instagram, przygotuję urodziny dla dzieci, przyjmę gości, zrobię zakupy, zadzwonię do mamy, zaplanuję wakacje, odbiorę pranie, pójdę na siłownię, pojadę do weterynarza, odpiszę na maile, pomaluje szafę" – wylicza Bohosiewicz.

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

„Mogłabym długo, miejsca nie starczy. I z jakiegoś powodu prowadzę ważnego calla, a drugą ręką niosę zgrzewkę wody do domu ze sklepu, czekając na telefon od pediatry" – dodaje dzielna celebrytka. Następnie wysnuwa filozoficzny apel. „Dlaczego tak jest, że znowu urobimy się do łokci? Że nie potrafimy prosić albo wymagać tej pomocy? Zaangażowania od kogoś? I znowu widzę moją mamę, która wstaje o 4.20, żeby dojechać autobusem do pracy, wróci z zakupami o 15.00, ugotuje obiad, posprząta dom i pójdzie zaprowadzić nas do szkoły muzycznej i zaśnie padnięta o 20.00 na kanapie. I jakoś sobie myślę, epigenetyko, zwolnij trochę, proszę, bo nie chcę być kolejnym pokoleniem »chłopki«. A czuję, że jestem. Rozumiecie?" – pyta instagramowych fanów.

Nie do końca, ale, Maju, wiemy, że lekko nie jest, i wiemy na pewno, że ty masz najciężej! Szczególnie z tym „ważnym callem".

RAJ ZA GROSZE

Skoro o sprawach poważnych, to Agata Rubik i kwestia mieszkaniowa. Modelka pochwaliła się w sieci zdjęciem wschodu słońca, który podziwiała z balkonu własnego mieszkania (dodać należy, że nie byle gdzie, bo w Miami). „Zaraz wzejdzie słońce, dlatego jestem na balkonie. Uwielbiam chodzić na ten balkon i oglądać wschody i zachody słońca. Robię to codziennie i myślę, że chyba nigdy mi się to nie znudzi. A jak mi się to znudzi, to znaczy, że coś jest ze mną nie tak" – stwierdziła. Refleksja ta okazała się wstępem do mieszkaniowej instagramowej relacji. W bloku zamieszkanym przez Rubików pojawił się bowiem lokal na sprzedaż. Cena? Niewielka, przystępna, na każdą kieszeń. „Jedyne" 20 mln 687 tys. zł. „W naszym budynku pojawiło się mieszkanie na sprzedaż z widokiem na ocean za 5,2 mln dol. Ceny tutaj są szalone, ale z drugiej strony... wcale się nie dziwię. Dla mnie to miejsce to raj" – napisała na Instagramie. Ktoś chętny?

MIESZKANIE NA START

Pozostańmy przy mieszkaniach. Niby kryzys mieszkaniowy, niby jakieś trudności, a tu miła niespodzianka – synowie Małgorzaty Rozenek już mają swoje gniazdka. – Mają, mają, oczywiście. To były takie nasze pierwsze wydatki. Ja – wbrew pozorom – nie jestem typem wydającym na torebki i buty. Oczywiście kocham podróżować, konsumować pieniądze, ale my jesteśmy z Radosławem bardzo odpowiedzialną rodziną – przekonuje Małgosia. Dodała, że mieszkania kupiono kilka lat temu, za gotówkę. Generalnie Rozenek ma głowę do interesów. – Nieruchomości to jest wartość, na której się nigdy nie traci – stwierdziła, dodając, że gdyby dysponowała kilkumilionową kwotą, część wydałaby na budowę domu, a za resztę kupiłaby mieszkania inwestycyjne. – Mieszkania to jest pierwszy problem, drugim są studia. Szkoła chłopców nie należy do najtańszych, szczególnie jeśli masz ich trzech. Ale to jest tylko rozgrzewka przed studiami. Właśnie zaczynamy ze Staśkiem tę przygodę – dodała celebrytka. Mieszkania mają, to i studia ogarną. Z taką mamą dadzą radę. ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, podobnie jak postępowe warszawskie media jesteśmy w wielkim szoku, iż Polacy nie chcą popierać zakazu aut spalinowych w Unii Europejskiej. Wiecie, wszyscy nasi znajomi z korporacji, którzy dojeżdżają do biura na elektrycznych hulajnogach, transportem zbiorowym lub pieszo, popierają taki zakaz.

Pewnie podobnie jest w przypadku redaktorów z Największego Ośrodka, oni sami i ich wszyscy rozmówcy i znajomi też są za tym, iżby Europa stała się zeroemisyjna i ani kropelka ropy nie spadła na umęczoną w imię walki o Zielony Ład ziemię.

No i wszystko byłoby spoko, ale niestety mamy jeszcze coś takiego jak Polska B, a nawet Polska C. Wiecie, te wszystkie małe ośrodki rozproszone pomiędzy metropoliami, gdzie nie dojeżdża nawet żaden pekaes, a ich mieszkańcy zamiast siedzieć spokojnie na doopach, chcą się przemieszczać, np. do tych wszystkich niskopłatnych prac, które nie pozwalają im nawet na dwutygodniowe ultraall-inclusive w Antalyi, już nie mówiąc o zakupie nowego elektryka.

Widzimy więc dwa problemy: ludzie na prowincji mają kiepskie prace, nie stać ich więc na ekologiczne samochody, ale jednocześnie chcą się przemieszczać. No kochani, jednak coś za coś. W sytuacji, kiedy trzeba ratować planetę, a jednym z kilku dostępnych narzędzi ku temu jest to, iżby Europa wzięła na siebie tę odpowiedzialność i ciężar przymusowej elektromobilności, nie można myśleć kategoriami: „No ale jak ja wtedy dojadę na 6 rano do roboty?". A jeśli nawet ktoś tak myśli, to przecież są rowery, są hulajnogi, dla chcącego nic trudnego.

I taki nasz apel do was, kochani, iż wiemy, że wielu z was pochodzi z niewielkich ośrodków, gdzie wychowywaliście się, wdychając opary z poloneza caro lub fiata 125p waszych osób płodzących. Nie bójcie się samochodów elektrycznych, wiemy, iż nie jest to łatwe, patrząc na te rodzinne obciążenia.

Swoje robi też presja środowiska. Wiadomo, że byle wąsaty janusz powie, że on to na jednym tankowaniu diesla przejedzie z Zakopanego do Gdańska, a elektrykiem to się trzeba po drodze zatrzymywać, żeby go naładować.

Pomyślcie o tym jako o szansie. Te zapędy, iżby na jednym tankowaniu jechać jak najdalej, to takie typowe dla Polaka jadącego na wakacje. Wszędzie musi być pierwszy: na plaży, żeby rozłożyć parawan, na promocji w dyskoncie, iżby kupić 100 piw w cenie 50, w kościele do pierwszej ławki, na wyborach głosować na prawicę równo z otwarciem lokalu wyborczego.

Tymczasem podróż elektrykiem daje wam szansę na nabranie dystansu i odpoczynek. Możecie się zatrzymywać w wielu nieoczywistych miejscach tego kraju, odpocząć sobie od presji podróży, poczekać na ładowanie, zrelaksować się i nie brać udziału w tym wyścigu januszy o najlepsze miejsce do rozłożenia parawanu.

Dlatego nieunikniony postęp elektromobilności obserwujemy z zaciekawieniem i mocno mu kibicujemy, iżby także do tego kraju doszedł ten powiązany z elektrykami model slow life. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Szkolenie antydyskryminacyjne

Rafał, jak przeczytać takie coś: „przyszłoxm"? Bo w tym twoim zarządzeniu jest, żeby tak się do niebinarnych zwracać.

Sławek, skąd ja mam wiedzieć? Ty myślisz, że ja to w ogóle czytałem? Gdybym tak miał wszystko czytać, co tam podpisuję, tobym nie miał czasu na koniaczek i cygarko.

No dobra, ale jak ktoś zapyta?

To mam odpowiedź. Przygotowali mi. Chwilunia... O, mam: „Ta instrukcja nie służy do naśmiewania się, co pan próbuje zrobić. Jeśli pan nie wie, jak to wymówić, to zapraszam na szkolenie antydyskryminacyjne w naszym urzędzie".

Fajne. Ale dlaczego w tej odpowiedzi jest „pan"? Taka dyskryminacja trochę... ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS już nie ukrywa swoich zamiarów. Bo chyba nikt nie wierzy, że to rolnicy chcą wyjść z Unii i systemu dopłat".

DONALD TUSK, *premier, na portalu X*

eprasa.pl 9062e47cf9

dwaj panowie g

Zaczniemy od spraw poważnych, żeby nie było, że tylko heheszkujemy. Czyli od orędzia Szymona Płaczliwego Hołowni. Ojej, sorry, wychodzi na to, że nawet jak chcemy być poważni, to okazuje się, że heheszkujemy. Nie wińcie nas. Sam zwrot „orędzie Hołowni" jest już niezaprzeczalnie satyryczny.

Nie zmienia to tego, że z radością powitaliśmy orędzie Szymona, gdyż jako zwolennicy teorii spiskowych cieszymy się, gdy nasze szeregi rosną. A Szymon, któremu wszystko ze wszystkim się kojarzy, połączył w jedno pożar dachu w szkole, spalenie centrum handlowego Marywilska i zamach na premiera Słowacji, Roberta Ficę. Czekamy, aż połączy scjentologię z pieczeniem pączków oraz kosmetyczki z kosmologami.

Jako że uważnie śledzimy informacje z bratniej Słowacji, musimy wyjaśnić Szymonowi, że sprawca zamachu na Ficę to taki osobnik, którego polskim odpowiednikiem byłby olsztyński emerytowany literat, który przedawkował „Gazetę Wyborczą". Innymi słowy, fajnosłowak. Czy Szymon chciał swym orędziem zasugerować, że w Polsce zwolennicy „opozycji demokratycznej" palą PiS-owcom sklepy i szkoły?

Barwy kampanii. Bój zbliża się do apogeum. I jak zwykle potwierdza się stare stopniowanie: wróg, wróg śmiertelny, kolega z listy partyjnej. Dodalibyśmy jeszcze jeden stopień: struktury lokalne własnej partii. I tak w okręgu wyborczym składającym się z Lubuskiego i Zachodniopomorskiego mamy ciekawą sytuację – otóż na jedynce PeŁo jest Bartosz Arłukowicz ze Szczecina, a na dwójce Elżbieta Polak z Zielonej Góry. Jednak większym wyjadaczem jest Bartosz. I zanim pani marszałek Polak się zorientowała, na jej terenie wszystkie najlepsze miejsca na billboardy zostały już zajęte przez Bartosza. Jak się domyślacie, podobnie jest w rodzinnych stronach Arłukowicza. Oj, nie wzbudziło to ciepłych uczuć wobec partyjnego kolegi. Cóż, mądra Polak po szkodzie.

Zkolei w nieodległej Wielkopolsce też trwa bój między jedynką, którą jest Wojciech Kolarski wspierany przez Szymona Sękowskiego vel Sęka, a Richardem Henrym Czarneckim, wspieranym przez oszczędności zgromadzone przez lata zasiadania w europarlamencie. Obu kandydatów, jako spadochroniarzy, zwalcza miejscowy poseł Bartłomiej Wróblewski. A tego z kolei zwalczamy my, bo walnie przyczynił się do odwołania naszego kumpla Wojtka Wybranowskiego z funkcji naczelnego „Głosu Wielkopolskiego".

Co do kampanii, to słyszeliśmy ostatnio z Nowogrodzkiej ciekawe zdanie. Że w kwestii końcowego wyniku panuje „umiarkowany optymizm". Uwielbiamy takie sformułowania. Coś jak „częściowo wygrane wybory" albo „dziewczyna prawie w ciąży". Fakt jednak jest taki, że lud pisowski się mobilizuje, a niepisowski – grilluje.

Dyplomacja. Wyżalił się Radzio Sknerus Sikorski, że prezydent nie podpisał żadnej zgłoszonej przez niego kandydatury na nowych ambasadorów. Niestety, nie mamy dla niego dobrych wiadomości. Andrzej Sebastian pozostanie nieugięty tak długo, jak z listy ambasadorów, których chce odwołać Radek, nie znikną byli urzędnicy Kancelarii.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W MSZ chodzą słuchy, że Radzio chciałby wysłać w ambasadory swoją własną żonę, i to nie na byle jaką placówkę, ale do Tel Awiwu. Odkąd Izrael opuścił Marek Magierowski, nie mamy tam ambasadora, a minął już przecież kawał czasu. Jest tylko jeden problem. Zgodnie z prawem ambasadorem może być osoba posiadająca tylko jedno obywatelstwo. W dodatku polskie. A Anna Applebaum ma również drugie – amerykańskie. Podpowiadamy rozwiązanie: zawsze może się zrzec jednego obywatelstwa. Wszak tak zrobił jej mąż, chcąc rozwijać karierę w Polsce. Przestał wówczas być poddanym brytyjskim.

Odetchnęliśmy z ulgą. Okazało się wreszcie, że polski rząd nie steruje sędziami. Niezależność sądownictwa ocalona! Pesymiści wskazują jednak, że szklanka jest pełna tylko do połowy. Ucieczka sędziego Szmydta pokazała bowiem, że może i polski rząd sędziami nie steruje, ale za to steruje nimi rząd białoruski. No i co teraz? Pozostaje nadzieja, że skoro już sprawa wyszła na jaw, to Mińsk da nam w zamian trochę pieniędzy na Krajowy Plan Odbudowy.

Kultura. Słyszeliśmy, że nowe władze Instytutu Książki kasują sztandarowy program starych władz, to znaczy Mała Książka Wielki Człowiek, który promował czytanie wśród dzieci i ich rodziców. W sumie słusznie. Po co ludzie mają czytać, skoro powinni głównie słuchać? W sensie „słuchać się". Kogo? Wy już wiecie kogo. I oni też wiedzą.

Uwaga biura nieruchomości w Warszawie! Jest okazja do zarobku, bo szykuje się duża przeprowadzka. Jeszcze w tym roku. TV Republika szuka nowej siedziby, gdyż się w starej nie mieści – z powodu intensywnego rozwoju. Żarciki o tym, że wolny do wynajęcia jest gmach TVP Info przy placu Powstańców, odrzucamy – nawet gdyby był, to od paserów się nie kupuje. ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

ZATRUTE OWOCE '68

Szał na ulicach Paryża – Zrewoltowani studenci domagali się odrzucenia „starego świata" i wszelkich autorytetów. Ich postulaty w ogromnej mierze trafiły po latach do mainstreamu

Czerwone pacyfki – W czasie zimnej wojny „obrońcy pokoju" na Zachodzie dużo chętniej krytykowali militaryzm amerykański niż sowiecki

Rewolwer zamiast megafonu – Fala czerwonej przemocy zalała Niemcy i Włochy. Lewaccy terroryści wzięli tam na celownik wielki biznes i instytucje państwowe

Holenderski oprawca Rzeczypospolitej – Ogromny wpływ na gospodarczy, a w konsekwencji również polityczny upadek państwa Polaków i Litwinów miały Niderlandy

Niewolnicy Waszyngtona – Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych był plantatorem i właścicielem kilkuset Murzynów. Czy zostanie strącony z cokołów?

Zatruty puchar królowej – Bona zgromadziła w czasie pobytu w Polsce wielki majątek. Bogactwo sprowadziło na nią ostatecznie nieszczęście

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 9062e47cf9

Konkurs w szwedzkim Malmö wygrał reprezentujący Szwajcarię Nemo Mettler, który określa się jako osoba niebinarna (taką tożsamość przybrał w wieku 24 lat) i używa wobec siebie zaimków „oni/ich"

FOT. MARTIN SYLVEST ANDERSEN/GETTY IMAGES

Kim jest Nemo?

Zuzanna Dąbrowska

Świat rozrywki i sportu przesiąknięty jest perwersją. Im bardziej wyszukaną i kłującą w oczy normalnych ludzi, tym lepiej

Świat przemówił, queery nadchodzą! Pierd...ne zwycięstwo dla niebinarnych! – wykrzyczała po finale 68. edycji Eurowizji reprezentantka Irlandii, wokalistka Bambie Thug (właśc. Bambie Ray Robinson). Choć określanie się jako osoba queer i niebinarna oraz paradowanie z flagą w kolorach symbolizujących osoby „trans" nie przyniosły sukcesu (Irlandka zajęła szóste miejsce), to wystarczyły, aby piosenkarka była obiektem żywego zainteresowania mediów i internautów. Dla wielu stała się ikoną tęczowej rewolucji, wprowadzając chyba po raz pierwszy na tak masową skalę przekaz o tzw. zmianie płci (tak zwanej, ponieważ płci, jako czegoś zakodowanego w ludzkim DNA, skutecznie zmienić się nie da; można zmienić jedynie jej fizyczne, zewnętrzne przejawy).

Anturaż Irlandki – nawiązujący wprost do okultyzmu, podobnie zresztą jak cały występ, w którego centrum znajdował się wielki pentagram i przekazywane „wartości" spod znaku LGBT – dobrze streszczają to, czym w ostatnich latach stała się Eurowizja. „Lubię być częścią fajnej, wschodzącej sceny muzycznej queer. Ja tego nie doświadczyłom [w taki sposób wypowiedź Bambie Thug przetłumaczono w polskich mediach – przyp. red.], gdy dorastałom, dlatego ważne jest, aby mieć obok ludzi, z którymi możesz tworzyć muzykę, która do ciebie przemawia i daje wolność do bycia sobą" – mówiła w wywiadzie dla brytyjskiego miesięcznika „Gay Times". – Bycie osobą queer w związkach, w branży i na świecie oraz bycie wykluczonym z różnych rzeczy lub przeoczanie swojego potencjału – tak piosenkarka podsumowała przesłanie swojego utworu na Eurowizji. – Opowiada o wzlotach i upadkach zdrowia psychicznego. To ludzkie doświadczenie. I to wszystko w trzy minuty – chwaliła się.

NIEBINARNY TRIUMF

Po zakończeniu konkursu podkreślała, jak bardzo cieszy się ze zwycięstwa innej osoby niebinarnej. – Jestem tak dumna ze zwycięstwa Nemo. Jestem dumna, że my wszyscy jesteśmy w najlepszej dziesiątce, my, którzy za kulisami walczyliśmy o to gó..o. Było tak ciężko i było tak okropnie. Jestem z nas taka dumna – krzyczała 31-latka, która życzy sobie, aby używać wobec niej zaimka „oni". Z jednej strony odnosiła się do skandalu wokół występu Izraela,

eprasa.pl 9062e47cf9

a z drugiej do szerokiej reprezentacji środowiska LGBT+ podczas tegorocznej edycji.

Konkurs w szwedzkim Malmö wygrał bowiem reprezentujący Szwajcarię Nemo Mettler, który również określa się jako osoba niebinarna (taką tożsamość przybrał w wieku 24 lat) i używa wobec siebie zaimków „oni/ich". Jego zwycięska piosenka „The Code" opowiada o życiu w skórze człowieka nieczującego się ani kobietą, ani mężczyzną. Nemo śpiewa, że dokonanie coming outu pozwoliło mu złamać tytułowy kod do życia w społeczeństwie, by żyć jako ten, którym czuje się naprawdę. Polskie media lewicowo-liberalne nie kryją entuzjazmu i chętnie stosują queerową nowomowę. „Nemo, laureatx tegorocznej Eurowizji, to postać wyjątkowa nie tylko ze względu na swoje talenty muzyczne, ale także na swoją tożsamość płciową. Reprezentant Szwajcarii z utworem »The Code« zdobył serca jury i publiczności, dzięki czemu wygrał tegoroczną Eurowizję. To pierwszy raz w historii Eurowizji, kiedy osoba niebinarna triumfuje w tym prestiżowym konkursie" – opisywał portal gazeta.pl. Niektóre media ewidentnie gubią się w językowych meandrach ideologii queer. „Rzeczpospolita" zatytułowała artykuł na swoim portalu internetowym „Niebinarne Nemo z pomocą Polaków wygrywa Eurowizję", jednak już w leadzie czytamy, że „Szwajcar w różowej spódniczce, z niebinarną flagą, wygrał dzięki jurorom konkurs Eurowizji". Wygrał, nie „wygrałx" czy „wygrało". Tak czy inaczej chętnie rozpisywano się o „odważnym geście" Szwajcara. „Kiedy pojawiły się [pisze o nim, używając liczby mnogiej, gazeta.pl – przyp. red.] na otwarciu wielkiego finału Eurowizji 2024, uwagę internautów zwróciło to, że trzymały nie jedną, a dwie flagi. Pierwsza to flaga Szwajcarii, druga – osób niebinarnych". Z kolei wspierający zaimkowe szaleństwo portal zaimki.pl zastrzega: „Nemo używa po angielsku zaimków they/them, jednak w swoim rodzimym niemieckim woli, kiedy mówi się o nim po imieniu, bez używania zaimków".

GEJOWSKIE PODRYGI

Reprezentacja osób z grupy LGBT+ podczas tegorocznej Eurowizji była większa. Wielka Brytania wysłała na konkurs gwiazdę muzyki pop, wokalistę popularnego zespołu Years & Years, Olly'ego Alexandra. W kontekście Eurowizji niezaprzeczal-

Isabelle Aubret, laureatka Eurowizji z 1962 r. FOT. TOPFOTO/FORUM

Zespół ABBA w 1974 r. z nagrodą za zwycięskie „Waterloo" FOT. HULTON DEUTSCH/CORBIS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9062e47cf9

nie atutem jest to, że ceniony skądinąd piosenkarz jest gejem. Jego występ ociekał wprost seksualnością. Półnadzy tancerze wili się wokół gwiazdy oraz wykonywali bardzo sugestywne, nacechowane erotyzmem ruchy. Trudno nawet przy skrajnie pozytywnym nastawieniu do gejów uznać, że są to treści promujące jakkolwiek brytyjską kulturę. To wprost epatowanie pornografią. „Olly pochodzi z Anglii, jest najbardziej znany jako główny głos Years & Years i późniejszej solowej kariery. Jest także uznanym aktorem, m.in. z serialu »It's a sin« o epidemii HIV/AIDS z lat 80., wykorzystuje swoją platformę do poruszania kwestii ważnych dla środowiska LGBTQ+. Olly jest osobą niebinarną używającą form męskich" – czytamy na Zaimki.pl. „Czuję się bardzo niebinarny i identyfikuję się jako gej, queer i niebinarny" – wskazał w jednym z wywiadów.

Choć występ Brytyjczyka budził duży entuzjazm eurowizyjnych fanów, to ostatecznie widzom nie spodobała się ordynarna seksualizacja w prime time i Alexander, co wywołało u niego duże zdumienie, dostał w głosowaniu publiczności zero punktów. Jury było bardziej łaskawe i przyznało Wielkiej Brytanii 46 punktów.

Australię reprezentował duet Electric Fields, składający się z wokalisty Zaachariaha Fieldinga oraz klawiszowca i producenta Michaela Rossa. Fielding i Ross opisują się jako „dwaj kobiecy bracia" i używają form męskich. – Jest miejsce dla każdego, ale współczesny świat uwielbia budować mury i kategoryzować. Czy jestem mężczyzną, kobietą, czy jesteśmy zespołem tubylczym, zespołem queer? Wszystko to kulą w płot, budowanie barier, a my po prostu przelatujemy nad nimi… przepraszam, frajerzy! – stwierdził w swoim manifeście Zaachariaha. Z kolei Michael mówił: – W naszej biografii pisaliśmy, że jesteśmy „dwoma żeńskimi braćmi", i niektórzy ludzie pytali, czy powinniśmy się tak określać. Mówienie, że robi się coś „jak dziewczyna", zawsze było obelgą i to jest totalne gó..o. Dziewczęta i kobiety są totalnymi szefami i kochamy tę część nas.

W prowadzonym przez Stowarzyszenie Miłośników Konkursu Piosenki Eurowizji serwisie Eurowizja.org czytamy, że „Eurowizja i jej historia nierozerwalnie łączą się z historią społeczności LGBT+". Wielu zapewne najlepiej pamięta Conchitę Wurst (właśc. Thomasa Neuwirtha) z Austrii. Drag queen wygrał finał w 2014 r., a następnie był zapraszany do ONZ oraz UE.

„W ostatnich dwóch dekadach więcej zwycięzców należy do społeczności LGBT+. Byli to Marija Šerifović (2007), która jako niewyoutowana jeszcze lesbijka ukryła drobny manifest, wkładając na swój występ męski garnitur i zapraszając do chórku same kobiety, a także Duncan Laurence (2019), Victoria De Angelis z zespołu Måneskin (2021) oraz Loreen (2012, 2023) – cała trójka ujawniła się jako osoby biseksualne. Dodatkowo zwyciężczyni z 2002 r., Marie N, wykonała część choreografii wraz z kobiecą tancerką, co również było ukrytym przekazem równościowym. Choreografka łotewskiej delegacji była zresztą lesbijką" – opisuje Eurowizja.org.

Co zauważalne, do pewnego momentu wśród reprezentacji osób LGBT na Eurowizji dominowali geje i lesbijki. To ich homoseksualne deklaracje, gesty, teksty piosenek miały „nauczyć" wpatrzonych w ekrany Europejczyków tolerancji. Jednak od tegorocznej edycji naprawdę pożądana stała się niebinarność. Tak jak zmieniają się trendy muzyczne, tak samo zmienny jest popyt na tożsamość. Kiedyś, aby oburzać i szokować, wystarczył pocałunek osób tej samej płci. Do takiej sceny po raz pierwszy doszło podczas Eurowizji w 2013 r. w Szwecji. Na koniec utworu „Marry me" Krista Siegfrids z Finlandii pocałowała jedną ze swoich chórzystek, co było wyrazem protestu wobec odbierania osobom homo „prawa" do zawierania małżeństw (już w 2014 r. fiński parlament przyjął oczekiwane przez gejów i lesbijki przepisy; weszły w życie trzy lata później). Dziś pocałunek dwóch kobiet czy dwóch mężczyzn na tej konkretnej scenie nie dziwi. Teraz nastała moda na bycie „queer" i tylko w ten sposób można jeszcze ludzi zadziwić. Im bardziej skomplikowana tożsamość i używane zaimki, tym lepiej.

Eurowizja przestała być konkursem na najlepszą piosenkę, a stała się festiwalem dziwności

Organizowana od 1956 r. Eurowizja nie zawsze była taka jak dziś. W przeszłości to właśnie tam rodziły się gwiazdy z prawdziwego zdarzenia. Finał w 1974 r. wygrał szwedzki zespół ABBA z utworem „Waterloo", co otworzyło mu drzwi do światowej kariery. Również na Eurowizji triumfowała w 1988 r. – jako reprezentantka Szwajcarii – obdarzona wyjątkowym głosem diwa Céline Dion. Dzięki zwycięstwu zdobyła szybko międzynarodową popularność.

Dopiero w latach 90. zaczął wiać wiatr ideologicznych zmian. W 2017 r. Catherine Baker z Uniwersytetu w Hull opublikowała w „European Journal of International Relations" tekst poświęcony ruchowi LGBT+ w kontekście konkursu. Badaczka wyróżniła trzy fazy w najnowszych dziejach Eurowizji. Pierwsza to lata 1997–2007, którą nazywa ona „fazą widzialności". Kolejna, lata 2008–2013, to „faza organizacyjna". Według Baker od roku 2014 eurowizyjna propaganda spod znaku tęczowej flagi (sama Baker słowa „propaganda" nie używa) to „faza geopolityczna". Co może być następne? Normalnemu człowiekowi trudno wyobrazić sobie większą perwersję niż ta, którą zaserwowano nam w Malmö, a którą będzie można pokazać na scenie i która nie zmusi stacji telewizyjnych do przerwania nadawania ze względu na sceny 18+.

Być może organizatorom do myślenia da spadająca na łeb na szyję oglądalność konkursu. Tegoroczną edycję na antenach TVP oglądało 1,57 mln widzów. To znacznie mniej niż w roku 2023 – 3,5 mln oraz roku 2022 – 5,5 mln. Podobny trend widoczny jest w Wielkiej Brytanii, gdzie Eurowizję obejrzało 2,5 mln widzów mniej niż rok temu.

CO NAS JESZCZE CZEKA?

To, że Eurowizja przestała być konkursem na najlepszą piosenkę, a stała się festiwalem dziwności, jest jasne. Tak daleko od pierwotnych ideałów nie odeszli jeszcze organizatorzy igrzysk olimpijskich, choć i w tym przypadku podkreślanie „zaangażowania w troskę o odmienność" jest obligatoryjne. Impreza rozpocznie się w Paryżu 26 lipca i potrwa do 11 sierpnia. Hasło „Paryż 2024 – Otwórzmy szeroko igrzyska" – ma, jak podkreśla komitet organizacyjny, „przypominać o zaangażowaniu organizatorów w walkę z dyskryminacją". Dyskryminacja dotyczy rzecz jasna osób ze środowiska LGBT+ (to jedyna dyskryminacja, którą obecnie uznaje się za godną pochylenia się nad nią; no może

eprasa.pl 9062e47cf9

obok koloru skóry, ale tylko w przypadku czarnoskórych). Ogłoszono utworzenie „Maison des Fiertés" („Domu Dumy"), czyli specjalnego miejsca dla „sportowców LGBTQ+, ich otoczenia, kibiców i sojuszników".

„Igrzyska są świętem różnorodności. Z okazji Światowego Dnia przeciw Homofobii, Transfobii i Bifobii Paryż 2024 potwierdza swoje zaangażowanie w walkę z wszelką dyskryminacją i okazuje swoje wsparcie wszystkim, którzy są jej ofiarami. Zgodnie ze swoim pragnieniem szerokiego otwarcia igrzysk Paryż 2024 ogłasza utworzenie miejsca reprezentującego te mniejszości, miejsca otwartego dla wszystkich, w którym będzie można celebrować swoją wspólnotę i swoją dumę: Maison des Fiertés" – podano na oficjalniej stronie imprezy. Centrum funkcjonować będzie na Parc de la Villette, w pobliżu miejsc zawodów takich jak Arena La Chapelle czy Stade de France. „Pride House to bezpieczne i przyjazne miejsce dla wszystkich: kibiców, sportowców i sojuszników LGBTI+. Celem jest uwidocznienie sportowców LGBTI+ i uczczenie ich poprzez program specjalnych wydarzeń, w tym kulturalnych i edukacyjnych, które odbywały się przez cały czas trwania igrzysk" – dodano. Pisząc wprost, „Maison des Fiertés" będzie miejscem tęczowej indoktrynacji, która nie ma nic wspólnego ani ze sportem, ani z zasadami fair play.

Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Igrzysk Olimpijskich i Paraolimpijskich Paryż 2024, Tony Estanguet, mówił, że „sport zmienia życie, a także jest fantastycznym narzędziem zmiany mentalności i przyczyniania się do walki z dyskryminacją". – Jako organizatorzy największego wydarzenia sportowego na świecie ponosimy odpowiedzialność, a także chcemy wykorzystać widoczność igrzysk, aby przyspieszyć tę niezbędną walkę – wskazywał w kontekście „Domu Dumy". Zadziwiające, że organizator najważniejszej imprezy sportowej na świecie tak lekko i wprost mówi o „niezbędnej walce" w kontekście preferencji seksualnych. Jakby zapominając, że ma do przeprowadzenia zawody sportowe, a nie festiwal seksualnych preferencji i odstępstw od normy.

Paryż jako gospodarz igrzysk jest bardzo postępowy. Już w 2018 r. podpisał Kartę zobowiązań LBGT+, w której wziął na siebie konkretne obowiązki w kontekście zatrudniania pracowników na czas zawodów. Wśród owych zobowiązań jest „oferowanie wzorowego i włączającego środowiska pracy", „zapewnienie równych praw i traktowania wszystkich pracowników", „wspieranie pracowników, którzy mogą stać się ofiarami dyskryminujących komentarzy lub zachowań" oraz „mierzenie postępów i dzielenie się dobrymi praktykami w celu poprawy ogólnego środowiska zawodowego".

Należy się spodziewać, że podczas igrzysk nie zabraknie tęczowych wątków i gestów. Aktywiści LGBT wyliczyli, że igrzyska olimpijskie, które odbyły się w 2021 r. w Tokio, „zgromadziły ponad 180 sportowców homoseksualnych, lesbijskich, biseksualnych, transpłciowych, homoseksualnych i niebinarnych". Gdyby stworzono „team LGBTQ+", zająłby on – według analizy – 13. miejsce w klasyfikacji medalowej.

Paryż musi nadążać i zapewne, podobnie jak podczas Eurowizji, głośno będzie o niebinarnych olimpijczykach, co do tożsamości których nie są pewni oni sami. – Całe miasto gospodarz będzie w kolorach tęczy podczas igrzysk olimpijskich i paraolimpijskich – zapowiedział Pierre Rabadan, zastępca mera Paryża do spraw sportu. Włodarz przekonuje, że „celem jest walka z dyskryminacją i uczynienie osób LGBTQIA+ bardziej widocznymi w sporcie". Walka z rzekomą dyskryminacją jest też prowadzona na poziomie centralnym. Francuska minister sportu oraz do spraw igrzysk olimpijskich i paraolimpijskich, Amélie Oudéa-Castéra, narzeka, że w środowisku sportowym wciąż jest zbyt wiele homofobii, co jej zdaniem jest „przerażające". We współpracy z minister do spraw równości, Isabelle Rome, przedstawiły plan „15 działań" w celu „lepszego uwzględnienia w sporcie kwestii i praw osób LGBT+", a także zapowiedziały „sankcje wobec sprawców czynów skierowanych przeciwko LGBT+". Przy okazji igrzysk powołano też specjalny fundusz, z którego finansowane są działania „inkluzywne". Jednym z nich jest „promowanie miejsca kobiet i mniejszości płciowych (osób trans, interseksualnych, niebinarnych) w zarządzaniu strukturami sportowymi".

IDEOLOGICZNIE NA BOISKU

Jednak zanim odbędą się igrzyska w Paryżu, przed nami piłkarskie Euro w Niemczech. W tym przypadku również spodziewana jest ideologiczna nawała. UEFA i Niemiecki Związek Piłki Nożnej ogłosiły w ubiegłym roku strategię na turniej, który odbędzie się w dniach 14 czerwca–14 lipca 2024 r. Nikt nie będzie chyba zaskoczony, że strategia oscyluje wokół „zwalczania rasizmu" i „promowania różnorodności". O ile to pierwsze zjawisko w piłce nożnej piętnowane jest od lat, o tyle normalizowanie „tożsamości płciowych" to ewidentny przejaw Zeitgeistu. W dokumencie zapisano, że gospodarzom mistrzostw zależy na „walce z wszelkimi formami dyskryminacji i zapewnieniu ochrony praw wszystkich", ponieważ Euro 2024 „świętuje różnorodność i włączenie". Co to oznacza w praktyce? Na stadionach w 10 miastach gospodarzach dostępne mają być toalety „dla wszystkich płci". Kibice będą mieli możliwość wejścia na wszystkie obiekty poprzez neutralną pod względem płci kolejkę, w której będą mogli się poddać przeszukaniu ciała „bez związku z binarnymi ograniczeniami dotyczącymi identyfikacji lub wyrażania płci".

Sędziowie zostaną wyszkoleni tak, aby byli mocniej wyczuleni na jakiekolwiek przejawy dyskryminacji i aby reagowali na nie szybko i zdecydowanie. Ponadto organizatorzy Euro nawiązali współpracę z organizacjami o wyraźnie nakreślonym kierunku ideowym, takimi jak Amnesty International, Federacja Lesbijek i Gejów w Niemczech oraz Queer Football Fans, aby wspólnie realizować stawiane sobie cele. Środowisko LGBT+ ma wobec Niemców duże oczekiwania, szczególnie że poprzednia duża impreza piłkarska odbyła się w nieuznającym tęczowych postulatów Katarze. Wielu kibiców postanowiło zbojkotować mundial w 2022 r. – teraz czas docisnąć ideologiczny gaz dwa razy mocniej.

Obligatoryjne włączanie „tęczowych" wątków do każdego wydarzenia to wciąż za mało dla wyznawców perwersji i „religii" seksualnych preferencji. W lipcu w Wiedniu odbędą się EuroGames, czyli największa amatorska impreza sportowa skierowana do społeczności LGBT+. Około 4 tys. sportowców uznających za osoby „nieheteronormatywne" weźmie udział w rywalizacji o medale w ponad 30 dyscyplinach. Szczególnie mile widziane są osoby niebinarne i trans. Aby zatrzeć granice, w niektórych z dyscyplin nie będzie się liczyć płeć (ani biologiczna, czyli faktyczna, ani „odczuwana").

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

Przebrania wyborcze

Rafał A. Ziemkiewicz

W poszukiwaniu poparcia politycy zaczęli wygłaszać zupełnie odwrotne poglądy niż te, których niedawno bronili. Najbardziej spektakularna jest przemiana Donalda Tuska

Coraz trudniej jest komentować przedwyborcze manewry na poważnie. W pogoni za symbolicznym triumfem nad wrogiem, choćby o 1–2 proc. (czyli „mijanką" obiecaną obozowi lewicowo-liberalnemu przez Tuska tudzież „10. z kolei wyborczym zwycięstwem" obiecanym tradycjonalistom przez Kaczyńskiego), główne partie na gwałt szukają nowych, atrakcyjnych przebrań. Zupełnie nie przejmując się tym, co głosiły i robiły wcześniej.

I tak Prawo i Sprawiedliwość ogłosiło na swej konwencji, że idzie do europarlamentu po to, by zatrzymać Zielony Ład, gładko przechodząc do porządku dziennego nad tym, że to ono właśnie, będąc u władzy, grzecznie go w imieniu Polski zaakceptowało – po części wskutek omamienia w kuluarowych rozmowach przez cwaniaków z KE obietnicą „odblokowania funduszy", co miało zapewnić PiS wygraną w wyborach i trzecią kadencję, a po części wskutek lęku, że jeśli przeciwstawi się Unii, to PO zniszczy go propagandowo oskarżeniem o polexit.

Z kolei Donald Tusk pojechał na wschodnią granicę lansować się ze strażnikami granicznymi, których przed wyborami jego obóz mieszał z błotem jako PiS-owskich bandytów, a wręcz zbrodniarzy tajniaczących po lasach masowe groby wypełniane mordowanymi podczas „pushbacków" kobietami i dziećmi, oraz przechwalać się, że umocni graniczny mur – przeciwko zbudowaniu którego ze 122 ówczesnych posłów PO głosowało 121, a ten brakujący jeden też nie był za, tylko się wstrzymał.

TUSK JAK KAMELEON

Przemiany Donalda Tuska są, przyznajmy, bardziej spektakularne. Rytualny, regularnie powtarzany w Sejmie show „Składamy wniosek o wotum nieufności dla ministra, chociaż wszyscy wiemy, że nie mamy większości i nic z tego nie wyniknie poza gadaniem" wykorzystał, by wściekle zaatakować PiS jako stronników Rosji i z trybuny sejmowej ogłosić partię Kaczyńskiego „płatnymi zdrajcami, pachołkami Rosji". Chyba nigdy jeszcze

eprasa.pl 9062e47cf9

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

nie widzieliśmy go tak agresywnego jak podczas tego wystąpienia – wystarczyło to, żeby „ukraść przedstawienie" (w relacjach medialnych ocena działań pani Hennig-Kloski zupełnie wskutek tego zniknęła, niewątpliwie z korzyścią dla rządu), ale większego efektu nie osiągnął. W dokonanym bezpośrednio po przemówieniu sondażu IBRiS oskarżeniom Tuska wobec PiS przyklasnęło niecałe 30 proc. ankietowanych, odrzuciło je ponad 60 proc.

Zważywszy, że w analogicznych sondażach po zdemolowaniu mediów państwowych, aresztowaniu Wąsika i Kamińskiego, włamaniu do Ziobry etc. stanowisko rządzących twardo wspierało zawsze 40 proc. ankietowanych, jest to sygnał dla Tuska, że przestrzelił. Szczególnie powinno go zaniepokoić to, że nowa retoryka „PiS to Putin" odrzucona została przez 70 proc. deklarujących się jako wyborcy Trzeciej Drogi, która to grupa jest na dzisiejszej mapie politycznej decydująca.

Mimo to Tusk najwyraźniej zamierza uczynić oskarżenie Kaczyńskiego o prorosyjskość i agenturalność względem Kremla osią politycznego sporu. Ustami swego wiernego podwładnego zapowiedział już reaktywowanie sejmowej komisji do spraw zbadania wpływów rosyjskich, która przed wyborami oburzała lewicowo-liberalne elity aż do spazmów („lex Tusk") i która, obiektywnie patrząc, była wtedy dla PO wspaniałym prezentem, bo elektorat centrowy nie uwierzył w jej bezstronność, a elektorat antypisowski wyrwała z marazmu, sprawiając, że niemrawo się zapowiadający „marsz dla Joanny z Krakowa", przekształcony w protest przeciwko rzekomej próbie uniemożliwienia Tuskowi kandydowania, można było ogłosić sukcesem.

Oczywiście tym razem ma to być komisja à rebours, ale właśnie dlatego trudno się spodziewać, żeby uznana została przez ogół społeczeństwa za bardziej wiarygodną i żeby ponownie w odwrotną stronę nie wzmocniła zaatakowanych. Krótko przed deklaracją o reaktywowaniu komisji pozwoliłem sobie w Internecie zażartować, że likwidator TVP sprzedał prawa autorskie do serialu „Reset" telewizji TVN24 i że przygotowywany jest „remake", w którym role Michała Rachonia i Sławomira Cenckiewicza przejmą Jakub Sobieniowski z Tomaszem Piątkiem; nie przypisuję sobie, że to mój żart dostarczył Platformie natchnienia, ale uważam za znaczące, iż większość komentujących przyjęła go bez jakiejkolwiek podejrzliwości jako informację.

W ogólnej błazenadzie i maskaradzie, w które zmienia się nasza polityka, naprawdę prawdopodobne jest, że sejmowa komisja demaskować będzie Jarosława Kaczyńskiego metodą byłego czołowego dziennikarza śledczego „Gazety Wyborczej", a obecnie Resetu Obywatelskiego – ujawniając, że zna on kogoś, kto kiedyś spotykał się z kimś, kto chodził do szkoły z rówieśnikiem białoruskiego biznesmena podejrzewanego o kontakty z KGB.

TEST NOWEGO DYSKURSU

Jednocześnie w PO-wskiej bańce medialnej zaczęły być testowane elementy nowego dyskursu. Wiceminister rolnictwa, Michał Kołodziejczak, który kilka miesięcy temu starał się w potępianiu Zielonego Ładu przelicytować protestujących przeciwko niemu rolników, teraz ogłosił, że „na wycofaniu Zielonego Ładu najbardziej zależy Rosji i Białorusi". W „eksperckim" zapleczu ukuto też już i podsunięto rządzącej koalicji tezę, że to Rosja i Białoruś usiłują popchnąć Polskę do budowy CPK – po to, byśmy „utopili" w nim swoje zasoby i rozproszyli wysiłek inwestycyjny.

Szczególnie zabawne jest, że w tym gorączkowym ogłaszaniu powiązań PiS z Rosją i „dowodów" mających służyć postulowanej delegalizacji PiS jako putinowskiej agentury przoduje Roman Giertych, polityk, który w latach 90. odegrał istotną rolę w godnym pożałowania epizodzie polskiej prawicy, którą była podjęta pod pozorem odbudowy ruchu narodowego – co wydawało się celem zbożnym i potrzebnym Polsce – próba stworzenia po naszej stronie sceny politycznej promoskiewskiego lobby. Całe dziedzictwo Dmowskiego okazali się wtedy liderzy giertychowskiej Młodzieży Wszechpolskiej i Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego (później przekształconego w Ligę Polskich Rodzin) sprowadzać do motywowanej rzekomymi koniecznościami geopolityki prorosyjskości. W istocie prorosyjskość taka może być uważana za dziedziczne obciążenie Giertycha (po dziadku Jędrzeju i ojcu Macieju), ale u Dmowskiego jej nie było – stanowiła konstrukt sanacyjnej propagandy, oparty na zmanipulowaniu analizy Dmowskiego, skądinąd doskonałej, sprzed wielkiej wojny: Niemcy i Austro-Węgry zetrą się z koalicją brytyjsko-francusko-rosyjską, ta druga, z poparciem USA, musi wygrać i to ona ustanowi nowy porządek świata, a my musimy być w obozie zwycięzców, co oznacza konieczność taktycznego porozumienia z caratem.

Można powiedzieć – polska scena polityczna czy raczej propagandowa kakofonia, którą ona wytwarza, widziała już wszelkie wolty. Sam Giertych, „faszysta" straszony przez „Wyborczą" topieniem w jeziorze i nękany przez Michnika sądowo, z chwilą zblatowania się z towarzystwem stał się autorytetem i ekspertem, podobnie jak pogardzany ZCHN-owiec Niesiołowski czy swego czasu „mały Mussolini" Wałęsa. Również przekazy

eprasa.pl 9062e47cf9

płynące w przeciwną stronę zmieniały się diametralnie: Jarosław Kaczyński był przedstawiany a to jako bezradny nieudacznik, który nie ma konta w banku ani prawa jazdy i mieszka u mamy, a to znowu jako kręcący wielkimi pieniędzmi „prezes deweloper" albo złowrogi demiurg „putinformu" snujący spiski na skalę międzynarodową i dopinający wraz z Putinem i Orbánem rozbiór Ukrainy. Przez wiele lat, realizując niemieckie oczekiwania co do resetu z Rosją, strona lewicowo-liberalna oskarżała Kaczyńskiego o sypanie piachu w tryby normalizowania relacji z Putinem i o to, że niedorzeczną teorią o zamachu w Smoleńsku skłóca nas z potężnym sąsiadem – by z dnia na dzień odwrócić rolę i wykreować Tuska na nieprzejednanego wroga Kremla, a Kaczyńskiego na pomocnika w putinowskiej dywersji przeciwko planom scentralizowania UE w jedno państwo. Dlaczego Putin miałby przeszkadzać planom „pogłębienia integracji" podporządkowującym Polskę i całą Europę najbliższemu europejskiemu sojusznikowi, którym są dla Rosji – nie z racji sentymentów, tylko obiektywnych, wymiernych finansowo interesów – Niemcy, nikt w bańce Tuska nie zapyta, nie ma obawy.

ANTYPISIZM SIĘ KOŃCZY

Fanatyczni wyznawcy podchwycą oczywiście każde oskarżenie – równie dobrze, jeśli Tusk i jego medialni pomagierzy tak odczytają „zamówienie społeczne", mogą zacząć od jutra głosić, że PiS to opcja niemiecka, a PO od zawsze twardo stawiała przeciwko Niemcom i eurokratom kwestię naszej niepodległości i katolickiej tożsamości (oczywiście wystarczy przecież przypomnieć założycielską „deklarację krakowską", znaną też jako „wawelska"). Może też ogłosić, że Kaczyński jest agentem złowrogiego Zoltana z planety Spectra (wspomniany już Tomasz Piątek na pewno połączy błyskotliwie nazwisko Emilewicz z Emilcinem, gdzie w 1978 r. wylądowało UFO, a Tomasz Lis nie omieszka zaręczyć swym dziennikarskim autorytetem, że taka zbieżność nie może być przypadkowa). Tylko że PO i michnikowszczyzna nie mają już takiego „bezpieczeństwa informacyjnego", do jakiego przywykły – czasy, kiedy najgłupszy nawet przekaz ich propagandy jako tako się sprzedawał, bo dla większości Polaków był przekazem jedynym, do którego mieli dostęp, już nie wrócą. Stąd nawet genetycznie wroga PiS „Krytyka Polityczna" zaczyna zauważać, że na samym antypisizmie obecna władza daleko już nie zajedzie i trzeba go uzupełnić jakimś przesłaniem pozytywnym.

Tusk i jego medialni pomagierzy mogą zacząć głosić, że PiS to opcja niemiecka, a PO od zawsze twardo broniła naszej niepodległości

Tylko że Tusk przesłania pozytywnego nie ma, nie ma nawet pomysłu na nie – natomiast wyraźnie chce być w głównym nurcie propagandy europejskiej. Działa zgodnie ze wskazaniami Iwana Krasteva i Marka Leonarda z raportu ECFR „Jak uzyskać właściwy wynik wyborów europejskich" (omówionego u nas szczegółowo przez Łukasza Warzechę): uciekać od konkretów, bo tu „siły proeuropejskie" chwalić się nie mają czym, zmienić wybory w plebiscyt „za czy przeciw Europie" i straszyć wojną oraz Putinem przedstawianym jako beneficjent głosowania „przeciw Europie".

Wpisuje się to w plan, który w niskozasięgowych „eksperckich" publikacjach europejskich think tanków i ciał doradczych szkicowany jest całkiem otwarcie: wykorzystać wojnę na Ukrainie i przewidywaną wygraną Trumpa (a więc w propagandzie „proeuropejskiej": Putina) w wyborach prezydenckich w USA do ogłoszenia „dziejowej konieczności" skonsolidowania Europy w jedno państwo. Wypchnąć „prorosyjskie" USA z Europy, a następnie uśmierzyć zagrożenie ze strony Rosji zawarciem z nią pokojowego kompromisu i powrotem do obopólnie korzystnej współpracy gospodarczej opartej na wspólnie uznawanej konieczności ratowania planety – mniej więcej tak wygląda dalekosiężny plan Niemiec na ten moment i raczej trudno sądzić, by obóz Tuska był w stanie się przeciwko niemu zbuntować, choćby tylko w myślach.

Nikt oczywiście nie odmawia politykom prawa do zmiany zdania. Tylko że wiarygodna zmiana strategii wymaga publicznego przyznania: myliliśmy się. Żaden z głównych zarządców polskich emocji politycznych i tych głębszych, tożsamościowych, z których wybory polityczne wynikają, nie uważa jednak tego za potrzebne. Polska polityczna wojna przypomina zmagania między Eurazją, Wschód Azją i Oceanią w powieści Orwella „Rok 1984": gdy mocarstwa odwracają sojusze, utrzymują twardo, że zawsze były w sojuszu z obecnym sojusznikiem i w śmiertelnym sporze z odwiecznym wrogiem. Z tym że u Orwella przynajmniej wstecznie dostosowywano wszystkie stare gazety i inne źródła do aktualnej linii. U nas nikomu nie przeszkadza, że po Internecie hulają dawne protesty Tuska przeciwko traktowaniu jak wrogów migrantów Łukaszenki, którzy są tylko „biednymi ludźmi szukającymi swego miejsca pod słońcem", albo zapewnienia komisarza Wojciechowskiego, że „Zielony Ład jest realizacją programu rolnego PiS". Komu się nie podoba, może na wybory nie iść – żelazne elektoraty przełkną wszystko, przyjdą i zagłosują, żeby słupek „naszych" okazał się choć odrobinę wyższy od słupka „onych".

Ale co mogą innego Polacy zrobić? Głosowanie na pacynki Tuska jest tak czy owak głosowaniem na Tuska, choć pozwalającym nieco zredukować poczucie wstydu i wyrzuty sumienia. A Konfederacja wciąż nie jest w stanie zbudować swej wiarygodności jako poważnej siły politycznej, a nie krzykliwego marginesu. Między innymi dlatego, że zamiast grać o odzyskanie „lotnych piasków", które w ubiegłym roku, po sondażowych sukcesach z miesięcy wakacyjnych ostatecznie opuściły ją na rzecz Trzeciej Drogi, partia Mentzena i Bosaka uległa iluzji, że elektorat dla niej jest w PiS i że metodą jego odebrania Kaczyńskiemu jest żyrować z pozycji wolnorynkowych i eurosceptycznych antypisowskie przekazy obozu rządzącego.

W tej sytuacji dalsza degeneracja debaty publicznej jest nieunikniona i można tylko kpić, bo komentować takiej polityki na serio naprawdę się nie da.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

Klucz czy wytrych?

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Piotr Semka

Niezwykle ostre diagnozy Krasowskiego dotyczące „Naczelnika" sąsiadują z fragmentami, w których autor książki oddaje sprawiedliwość swojemu bohaterowi w wielu ocenach jego rządów. Jedno nie klei się do drugiego. Powstał dziwaczny miszmasz

Jak na taki staż, ponad 35-letniej stałej obecności Jarosława Kaczyńskiego w centrum polskiej polityki, to poważnych prób analizy tego fenomenu nie mamy w Polsce zbyt wiele. Pomijam tu oczywiście sensacyjne książki próbujące szperać w rozmaitych epizodach życia Kaczyńskiego, okraszane suto wypowiedziami anonimowych „polityków z Nowogrodzkiej". Autor książki „Klucz do Kaczyńskiego", Robert Krasowski, to publicysta doświadczony. Terminuje w tym fachu już od ponad 30 lat. Osobom oczytanym w polskiej publicystyce politycznej tytuł jego najnowszej książki brzmi znajomo. I rzeczywiście, była już książka „Klucz do Piłsudskiego" pióra Stanisława Cata-Mackiewicza. Nie wiem, czy Krasowskiemu chodziło o skojarzenie z książką „Cata", ale faktem jest, że zarówno Marszałek, jak i „Naczelnik" wywoływali mnóstwo emocji.

> **W największym skrócie książka Krasowskiego ma ambicje opisania najważniejszych cech, które pchały prezesa PiS do polityki**

Na początku lat 90. Krasowski należał do młodych dziennikarzy, którzy tworzyli dziennik „Życie" Tomasza Wołka. Jego generacja, do której zalicza się autor tej recenzji, stanęła wtedy przed pytaniem,

eprasa.pl 9062e47cf9

jaki kształt ma mieć polska prawica. Drugim doświadczeniem pokoleniowym było zderzenie się ze wszechmocą „Gazety Wyborczej" Adama Michnika. Krasowski, doktorant prof. Marcina Króla, nigdy nie ukrywał, że nie potrafił znaleźć w karcie dań ówczesnej prawicy siły politycznej, z którą by się utożsamiał. Bardziej fascynowali go wtedy ideowi outsiderzy, tacy jak Jadwiga Staniszkis, Bronisław Łagowski czy Andrzej Walicki. Od tych dwóch ostatnich zaczerpnął głęboką nieufność wobec haseł antykomunistycznej rekonkwisty. Krasowski wzywał raczej do tworzenia prawicy nierewolucyjnej. Wiele osób twierdzi, że to on był autorem pojęcia „dbania o ciepłą wodę w kranie" jako ideału, który winien przyświecać polskim konserwatystom.

Z czasem porzucił pracę w dziennikach i założył wydawnictwo Czerwone i Czarne, które ma na swym koncie wiele ciekawych książek. Niektóre, takie jak wywiady z Jadwigą Staniszkis, Januszem Palikotem czy Pawłem Piskorskim, będą bezcenne przy opisie lat III RP. Ale Krasowski wydawał też książki, które miały przynieść jak największy zysk, takie jak wywiad z Jerzym Urbanem czy wspomnienia Moniki Jaruzelskiej.

Obecnie przedstawia się jako ktoś stojący pośrodku. A raczej jako ktoś, kto wyzbył się nadziei na możliwość takiej postawy. Jak pisze w książce: „Dziś [...] wiem, że nie ma środka. Obie strony (to jest PiS i PO) są tak szalone, że nie wystarczy stanąć między nimi w jakimś wyobrażonym środku. Trzeba od obu stron uciekać przynajmniej w myślach". Jak na początek książki mającej analizować jednego z dwóch protagonistów polskiej polityki to dziwne określenie. Krasowski tymczasem wolał zająć się Kaczyńskim. Czy zajmie się jeszcze Tuskiem? Zobaczymy.

W największym skrócie książka Krasowskiego ma ambicje opisania najważniejszych cech, które pchały prezesa PiS do polityki. Autor ocenia, że Kaczyńskiego zawsze interesowała władza nad własną partią, a nie rządzenie krajem. Twierdzi, że Kaczyński formułował przez ostatnie 30 lat wyimaginowane tezy o zagrożeniu państwa, które według Krasowskiego nigdy się nie sprawdzały. Ponadto krytykuje liberalną inteligencję za to, że ta nie rozumie fenomenu Kaczyńskiego, i dziwi się, że dała ona się tak potulnie zastraszyć.

Wirtualna Polska, która przeprowadziła z nim długi wywiad, pośrednio reklamuje książkę, zapowiadając, że „dla obydwu stron polskiej szalonej sceny politycznej" będzie ona niczym płachta na byka. Jak każda efektowna reklama są to tezy wysoce na wyrost. Jeśli ktoś sięgnie po książkę, to raczej przeciwnicy PiS, których zainteresuje cały katalog wad prezesa opisywanych starannie przez Krasowskiego. Ale miłośnicy portali typu Sok z Buraka czy publicystyki Tomasza Lisa nie będą do końca zachwyceni dziełem Krasowskiego. Zbyt często zdarza mu się bowiem trzeźwo wskazywać, że Kaczyński w czasie swoich ośmioletnich rządów prawa nie łamał, co najwyżej je omijał.

Jak podejrzewam, książka Krasowskiego najbardziej będzie zachwycała czytelników, którzy na co dzień nie śledzą zbyt uważnie polityki, ale lubią, gdy ktoś daje im efektowną syntezę. Krasowski ma dar pisania w sposób przekonujący. Wymyśla bardzo efektowne wyjaśnienia politycznych procesów. Tyle że dla przeprowadzenia swojego wywodu zręcznie przemilcza wiele istotnych wydarzeń z przeszłości. Nic nie może przeszkadzać przyjętej przez niego a priori tezie.

KACZYŃSKI – MISTRZ DESTRUKCJI

Ten wątek otwierający książkę to swoiste przedłużenie trzeciej części trylogii Krasowskiego o dziejach polityki III RP, wydanej w 2016 r. pt. „Czas Kaczyńskiego. Polityka jako wieczny konflikt, lata 2005–2010". Autor wraca do tezy o liderze PiS, a wcześniej Porozumienia Centrum, jako wirtuozie politycznej wojny. Jak pisze: „Zawsze uderzał mocniej jak przeciwnik, szybciej i bardziej zaciekle. Zawsze przekraczał dopuszczalną w dawnej epoce dawkę agresji [...]. Geremek, Mazowiecki nie byli ofermami, potrafili grać, intrygować, wycinać rywali, nie mdleli, gdy ciosy na nich spadały. Ale z Kaczyńskim nie mieli szans, zasypywał ich ciosami".

Cały wykład Krasowskiego napisany jest tak, jakby jeden demoniczny „Kaczor" szalał na scenie politycznej zaludnionej przez polityczne baranki. Tak jakby nie było medialnego imperium Michnika, tak jakby nie istniała sprawna i niekiedy bardzo brutalna maszyneria Kongresu Liberalno-Demokratycznego Donalda Tuska, a potem Platformy Obywatelskiej, i tak jakby nikt nie słyszał o niezwykle sprawnym i agresywnym obozie postkomunistów z Leszkiem Millerem czy Włodzimierzem Cimoszewiczem na czele.

W opowieści Krasowskiego nie występują inwigilacja prawicy, zachłanność PZPR-owskiej nomenklatury czy sposób zablokowania lustracji w czerwcu 1992 r. Jest tylko Kaczyński jako wielki agresor, destruktor, szkodnik – człowiek, który polską politykę zepsuł. Wszyscy inni to jego ofiary

Człowiek przeciera oczy, gdy Krasowski się oburza, że Kaczyński opowiadał mediom, iż Geremek w 1989 r. porozumiał się z komunistami. Jak podkreśla: „Czas pokazał, że nie miał na to żadnych dowodów, że to wszystko były domysły". Jak ktoś pamiętający początek lat 90. może twierdzić, że przy Okrągłym Stole komuniści nie wynegocjowali po cichu np. bezkarności dla Jaruzelskiego i Kiszczaka? Przecież sam Geremek w czasie sporów o dekomunizację i lustrację używał argumentu, że „pacta sunt servanda". Było to oczywiste nawiązanie do rozmów w Magdalence.

W opowieści Krasowskiego nie występują inwigilacja prawicy, zachłanność PZPR-owskiej nomenklatury czy sposób zablokowania lustracji w czerwcu 1992 r. Jest tylko Kaczyński jako wielki agresor, destruktor, szkodnik – człowiek, który polską politykę zepsuł. Wszyscy inni to jego ofiary. Ale ten cały efektowny obraz „wielkiego psuja" służy Krasowskiemu do jeszcze bardziej krytycznej dla Kaczyńskiego teorii. Jak pisze: „Wojenna metoda zaburzyła społeczny ogląd rzeczywistości, sugerowała aktywizm,

eprasa.pl 9062e47cf9

twardość, zuchwałość. Tymczasem większość działań Kaczyńskiego nie wykroczyła poza obronę fotela prezesa (PiS) i interesów partyjnych".

Twórca wydawnictwa Czerwone i Czarne z uporem twierdzi, że Kaczyńskiemu zależało wyłącznie na władzy nad partią. Owszem, potrafi bardzo trafnie punktować lidera PiS za autorytarne nawyki w kierowaniu swoim ugrupowaniem. Choćby jego nawyk kształtowania statutu PiS tak, aby niemal niemożliwe było wysadzanie go z siodła. Ale autor książki nie tłumaczy, dlaczego Kaczyńskiemu mogło tak bardzo zależeć na dużej, silnej, trwałej partii prawicy. Nie przypomina, np. młodszym czytelnikom, jak bardzo skłócona i rozdrobniona była polska prawica w latach 1990–1999. Jak chmara kieszonkowych wodzów budowała koalicje rządowe złożone z czterech, pięciu czy nawet sześciu partii. Jak te operetkowe partyjki dawały się ogrywać wpierw Wałęsie, a potem Aleksandrowi Kwaśniewskiemu.

KACZYŃSKI JAKO INTELIGENT

Robert Krasowski pisze w swojej książce, że szef PiS był jednym z liderów polskiej inteligencji. I że zawsze chciał być panem dusz polskich inteligentów. Ale to pod piórem autora książki bynajmniej nie komplement, bo uważa on dominację inteligencji w polskiej polityce, szczególnie w latach 90., za nieszczęście. Stawia tezę, że Kaczyński nie chciał budować silnego państwa, a raczej aspirował do rządu dusz nad polskimi inteligentami. Jednocześnie nie potrafi się powstrzymać od komplementu, że „od czasu Romana Dmowskiego nikogo podobnego w centrum polskiej polityki nie było". Co począć z taką mieszanką przeciwstawnych tez?

Oczywiście Kaczyński na swój sposób jest być może jednym z niewielu już polskich tradycyjnych inteligentów. Ludzi lubiących długie debaty przy winie na temat przeczytanych książek. Faktem jest też, że forował do Parlamentu Europejskiego takie postacie jak prof. Ryszard Legutko czy prof. Zdzisław Krasnodębski. Ale czy w praktycznej polityce chęć podobania się polskiej inteligencji była dla niego jakimś priorytetem? Myślę, że wątpię.

Inny przykład. Krasowski jest pewny, że aluzje Kaczyńskiego w sprawie możliwego zamachu w Smoleńsku to jedynie cyniczny konstrukt kogoś, kto sam jest pewny, że do niczego takiego nie doszło. Można, owszem, krytykować PiS za to, że mimo powoływania komisji Macierewicza nie był w stanie wyraźnie udowodnić zamachu, ale jednocześnie wiemy o okolicznościach tej katastrofy tak niewiele, że jednoznaczne wykluczanie aktywności rosyjskich służb jest dosyć dziwaczne.

I wreszcie finałowa teza książki Krasowskiego. Oddajmy głos autorowi: „Przez ostatnich osiem lat słyszeliśmy dużo krzyku ze strony Kaczyńskiego. Ale gdyby ten krzyk wyciszyć, usłyszelibyśmy mlaskanie. To był odgłos wielkiego żarcia". Jak głosi Krasowski: „Kaczyński dał zielone światło do eksploatacji państwa, jakiej w III RP nigdy nie było". Zauważmy, że pisze to autor, który musiał pamiętać żerowanie Kongresu Liberalno-Demokratycznego i utożsamianych z nim podejrzanych biznesmenów w gospodarce lat 90. Ktoś, kto był świadkiem tego, jak w latach 90. powstawały wielkie koncerny tworzone przez postkomunistycznych oligarchów, takie jak Universal czy prywatne banki. Ktoś, kto był redaktorem naczelnym „Dziennika Gazety Prawnej" w czasach, gdy wychodziły na jaw szczegóły afery hazardowej, w którą uwikłanych było wielu polityków Platformy Obywatelskiej.

A zaraz obok Krasowski potrafi chwalić Kaczyńskiego za to, że powołał do życia państwo o nowoczesnych standardach społecznych. Jak pisze: „Po raz pierwszy poziom redystrybucji stał się nie tylko duży, ale też stabilny. Pięćset plus, stały wzrost płacy minimalnej, coraz większe emerytury". Tak samo, opisując ośmioletnie rządy Kaczyńskiego, przyznawał, że oskarżyć go o złamanie prawa nie można. Jak pisze: „Jeżeli Kaczyński dokonywał zamachu na demokrację, to nie na demokrację w państwie, ale w partii". I tych zdań pewnie nie darują Krasowskiemu zwłaszcza ci, którzy od lat głoszą, że lata 2015–2023 to był okres brutalnej, ponurej, brunatnej dyktatury.

ROBERT KRASOWSKI „KLUCZ DO KACZYŃSKIEGO" CZERWONE I CZARNE 2024

ZYGZAKI I POŁAMAŃCE

Jeżeli ktoś by sobie zadał trud przetłumaczenia tej książki, np. na język japoński, i dałby ją do poczytania czytelnikowi z Kraju Kwitnącej Wiśni, to – jak podejrzewam – nie bardzo potrafiłby on zrozumieć logikę narracji Krasowskiego. Jeśli Kaczyński tak bardzo uciekał od władzy, to kto niby stał w latach 2015–2023 za utrzymaniem się u władzy w trudnym okresie pandemii? Kto zatrzymał nacisk Łukaszenki na polską wschodnią granicę? Kto przekopał Mierzeję Wiślaną? I kto podjął decyzję o uratowaniu Ukrainy sporymi dostawami broni w momencie największego naporu Rosjan?

Niezwykle ostre diagnozy Krasowskiego dotyczące „Naczelnika" sąsiadują z fragmentami, w których autor książki oddaje sprawiedliwość swojemu bohaterowi w wielu ocenach jego rządów. Jedno nie klei się do drugiego. Powstał dziwaczny miszmasz mający niekiedy atrakcyjną formę wynikłą z osobistego talentu publicystycznego Krasowskiego, a nie z racji oparcia się na faktach. Krasowski we wstępie pisze: „Autor nie twierdzi, że znalazł klucz do Jarosława Kaczyńskiego. Klucza szukał. Jeśli ten klucz was nie przekonuje – pokażcie własny lepszy, ale klucz prawdziwy, nie impresje. Ambicji zrozumienia Jarosława Kaczyńskiego nie widać. Króluje uogólnienie, cząstkowe krytyki i cząstkowe pochwały". Całe to zdanie można uznać za najkrótszą i najcelniejszą recenzję najnowszej książki twórcy wydawnictwa Czerwone i Czarne.

Krasowski stawia tezę, że Kaczyński nie chciał budować silnego państwa, a raczej aspirował do rządu dusz nad polskimi inteligentami. Jednocześnie też nie potrafi się powstrzymać od komplementu, że „od czasu Romana Dmowskiego nikogo podobnego w centrum polskiej polityki nie było"

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, przewodniczącym Rady do spraw Rozwoju Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, byłym ministrem rolnictwa
rozmawia Ryszard Gromadzki

Tusk nie jest szczery z rolnikami

RYSZARD GROMADZKI: Rada Unii Europejskiej podjęła decyzję o zawieszeniu na kolejny rok – do czerwca 2025 r. – ceł przywozowych i kontyngentów na eksport produktów rolnych z Ukrainy. Jakie będę konsekwencje tej decyzji dla polskiego rolnictwa?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Decyzja Rady Unii Europejskiej jest praktyczną realizacją Zielonego Ładu. Chodzi o zniszczenie nie tylko polskiego, lecz także europejskiego rolnictwa w imię ideologicznego szaleństwa, dyktowanego ekologizmem. Celami tej polityki są zmniejszanie skali produkcji rolnej i redukcja liczby gospodarstw w Europie. W myśl jej założeń brakująca żywność na rynku europejskim sprowadzana ma być spoza Unii. Temu służyły zawierane w poprzednich latach umowy dwustronne, przede wszystkim z krajami Ameryki Południowej (umowa Mercosur) czy Nową Zelandią. Po rosyjskiej agresji na Ukrainę w 2022 r., pod hasłami wsparcia walczącej Ukrainy, Unia otworzyła swój rynek na niekontrolowany napływ ukraińskich produktów rolnych, co doprowadziło do załamania na rynkach wewnętrznych, przede wszystkim w państwach frontowych sąsiadujących z Ukrainą. Polski rynek i nasze rolnictwo zostały dotknięte tym procederem szczególnie boleśnie, ze względu na znaczący sektor rolny. Jak widać, gwałtowne rolnicze protesty przeciwko takiej polityce Unii zostały przez eurokratów w Brukseli całkowicie zlekceważone.

Czy to znaczy, że Polska nie ma w tej chwili do dyspozycji żadnych skutecznych instrumentów, które mogłaby wykorzystać, żeby skutecznie bronić swojego sektora rolnego?

De facto nie. O wszystkim decyduje Bruksela. Bezpośrednie negocjacje ze stroną ukraińską są bardzo trudne. Ukraińcy prowadzą rozmowy w sposób agresywny, nie widzą powodu, żeby rozmawiać z Polską czy innymi krajami graniczącymi, uważając, że jedynego partnera mają w Brukseli. Z kolei Komisja Europejska składa bałamutne propozycje pomocy dla krajów członkowskich dotkniętych napływem tanich produktów rolnych z Ukrainy, które w istocie są tylko pozorami realnej pomocy. Unia proponuje skomplikowany mechanizm wsparcia dla producentów z krajów, którzy ponieśli straty wskutek nadmiernego importu artykułów rolnych z Ukrainy. Jednak żeby uzyskać zgodę KE na wstrzymanie importu, trzeba najpierw wykazać straty spowodowane importem, udowodniając, że jest większy niż w latach 2022 i 2023, czyli po wybuchu wojny, kiedy był ogromny, i jednego półrocza sprzed wojny. KE będzie miała kilka miesięcy na decyzję, a towar niszczący rolników w poszczególnych krajach już tam będzie i nikt go nie odeśle.

Demonstracyjne wspieranie eksportu płodów rolnych z Ukrainy przez Komisję Europejską do Unii kosztem ogromnych strat w rolnictwie krajów członkowskich, skutkujące ostrymi napięciami rynkowymi, świadczy o niezwykle skutecznym lobbingu w Brukseli ze strony ponadnarodowych konsorcjów kontrolujących ukraiński sektor rolny.

Rząd PiS, który długo był bezkrytyczny wobec Ukrainy, w końcu zdecydował się jednak wprowadzić czasowe embargo na zboże i niektóre inne ukraińskie produkty rolne. Rząd Tuska nie może powtórzyć tego manewru?

Może, ale prawdopodobnie nie ma takiej woli. Widząc, co się dzieje w sprawie ukraińskiego zboża, już dwa lata temu apelowałem do ówczesnego rządu Prawa i Sprawiedliwości, aby podjął zdecydowane kroki w celu ochrony polskiego rynku i żywotnych interesów polskich rolników. Późno, bo późno, ale embargo na ukraińskie zboże i inne produkty zostało w końcu wprowadzone. Cały czas Polska straszona była przez Komisję Europejską karami za ochronę swojego rynku. Jak wiadomo, żadnych kar nie było. Nie widzę przeszkód, żeby obecny rząd

eprasa.pl 9062e47cf9

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

znów zastosował zakaz wwozu ukraińskich produktów rolnych do Polski.

Przecież od miesięcy domagają się tego protestujący rolnicy. To obok wycofania się przez Polskę z Zielonego Ładu ich główny postulat.

Tusk nie jest szczery z rolnikami. On i inni przedstawiciele rządu cały czas powtarzają, że postulaty rolników w sprawie równych warunków konkurencji dla Ukrainy i zatrzymania niekontrolowanego napływu zboża i innych ukraińskich produktów rolnych są słuszne i rząd robi wszystko, by pomóc rolnikom, ba, premier twierdzi, że właściwie to on już wszystko załatwił. To oczywista nieprawda. Rolnicy są rozczarowani brakiem wsparcia ze strony premiera, a przecież przez lata zapewniał o swoich mitycznych wpływach w Komisji Europejskiej i innych władzach w Brukseli. Tyle że z tych deklaracji nic nie wynika. W rzeczywistości Tusk zwodzi rolników i gra na przeczekanie protestów. A tacy ludzie jak Kołodziejczak wykorzystywani są do rozbijania środowisk rolniczych.

W rzeczywistości Tusk zwodzi rolników i gra na przeczekanie protestów

Wobec braku działania ze strony rządu i realizowanej przez Komisję Europejską polityki pełnego otwarcia rynku dla produktów rolnych z Ukrainy zapowiada się kolejny trudny rok dla polskich rolników. Szczególnie dramatyczna wydaje się sytuacja producentów zbóż.

Niestety, wobec sytuacji panującej na rynku to ponura oczywistość. W magazynach zalega ok. 9 mln ton zboża, z którym nie ma co zrobić. Tegoroczna aura sprawiła, że wegetacja jest przyspieszona o prawie trzy tygodnie. W związku z tym żniwa rozpoczną się zapewne już na początku lipca. I będziemy mieli wielki problem. Ceny zbóż w ubiegłym roku osiągnęły poziom historycznego minimum. Chwilowe, niewielkie dopłaty do sprzedanego zboża z ubiegłorocznych zbiorów, wprowadzone przez obecny rząd, niczego nie rozwiązują. Obawiam się, że po tegorocznych żniwach ceny będą dalej spadać, co będzie miało dramatyczne konsekwencje dla opłacalności produkcji, a więc przyszłości tysięcy polskich gospodarstw.

Co się dzieje z tzw. zbożem technicznym z Ukrainy, czyli niespełniającym żadnych norm? W ubiegłym roku do Polski miały napłynąć setki tysięcy ton takiego zboża. Czy ten proceder jest kontynuowany? Jest realne ryzyko, że część żywności w Polsce produkowana jest z technicznego zboża z Ukrainy?

W związku z patologiczną sytuacją na granicy z Ukrainą, bo inaczej tego nie można nazwać, szacuje się, że w 2023 r. napłynęło do Polski ponad 100 tys. ton zboża technicznego i ponad 200 tys. ton tzw. rzepaku technicznego z Ukrainy. Napłynęło w majestacie prawa, bo w Polsce nie ma inspekcji, która badałaby takie zboże. Jakość zboża konsumpcyjnego badają sanepid i IJHARS, a Inspekcja Weterynaryjna sprawdza zboże paszowe. Zboże siewne jest kontrolowane przez Państwową Inspekcję Ochrony Roślin i Nasiennictwa. Zbożem technicznym nie zajmuje się nikt.

Te setki tysięcy ton się rozpłynęły. Winnych nie ma. Nie można wykluczyć, że to zboże zostało wykorzystane do produkcji żywności i pasz. Niestety, wobec patologii związanej z brakiem właściwego nadzoru na granicy nad zbożem wwożonym do Polski z Ukrainy nie ma żadnych gwarancji, że ten skandaliczny proceder może być nadal kontynuowany. Przeciwko temu także protestują rolnicy. Są może obecnie najbardziej świadomą grupą społeczną, broniącą Polski i Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

Ustawa Zakrzewskich
odmieniła edukację domową w Polsce

Rozmawiamy z profesorami Pawłem i Marzeną Zakrzewskimi, pionierami współczesnego homeschoolingu w Polsce. Gorącymi orędownikami wolnego wyboru w oświacie, a prywatnie rodzicami 12 dzieci. Wszystkie z nich były nauczanie w formie edukacji domowej

Zajęliście się nauczaniem indywidualnym, dziś nazwalibyśmy to homeschoolingiem, gdy kompletnie nikt o tym nie mówił i mało kto rozumiał ten model edukacji. Dla urzędników przez ponad dekadę staliście się symbolem oświatowego undergroundu. Nie nadążali za waszą pedagogiczną kreacją. I może stąd potraktowano was jako wrogów systemu. Dlaczego w ogóle podjęliście ten temat?

MARZENA ZAKRZEWSKA: Chcąc dla naszych dzieci jak najlepiej, szukaliśmy metod nauczania skutecznych i przyjaznych rodzinie. Analizowaliśmy nie tylko wyniki. Równie ważne były dla nas osobiste koszty, które ponoszą dzieci podczas procesu edukacji. Można powiedzieć, że pożądany przez nas był model zrównoważonej, a także wszechstronnej edukacji. Takiej, która godzi wszystkie ważne cele w rozwoju naszych dzieci.

PAWEŁ ZAKRZEWSKI: Moi rodzice przykładali olbrzymią wagę do wykształcenia. Otwartość na tzw. alternatywne formy nauczania i nowoczesne narzędzia edukacyjne jest w moim przypadku rodzinną tradycją. Tak jak rodzice dla mnie, tak ja dla moich dzieci chciałem jak najlepszej edukacji. Wybór odpowiedniej formy i narzędzi do edukacji dziecka jest możliwy jedynie, gdy na jego rozwój patrzymy w sposób holistyczny. Edukacja ma być spójna z pozostałymi elementami rozwoju. Tylko wtedy dojrzewanie dziecka do samodzielności nastąpi w sposób naturalny, spontaniczny i optymalny.

eprasa.pl 9062e47cf9

Wiele mówicie o optymalnej edukacji. Ukazujecie nauczanie domowe jako lepszą jej formę. Tylko jak przedstawia się to w praktyce? Dlaczego miałaby być bardziej wartościowa od tej proponowanej przez państwowy model?

MARZENA ZAKRZEWSKA: Dobra edukacja to taka, która efektywnie uczy dziecko nowych kompetencji, nie niwelując przy tym posiadanego przez nie potencjału. Bądźmy otwarci na ucznia. Tylko wtedy możemy w pełni rozwinąć jego talenty.

PAWEŁ ZAKRZEWSKI: Ponadto optymalna edukacja to taka, która jest dopasowana do dziecka. Do jego predyspozycji. Do jego ograniczeń. Można powiedzieć: uszyta na miarę. Z taką formą kształcenia dziecko czuje się dobrze. Taka edukacja nie ogranicza. Aby ten cel osiągnąć, konieczne są indywidualizacja i personalizacja procesu nauczania. Ze względu na występujące różnice pomiędzy dziećmi konieczne jest różnicowanie ich edukacji. I cały czas musimy pamiętać, że edukacja jest elementem większej całości, którą jest rozwój dojrzałego człowieczeństwa.

Dzisiaj w każdej z dziedzin życia społecznego czy gospodarczego mówi się o innowacjach. Nie ominęło to również „branży" edukacyjnej. Jak objawia się innowacyjne podejście do nauczania?

MARZENA ZAKRZEWSKA: Pierwszym, z czym kojarzą się innowacje, jest postęp technologiczny i jego zastosowanie dla konkretnej dziedziny. Edukacja też czerpie z tych możliwości pełnymi garściami. Oferowane są nowe narzędzia. Praktyka pokazuje ich skuteczność. Efektywne zostają z nami na dłużej. Nieefektywne odrzucamy. Konieczna jest pewna otwartość na to, co nowe, a także refleksyjna ostrożność. Podjęcie wysiłku na dogłębne zapoznanie się z nowinkami. Bez tego tracimy szanse, które niesie ze sobą rozwój techniczny. Pamiętajmy też oczywiście, że nowe szanse zawsze niosą też ze sobą nowe zagrożenia.

PAWEŁ ZAKRZEWSKI: Jest też innego rodzaju innowacyjność. To nowe spojrzenie zarówno na cele, jak i samą formę kształcenia. Zmiany w tym zakresie może nie są tak medialne jak implementowanie nowoczesnych technologii, ale wydają się mieć jeszcze większy wpływ na optymalny rozwój dziecka. Użyta technologia jest narzędziem i nie zastąpi

operatora. Niemniej dobra edukacja potrzebuje obydwu form innowacji.

W Polsce przez lata edukacja domowa była wręcz zwalczana. Systemowo robiono wszystko, by nie mogła się rozwijać. Urzędowo zniechęcano do korzystania z takiej formy nauczania. Duża część środowiska związanego z edukacją uważała ją za konkurencję, której się bano, więc prewencyjnie robiono wszystko, by uczniowie pozostawali w tradycyjnych placówkach. Wy z kolei – przy tak negatywnym nastawieniu „branży" – szliście pod nurt, promując homeschooling. Doprowadziliście nawet do wyjątkowego na polskiej scenie politycznej konsensusu legislacyjnego, nazwanego przez parlamentarzystów od waszego nazwiska „ustawą Zakrzewskich". Było warto?

MARZENA ZAKRZEWSKA: Powiem szczerze i może trochę nieskromnie: Naszym największym osiągnięciem, jako propagatorów nowoczesnych form edukacji, jest przekonanie wielu osób do otwartości na innowacyjność w edukacji. Wiele rodzin spojrzało na edukację swoich dzieci inaczej. Wiele wysiłku kosztowało nas propagowanie idei nowoczesnej edukacji wśród polityków, urzędników, celebrytów. Dzięki temu zaangażowaniu w 2021 r. został osiągnięty konsensus polityczny, który zaowocował potrzebnymi zmianami legislacyjnymi w prawie oświatowym.

PAWEŁ ZAKRZEWSKI: Powszechna zgoda na przyjęte wtedy rozwiązania w prawie oświatowym była wyjątkowa. Optymizm wynikający z tego faktu wyszedł poza sferę edukacji. Rodził nadzieję, że i w innych dziedzinach możliwa jest współpraca ponad podziałami. Wierzę, że propagowanie wśród decydentów zobiektywizowanej wiedzy na ważne tematy przyniesie i w przyszłości pozytywne efekty w postaci konsensusu politycznego.

MARZENA ZAKRZEWSKA: Osobiście po latach walki i dyskryminacji doświadczyliśmy również wielu wyróżnień i nagród. Taka sinusoida. Podobnie jest z ideą edukacji w rodzinie. Teraz na nowo przychodzi czas pracy organicznej, aby zachować i poszerzyć wolny wybór w zmieniających się uwarunkowaniach geopolitycznych (uśmiech).

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 9062e47cf9

Paweł Chmielewski

Diecezja sosnowiecka nie została zlikwidowana pomimo gigantycznych skandali, które wstrząsają nią od wielu lat. Kościół zdecydował się dać jej nowego biskupa, Artura Ważnego z Tarnowa. Ważny przychodzi z zewnątrz, nie ma związków z lokalnym układem władzy. Może w niej wiele naprawić, ale wątpliwe, by – nawet jeżeliby tego chciał – mógł do końca rozwiązać najpoważniejsze problemy

Czytelnicy tygodnika „Do Rzeczy" pamiętają najpewniej cykl skandali dotykających diecezję sosnowiecką. Zaczynając tekst poświęcony temu miejscu, trzeba jednak wiedzę na ten temat uporządkować, tym bardziej że problemy cały czas się mnożą. Proszę zatem wybaczyć mi najbliższe akapity, które mogą przyprawić o mdłości najzdrowszego katolika; a pewnie nawet wielu niewierzących.

Wszystko zaczęło się w kwietniu 2008 r., kiedy w Rzymie zmarł Alfonso López Trujillo. To kolumbijski kardynał, którego złożone zainteresowania erotyczne barwnie opisał Frédéric Martel w książce „Sodoma". Purpurat był protektorem Grzegorza Kaszaka, księdza ze Szczecina, który w latach 90. przyjechał do Rzymu na studia. Za życia Kolumbijczyka Kaszak pracował w Kurii Rzymskiej i robił obiecującą karierę. Jednak gdy patrona zabrakło, został skierowany na urząd biskupa Sosnowca.

Władza biskupa to zawsze frukta, ale cokolwiek by mówić o walorach nowego domu Kaszaka – do Rzymu jednak trochę brakuje. Tak czy inaczej młody biskup – miał w momencie tej wątpliwej promocji dopiero 44 lata – postanowił udowodnić, że w Sosnowcu pod jego władzą nudy nie będzie. Zaczął obsadzać struktury diecezjalne swoimi ludźmi. Jednym z nich był Mariusz T., absolwent sosnowieckiego seminarium. Ksiądz Mariusz już w 2010 r. został rektorem tej placówki. Niestety, jeszcze w tym samym roku media opisały jego wizyty w gejowskich klubach w Warszawie, w tym awantury. Biskup Kaszak, pomimo tak jawnej kompromitacji rektora, przechował go na stanowisku przez ponad rok, a później zadbał o dalsze losy. Ksiądz Mariusz rozpoczął karierę historyka kościelnego, lądując nawet na Uniwersytecie Jana Pawła II w Krakowie, gdzie – jak się mówi – nie był ze swoimi skłonnościami zupełnie odosobniony. Samo seminarium, niestety, nie miało tyle szczęścia. Nie przetrwało początków rządów biskupa Kaszaka: w 2013 r. zostało „przeniesione", czytaj: zlikwidowane; w tle oprócz domniemanych wyczynów rektora były również inne zachowania i relacje związane z klerykalną sceną gejowską.

Był to pierwszy taki przypadek w historii Polski i powinien zasadniczo pogrążyć nowego biskupa, ale tak się oczywiście nie stało. Nie po to ówczesna kościelna elita osadziła Kaszaka w Sosnowcu, żeby tracić człowieka z powodu zwykłego pecha: stosunki w sosnowieckim seminarium może i wymknęły się spod kontroli, ale nie było to ostatecznie coś, czego inne seminaria nie znają… Zresztą przez kolejną dekadę życie kościelne w diecezji toczyło się spokojnym rytmem, tylko z rzadka przerywane jakimś wyskokiem, jak narkotyki w organizmie kapłana (casus z 2017 r.), ale takimi drobnostkami nikt poważny oczywiście się nie przejmuje.

GEJOWSKA ORGIA

Nastał jednak feralny rok 2023. W marcu ks. Robert Sz. – kolega z roku niesławnego rektora – rozstrzelał i dobił nożem diakona Mateusza B., a potem rzucił się pod pociąg. Mówiło się o „zazdrości o karierę", ale niektórzy

eprasa.pl 9062e47cf9

Najtrudniejsza misja biskupa Ważnego

FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS

księża z diecezji wskazywali wprost na sprawy obyczajowe. Skandal wstrząsnął Kościołem w Polsce, ale tronem biskupa Kaszaka nawet nie zachwiał.

Prawdziwy problem pojawił się dopiero pod koniec sierpnia, kiedy „zwykłe" granice przekroczyła gejowska orgia klerykalna w Dąbrowie Górniczej. Impreza odbywała się przy parafii NMP Anielskiej w mieszkaniu ks. Tomasza Z., członka sosnowieckiej elity księżowskiej, redaktora jednej z katolickich gazet. Zaproszeni zachowywali się zasadniczo tak, jak zawsze w tym półświatku: zażywali środki na potencję i narkotyki. Trochę jednak przesadzili, jeden z nich zasłabł. Na miejsce wkroczyły służby. Ksiądz Tomasz został po kilku miesiącach skazany na więzienie (podawanie narkotyków, nieudzielenie pomocy, niewłaściwe zachowanie seksualne). Kto jeszcze brał udział w orgii, nie wiadomo, ale w diecezji mówiło się o obecności pewnego wpływowego kapłana, który miał wszelako dołożyć skutecznych starań, by zatuszować swój udział w sprawie.

Jakkolwiek by było, rzecz poważna i głośna; o Sosnowcu pisano na całym świecie, również w tak bliskich biskupowi Włoszech. Jego Ekscelencja zareagował listem. Pisał w nim m.in. o „obolałych księżach", co wywołało u wielu czytelników, pamiętających medialne opisy szczegółów orgii, dość duży niesmak. Ostatecznie, na skutek dużego nacisku mediów, papież Franciszek usunął Grzegorza Kaszaka z urzędu (choć formalnie to on sam złożył rezygnację, a Ojciec Święty ją tylko przyjął). Krzywda mu się naturalnie nie stała; jako emerytowany biskup mieszka w znakomitych warunkach na terenie diecezji i nic nie zapowiada, by miało się to kiedykolwiek zmienić.

Franciszek zdecydował wówczas, by tymczasowo oddać diecezję sosnowiecką pod opiekę metropolity Katowic, abp. Adriana Galbasa, co miało oczywiste uzasadnienie geograficzne. Niestety, arcybiskup postanowił nie mieszać zanadto w tym gorącym kotle. Jego najważniejszym krokiem było pozostawienie wszystkiego tak, jak jest: jedną decyzją utrzymał u władzy cały dotychczasowy aparat kurialny. Sosnowiecka grupa księży gejów mogła odetchnąć i wrócić do zwykłych zajęć: katechezy, proboszczowania, inkasowania za pogrzeby. Jednak jak pech, to pech, z kotła ponownie się ulało.

MEFEDRON

W marcu tego roku, jeszcze za administratury Galbasa, doszło do kolejnej tragedii, przy parafii Niepokalanego Poczęcia NMP w samym Sosnowcu. W mieszkaniu ks. Krystiana K., poważanego kościelnego „uczonego" i wiceszefa sądu biskupiego, zmarł 21-letni mężczyzna. Co się wydarzyło? Oficjalnie nie znamy przyczyny śmierci chłopaka, ale – jak wykazały badania toksykologiczne – sam ks. Krystian zażywał wcześniej mefedron (lewicowe portale obyczajowe podpowiadają, że to środek bardzo często zażywany dla uatrakcyjnienia doznań seksualnych, zwłaszcza w spotkaniach gejowskich). W diecezji wiedza o problemach Krystiana K. nie była bynajmniej objęta tajemnicą, bo to właśnie on był antybohaterem „drobnej" afery narkotykowej z 2017 r. Po tragedii abp Galbas nałożył na ks. Krystiana umiarkowane kary kanoniczne, a nade wszystko wydał list, wyrażając ubolewanie i przyobiecując modlitwę.

Nominacja dla bp. Artura Ważnego została ogłoszona w kwietniu. Nie wiem, jak długo szukano kandydata na tę stolicę biskupią, ale jeżeli intencje nowego hierarchy są szlachetne – a nie ma powodów, by w to wątpić – to gratuluję mu dużej odwagi. Objęcie diecezji z taką historią nie daje bynajmniej obietnicy łatwej posługi. Pytanie tylko, czy nie zabraknie mu doświadczenia, determinacji i mocy sprawczej, by przełamać układ, który przez długie lata gwarantował homoseksualno-narkotycznej klice księży swobodę i bezkarność.

Ważny niemal całe życie spędził w Tarnowie. To tam otrzymał w 1991 r. święcenia kapłańskie, tam w latach 1995–2014 pracował najpierw jako wikary, a później proboszcz, by wreszcie w roku 2020 zostać tarnowskim

eprasa.pl 9062e47cf9

biskupem pomocniczym. Współpracował blisko z młodzieżą, pełnił funkcję egzorcysty, ojca duchownego kapłanów. Zajmował się też środowiskami charyzmatycznymi: był koordynatorem Odnowy w Duchu Świętym i kościelnym asystentem Kursu Alpha.

ŚRODOWISKO CHARYZMATYCZNE

Wydaje się, że nadzieję dla diecezji sosnowieckiej pokłada właśnie w środowisku charyzmatycznym. 8 maja, kiedy przejął kanonicznie władzę, wziął udział w diecezjalnym wieczorze uwielbieniowym. Sieć obiegły zdjęcia biskupa, na którego ręce kładą świeccy, modląc się za swojego pasterza. Ktoś powie: piękne, tak mało klerykalne i wyjątkowe jak na polskie warunki… Wyjątkowe, to prawda; zwykle to przecież biskup modli się nad wiernymi, nie oni nad nim. Jest mimo wszystko zrozumiałe, że nowy sosnowiecki biskup zwraca uwagę na charyzmatyków, bo to zasadniczo zaangażowani w życie Kościoła ludzie świeccy – świeccy, czyli z natury rzeczy mniej albo wcale niezwiązani z chorym układem bezkarności gejowskiej kliki. Jeżeli biskup zdecyduje się na powierzenie właśnie im różnych funkcji kierowniczych, to może w teorii zyskać, „przeskakując" w ten sposób mury, które mogliby zbudować niektórzy kapłani. Problem w tym, że zasadniczym trzonem duchowości charyzmatycznej jest poszukiwanie indywidualnego doświadczenia kontaktu z Bogiem. Z tego powodu w ruchu charyzmatycznym nie należą do rzadkości toksyczni liderzy, którzy powołując się na rzekome dary i łaski, którymi miał obdarzyć ich Duch Święty, roszczą sobie prawo do nachalnego sterowania duchowością i życiem prywatnym innych wiernych zrzeszonych w tej samej wspólnocie. Wielokrotnie na świecie okazywało się, że ten mechanizm jest wykorzystywany przez ludzi zdolnych do manipulacji i nadużyć: seksualnych i psychologicznych. Biskup Ważny musi uważać, by wiążąc się w nowej diecezji z mniej sobie znanymi niż w Tarnowie ruchami charyzmatycznymi, nie wejść na jakąś poważną minę.

Świeccy to jednak nie wszystko, biskup potrzebuje księży. W Sosnowcu znajdzie niewątpliwie wielu porządnych kapłanów. Problem tylko w tym, że – jak pokazuje historia skandali wstrząsających diecezją – niewielka liczebnie klika homoseksualistów potrafiła rozpiąć nad sobą dobry parasol ochronny, sięgając również po kontakty z policją czy prokuraturą. Jak wygląda sieć powiązań między środowiskami kościelnymi a służbami, pokazała ostatnio głośna afera Collegium Humanum, z jej prymarnym wątkiem homoseksualnym. W tym kontekście misja bp. Ważnego jawi się jako nieledwie samobójcza. Hierarcha musi poszukać sojuszników, a to nie będzie łatwe.

Nie będą to na pewno inni biskupi, ci są zajęci swoimi problemami. Wystarczy przypomnieć casus samego przewodniczącego Konferencji Episkopatu, Tadeusza Wojdy. Wybrany na szefa KEP został zaledwie w marcu, a już musi tłumaczyć się z potencjalnego zaniechania w sprawie wykorzystywania seksualnego nastolatek. Nie przesądzam o jego winie bądź niewinności, ale to pokazuje, że biskupi dość mają biedy we własnych diecezjach, czasem mniej, często pewnie bardziej zawinionej.

W tej sytuacji dość skutecznym sojusznikiem bp. Ważnego mogą stać się media – i to bynajmniej nie tylko formalnie katolickie, czyli te, które podlegają kurialnej władzy. Takie media, przy wszystkich ich zasługach i walorach, nader często nie są zdolne do podejmowania ważnych i trudnych tematów, będąc silnie uwikłane w różne zależności. Redaktorem w takiej gazecie był choćby ks. Tomasz, gospodarz orgii z Dąbrowy Górniczej… Dlatego biskup mógłby odważnie otworzyć się na media świeckie, przynajmniej te, które nie życzą źle Kościołowi. Nawet jeżeli medialna poetyka często odbiega od dyplomatycznego języka Kościoła, można w ten sposób wiele osiągnąć.

CZY MEDIA MOGĄ POMÓC?

Należy mieć w tym kontekście nadzieję, że bp Artur Ważny nie posłucha przestróg abp. Adriana Galbasa. Przemawiając 8 maja z okazji kanonicznego objęcia diecezji przez Ważnego, Galbas na media ostro pomstował. Oskarżał dziennikarzy o pogoń za kliknięciami, ferowanie łatwych i szybkich sądów, postulowanie ekstremalnych rozwiązań w stylu likwidacji diecezji sosnowieckiej. Cóż, wszystko prawda: media żyją przecież z czytelnictwa i oglądalności, a te są napędzane przez ostre tytuły i mocne oceny. Cóż jednak z tego? Taka jest rzeczywistość, a z rzeczywistością można zrobić dwie rzeczy: spróbować ją wykorzystać albo się na nią obrazić. Arcybiskup Galbas proponuje się obrazić, ale to przepis na klęskę – sprawdzony zresztą przez wielu polskich biskupów.

Pozostaje pierwsza opcja. Biskup Ważny nie musi bynajmniej biegać od stacji do stacji, opowiadając o homoseksualnych skłonnościach części polskiego duchowieństwa. Wystarczy, że będzie traktował dziennikarzy poważnie i zerwie z klerykalną kulturą milczenia. Bo to przecież ta kultura nie tyle podsyca spekulacje, które tak nie podobają się abp. Galbasowi, ile je po prostu wymusza. Polscy biskupi przyzwyczaili dziennikarzy do tego, że nie warto zadawać im pytań, bo nigdy nie uzyska się żadnej konstruktywnej odpowiedzi, zwłaszcza w gorących tematach. To można naprawdę łatwo zmienić, wszystko w rękach nowego biskupa.

Biskup Ważny w dotychczasowych wywiadach zapowiedział, że chce sprowadzić do diecezji siostry klauzurowe, by modliły się za Kościół w Sosnowcu. To dobra inicjatywa i gorąco kibicuję jej realizacji. Mam jednak nadzieję, że na tym biskup nie poprzestanie. Modlitwa ma swoją przestrzeń, a działania i decyzje personalne – swoją. Nie wierzę, że biskup rozprawi się do końca z gejowską kliką w Sosnowcu; to zbyt rozgałęziony twór. Może jednak wiele naprawić. Ma 57 lat i przed nim potencjalnie nawet prawie dwie dekady władzy. Byleby nie ulegać złudzeniu, że „jest czas", a wszystkie dotychczasowe afery były pokłosiem indywidualnych grzechów kilku księży. Historia skandali pokazuje, że jest inaczej, chodzi o problem strukturalny. W sytuacji Sosnowca konieczna jest – w sumie przykra – postawa arbitralnej nieufności do całego aparatu kurialnego. Zaniechania czy rezygnacja z zastosowania ostrych środków mogą się zemścić bardzo szybko. Wszystko jest przecież możliwe: wystarczy jedna nowa afera seksualna, by całe zaufanie do nowego hierarchy zostało wystawione na potężną próbę, a jeżeli biskup nie będzie mógł bronić się konkretnymi decyzjami personalnymi, to zaufanie po prostu straci i nie odzyska go już nigdy. Dlatego tempo wdrożenia terapii leczniczej jest po prostu kluczowe.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 9062e47cf9

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

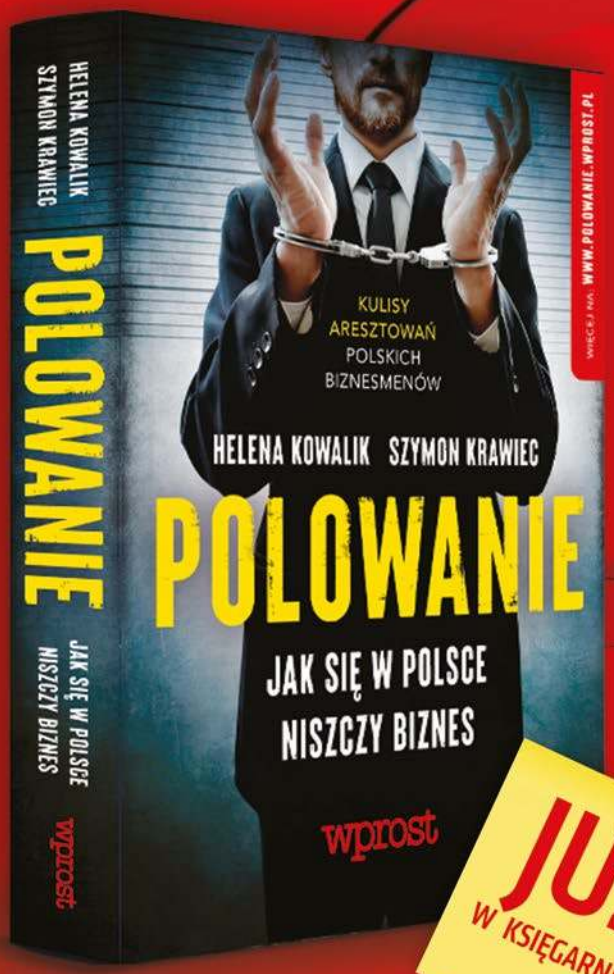

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 9062e47cf9

Problem się rozkręca

Łukasz Zboralski

Rowery elektryczne to ułatwienie dla seniorów, a jednocześnie nowe poważne zagrożenie na drogach. Zachodnia Europa już to zauważyła. W Polsce nikt jeszcze się nad problemem nie pochylił

FOT. ADOBE STOCK

Rowerowy boom trwa zarówno w całej Europie, jak i w Polsce od kilku lat. Coraz więcej osób porusza się rowerami po drogach, a rząd i samorządy tworzą coraz więcej infrastruktury przeznaczonej do takiego ruchu. Unia chętnie wspierała milionami dopłat takie przebudowy w miastach i dopłaca dalej w ramach Krajowego Planu Odbudowy. Ludzie są z tego zadowoleni. Na przykład w Opolu – jak podawał ratusz – w plebiscycie na najlepsze inicjatywy finansowane z KPO mieszkańcy wskazali, że priorytetem inwestycji dla rozwoju miasta powinna być rozbudowa infrastruktury rowerowej. Dziś w tym mieście jest ok. 120 km dróg rowerowych, a wkrótce jeszcze ich przybędzie.

Od niedawna na drogach rowerowych zwykli rowerzyści bardzo często spotykają też tych, którzy poruszają się ze wspomaganiem. Przybyło użytkowników rowerów elektrycznych. Tylko w 2022 r. sprzedano w Polsce ok. 70 tys. rowerów elektrycznych. Wówczas udział tych rowerów wśród wszystkich wynosił 6 proc. Polskie Stowarzyszenie Rowerowe szacuje, że do 2026 r. udział rowerów elektrycznych wśród wszystkich rowerów sięgnie już 28 proc. Nasz rynek dla producentów e-bike'ów warty jest już 1,5 mld zł i sprzedaż rośnie w zawrotnym tempie.

Możemy sobie wyobrazić, ile elektrycznych rowerów będzie zaraz widocznych na drogach, jeśli ich udział w sprzedaży wynosi już do 20 proc. – czyli co piąty kupiony w Polsce rower ma elektryczne wspomaganie. Potencjał ten jeszcze się nie wyczerpał. Warto tu spojrzeć np. na Niderlandy, w których udział elektrycznych rowerów w sprzedaży wszystkich sięga obecnie blisko 60 proc.

To niechybnie postawi nas przed wyzwaniami, o których dziś w Polsce nikt jeszcze nie myśli. Tymczasem już widać, że użytkownicy rowerów elektrycznych mogą stanowić poważne zagrożenie dla siebie, innych rowerzystów i pieszych. Wielokrotnie widać to na drogach rowerowych czy trasach, którymi często jeżdżą rowerzyści. Wśród starszych i zupełnie małych cyklistów przelatują z dużymi prędkościami ci, których kołami kręcą nie tylko nogi, lecz także silniki.

Dziś polska policja w raportach o wypadkach w ogóle nie wyodrębnia rowerów elektrycznych i nie ma takich danych w ostatnim raporcie za 2023 r. To o tyle zaskakujące, że w danych o wypadkach w odrębnych kategoriach wskazuje się już w Polsce hulajnogi elektryczne czy urządzenia transportu osobistego; inna sprawa, że do dziś w kraju nie mamy żadnego połączenia bazy wypadków z danymi o leczeniu poszkodowanych, zatem liczba rannych ludzi, którzy np. sami wywrócili się na hulajnodze czy rowerze, pozostaje nieznana. Jednak nawet z tych zbiorczych

eprasa.pl 9062e47cf9

danych o rowerzystach w raportach KGP widać, że z jednośladami mamy poważny problem. Najwięcej wypadków drogowych nad Wisłą powodują kierowcy – 73,5 proc. wszystkich (14 013 wypadków w 2023 r.), ale drugimi najczęstszymi sprawcami są rowerzyści odpowiadający za blisko 7 proc. wszystkich wypadków (1313 w 2023 r.). Powodują je więc oni częściej niż kierowcy busów czy samochodów ciężarowych. To, że rowerzyści sami głównie zostają poszkodowani w wypadkach, które powodują, nie jest argumentem, by tej sprawie się nie przyglądać.

DODAJĄ GAZU? TO NIE ROWERY!

Pierwszym problemem, z którym już dziś właściwie zmagamy się na polskich drogach, są użytkownicy elektrycznych rowerów, którzy jadą znacznie szybciej niż 25 km/h. Często to zarazem ci, którzy mają wspomaganie nie tylko wówczas, gdy pedałują, lecz także zwykle na kierownicy mają przycisk lub manetkę, która pozwala im się poruszać za pomocą silnika zupełnie bez pedałowania.

To oznacza, że razem ze zwykłymi rowerzystami po drogach rowerowych jeżdżą dziś… motorowerzyści. Bo tak zgodnie z prawem klasyfikowane są tego rodzaju pojazdy. Ustawa jednoznacznie określa bowiem, że rowerem elektrycznym jest „pojazd o szerokości nieprzekraczającej 0,9 m poruszany siłą mięśni osoby jadącej tym pojazdem; rower może być wyposażony w uruchamiany naciskiem na pedały pomocniczy napęd elektryczny zasilany prądem o napięciu nie wyższym niż 48 V o znamionowej mocy ciągłej nie większej niż 250 W, którego moc wyjściowa zmniejsza się stopniowo i spada do zera po przekroczeniu prędkości 25 km/h" (art. 2 ust. 47 Prawa o ruchu drogowym).

Krótko mówiąc – w rowerze elektrycznym silnik pracuje tylko podczas pedałowania i przestaje pomagać rowerzyście po przekroczeniu 25 km/h.

Mało kto o tym wie, gdy kupuje elektryczny rower. A naraża się na poważne konsekwencje prawne. Wystarczy wyobrazić sobie wypadek z udziałem takiego „rowerzysty". Jeśli się okaże, że w istocie jechał motorowerem, to nie uniknie problemów z tym, że jego pojazd powinien być zarejestrowany i mieć opłacone ubezpieczenie OC. Zderzenie na takim „elektrycznym rowerze" może się okazać bardzo kosztowne dla portfela.

Są też poważniejsze zagrożenia niż utrata majątku. To zagrożenia dla życia i zdrowia. Te w związku z elektrycznymi rowerami zostały już w Europie zaobserwowane. I myśli się nad tym, jak to rozwiązać.

SZPITALE PEŁNE POSZKODOWANYCH

Wydaje się, że ze względu na największy ruch rowerowy w Europie to Niderlandy pierwsze w pełni dostrzegły zagrożenia związane z wypadkami na elektrycznych rowerach.

CROW-Fietsberaad, czyli instytucja finansowana przez rząd, a zajmująca się dostarczaniem wiedzy na temat polityki rowerowej, w ubiegłym roku podawała, że liczba ofiar śmiertelnych wypadków drogowych na milion właścicieli rowerów elektrycznych jest w przybliżeniu dwukrotnie wyższa niż na milion właścicieli zwykłych rowerów. Naukowcy czynią tu pewne zastrzeżenia. Analiza danych przeprowadzona przez Uniwersytet w Groningen, Uniwersytet w Utrechcie oraz Ministerstwo Infrastruktury i Gospodarki Wodnej na podstawie wypadków w latach 2018–2021 wskazuje, że może chodzić tu głównie o zdrowie seniorów. E-rowery umożliwiły bowiem wyjazd na drogi wielu tym, którzy na zwykłe kręcenie pedałami nie mieli już sił. Jednocześnie wypadki osób powyżej 80. roku życia na rowerach częściej kończą się tragicznie – z wiekiem jesteśmy mniej odporni np. na złamania kości i taki uraz może prowadzić ostatecznie nawet do śmierci.

Niderlandzka policja ma już mobilne hamownie, na których bada, czy ktoś nie podkręcił mocy w rowerze

Nikt jednak nie zamyka oczu na problem ludzi młodych i sprawnych pędzących na złamanie karku na rowerach wspomaganych silnikami. VeiligheidNL, niezależna niderlandzka organizacja badaczy zajmująca się zapobieganiem wypadkom, przeanalizowała dane z wizyt na oddziałach ratunkowych po wypadkach drogowych w 2022 r. Takich wizyt w Niderlandach było 134 tys., a 60 proc. takich pacjentów na SOR miało poważne obrażenia.

Okazuje się, że pół tysiąca przywiezionych na SOR-y po wypadkach w tamtym roku było dziećmi i młodzieżą w wieku 12–17 lat, które doznały poważnych obrażeń po wypadku podczas jazdy rowerem elektrycznym.

W latach 2018–2022 czterokrotnie wzrosła liczba młodych ludzi, którzy trafili na oddział ratunkowy z powodu poważnych obrażeń w wyniku wypadku drogowego z udziałem roweru elektrycznego. W 2022 r. ich wizyty stanowiły 10 proc. wszystkich wizyt na SOR z powodu poważnych obrażeń w wyniku wypadku rowerowego w tej grupie wiekowej. „Wydaje się, że rower elektryczny jest odpowiedzialny za mniej więcej połowę wzrostu liczby wizyt na oddziałach ratunkowych z powodu poważnych obrażeń wśród rowerzystów w grupie wiekowej 12–17 lat. W niektórych przypadkach było jasne, że do wypadku doszło na rowerze typu fatbike (rower z olbrzymimi, grubymi oponami), czyli rowerze elektrycznym, który staje się coraz bardziej popularny wśród młodych ludzi" – napisali badacze.

Oczywiście w Niderlandach nie poprzestano na diagnozie (której w Polsce nawet nie próbowano postawić), proponowane są rozwiązania. Systemowo planowane jest zwiększenie bezpieczeństwa na drogach dla rowerów. Są jednak i inne propozycje. Radni centrolewicowej GroenLinks w Utrechcie już w ubiegłym roku dyskutowali, czy poruszający się na elektrycznych fatbike'ach nie powinni używać obowiązkowo kasków.

Do akcji od razu wkroczył też nadzór. Niderlandzka policja została wyposażona w mobilne hamownie. Na nich może sprawdzać rowery elektryczne. Dzięki temu może łatwo wykryć, czy ktoś nie „podkręcił" sobie w pojeździe mocy przewyższającej dopuszczalną.

Warto nad tymi rozwiązaniami myśleć już dziś w Polsce. Żebyśmy potem nie musieli na gwałt pisać nowego prawa, jak to przerabialiśmy już w przypadku hulajnóg elektrycznych, które zalały polskie chodniki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

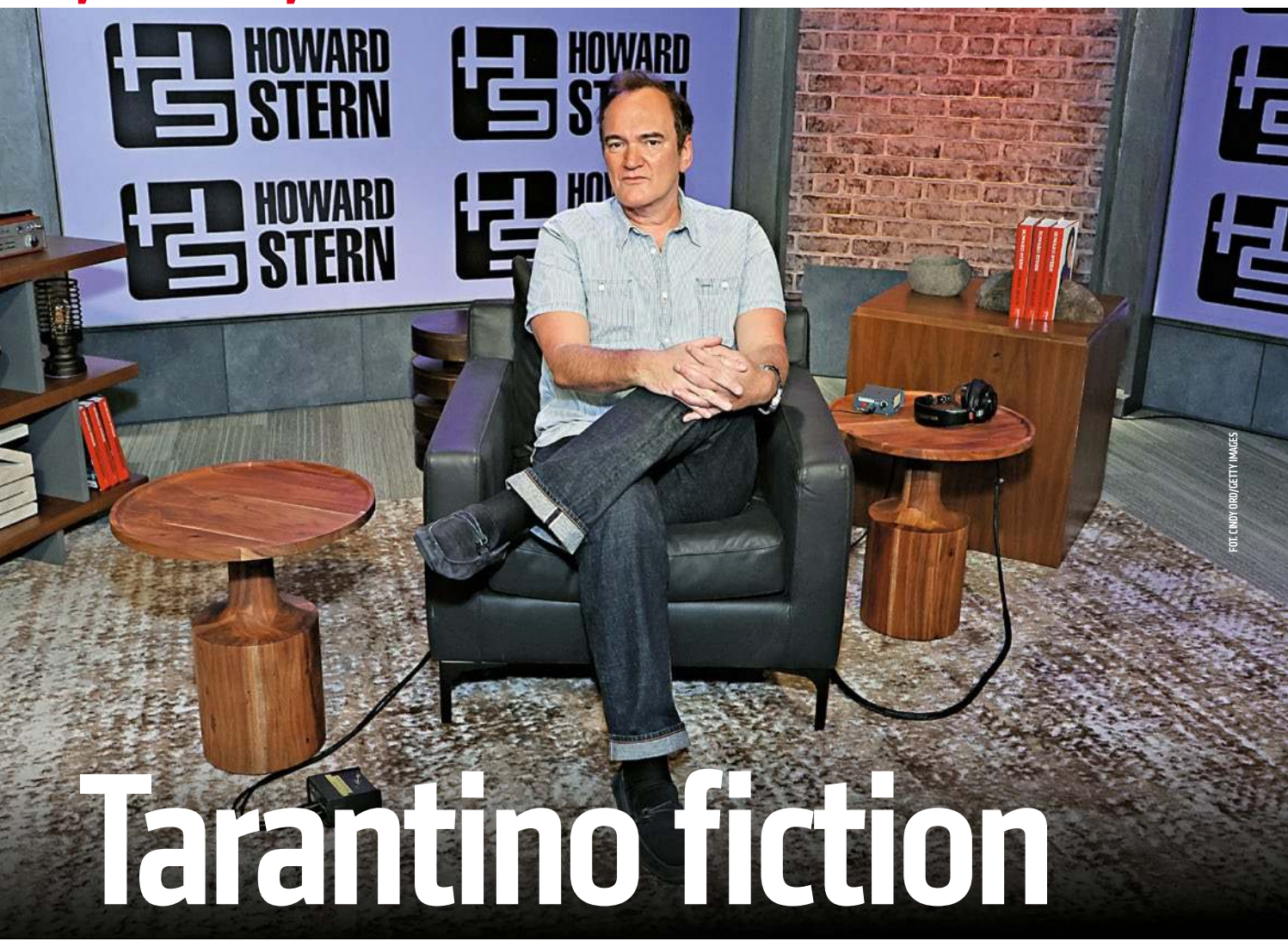

FOT. CINDY ORD/GETTY IMAGES

Tarantino fiction

Piotr Gociek

„Spekulacje o kinie" to dokładnie taka książka, jakiej można się spodziewać po Quentinie Tarantino: zabawna, błyskotliwa i prowokacyjna. Ale na ile ważna?

Zacznijmy od tego, czym ten tom nie jest. Otóż wbrew tytułowi nie jest to zbiór poważnych esejów o sztuce filmowej; nie jest to także wykład teorii kina wedle Quentina Tarantino. Mamy do czynienia z kalejdoskopem refleksji i ciekawostek, a jedynym, co je łączy, jest głęboko autobiograficzny ton autora. Takie zresztą mamy czasy – wszystko musi być subiektywne, autorskie i prywatne, na czym cierpią półki bibliotek uniwersyteckich, gdzie coraz mniej porządnych syntez. I na czym zyskują biblioteczki rozemocjonowanych widzów i czytelników – bo dziś nikt nie sprzedaje wiedzy, wszyscy sprzedają emocje.

ZNAWCA POPKULTURY

Tarantino jest człowiekiem z kina w dosłownym znaczeniu tego określenia. W każdej nocie biograficznej musi znaleźć się przypomnienie o nieukończonej edukacji oraz o pracy w wypożyczalni kaset wideo jako sposobie na naukę o fachu. Na szczęście dała ona światu nie specjalistę od szybkiego przewijania zwróconych przez klientów kaset, lecz znawcę popkultury, który potrafił przekuć swe fascynacje w zawód scenarzysty i reżysera. To, kim jest dziś Tarantino, to efekt specyficznego doboru materiału szkoleniowego, czyli kino klasy B i C, a także rozmaite importy filmowe (jak zwykło się kpić w USA: „filmy z napisami"), często niewiele lepsze.

Ale co właściwie oznacza „lepsze" czy „gorsze"? Może powinniśmy zastąpić je przeciwstawieniem „zajmujące" – „niezajmujące"? Ktoś powie, że to dziecięcy, naiwny sposób klasyfikacji. Ale właśnie jako dziecko Quentin rozpoczął swoją filmową edukację. „W wieku siedmiu lat pierwszy raz znalazłem się w Tiffany Theater: matka (Connie) i ojczym (Curt) zabrali mnie na podwójny seans: obejrzeliśmy »Joego« Johna G. Avildsena i »Gdzie jest tatuś?« Carla Reinera" – pisze Tarantino.

eprasa.pl 9062e47cf9

Filmy nieodpowiednie dla tego wieku, był to dopiero początek. „Scena rytuału inicjacyjnego w »Człowieku zwanym Koniem« sprawiła, że mózg mi eksplodował. Tak samo jak tryskająca krew Barnabasa Collinsa przebitego bełtem kuszy w »House of Dark Shadows«. Pamiętam, że gapiłem się w ekran z szeroko otwartymi ustami. Nie wierzyłem, że w filmach mogą się dziać takie rzeczy – wspomina Quentin. I szczerze wyznaje: – Lista brutalnych scen, które widziałem w kinie w latach 1970–1972, oburzyłaby większość czytelników". Jednocześnie broni swoich opiekunów, zastrzegając: „Taka wyliczanka jest nie fair wobec filmów, z których pochodzą te sceny, a to dlatego, że w ogóle nie uwzględnia kontekstu. Matka wyjaśniła mi później, że zawsze uważała kontekst za najważniejszą rzecz. W przypadku wszystkich powyższych filmów potrafiłem wytrzymać brutalne momenty, bo rozumiałem całą opowieść". Te ostatnie zdania doskonale wyjaśniają fenomen kina samego Quentina Tarantino, mistrza suspensu i okrucieństwa.

„Spekulacje o kinie" to nie jest jednak opowieść o jego własnych filmach, lecz o jego fascynacjach, trwających niekiedy dekady. Opowieść fana, podobnie jak książka „Jak pisać. Pamiętnik rzemieślnika" Stephena Kinga. Obu twórców łączy to, że uczyli się fachu, konsumując i trawiąc imponujące dawki wszystkiego: w przypadku Kinga książek, filmów i komiksów, a w przypadku Tarantino – filmów. Daje to perspektywę bardzo daleką od spojrzenia zawodowych krytyków (których Tarantino nie lubi) czy akademickich badaczy (których ignoruje). O których reżyserach wspomina Quentin w książce najczęściej? Brian De Palma, Alfred Hitchcock, Martin Scorsese (choć ten ostatni często w kontekście polemiki, a nie fascynacji), oprócz nich jeszcze Robert Altman, Don Siegel, Roman Polański, Peter Bogdanovitch. Niektóre korelacje są oczywiste: De Palma był wiernym uczniem i naśladowcą Hitchcocka, sam zaś Tarantino właśnie De Palmę uważa za jednego z najwybitniejszych twórców kina w ogóle, co pokazuje doskonale, jakiego rodzaju kino fascynuje go najbardziej.

Podejście fana współistnieje w tej książce z duszą konstruktora amatora, którego zawsze najbardziej ciekawi odpowiedź na pytanie: „Jak to jest zrobione?". Niestrudzony łowca ciekawostek dopytuje więc Waltera Hilla, który był wówczas asystentem reżysera, oraz Neile Adams, ówczesną żoną Steve'a McQueena, o to, jak wyglądała praca na planie filmu „Bullitt". Zagłębia się w skomplikowaną historię produkcji „Ucieczki gangstera" albo opowiada o tym, ile przypadkowych zmian doprowadziło do tego, że „Brudny Harry" przybrał swój ostateczny kształt.

POŻERACZ FILMÓW

To nie koniec, użyte w tytule książki słowo „spekulacje" objawia swoje prawdziwe znaczenie: Quentina interesuje to, jak było, ale jeszcze bardziej – jak mogło być. I to jest dla niego pole do daleko idących spekulacji. Zatem: Jak wyglądałby „Taksówkarz", gdyby nakręcił go nie Martin Scorsese lecz Brian De Palma? Czy niedoszłe wersje „Ucieczki gangstera" były lepsze od finalnej wersji filmu? Nie powinno nas to dziwić, przecież ostatnie filmy Tarantino to właśnie fabularne spekulacje: A gdyby Żydzi wzięli pomstę na nazistach („Bękarty wojny")? A gdyby udało się powstrzymać bandę Mansona („Pewnego razu w Hollywood")? A gdyby powstał przeciw białym rasistom prawdziwy czarny mściciel i poniósł im śmierć, ogień i zniszczenie („Django")?

Perspektywa Tarantina to perspektywa pożeracza filmów. Wszelkich filmów: dobrych i złych, mądrych i głupich. W jednym z wywiadów mówił kiedyś, że gdy ludzie pytają go, czy chodził do szkoły filmowej, odpowiada: „Nie, chodziłem na filmy". Pytany o to, jak powstają jego scenariusze, odpowiadał w jednym z wywiadów: „W trakcie pisania staram się unikać analitycznego podejścia. Staram się podtrzymać swobodny przepływ z umysłu na papier, dawać się ponieść chwili i ufać intuicji. Dla mnie najważniejsza jest prawda". I dalej: „W moim odczuciu bohaterowie nie dokonują wyboru między dobrem a złem – mogą tylko zrobić coś, co jest prawdziwe lub nie". Te słowa doskonale objaśniają naturę opowieści Quentina, ale przydatne są także jako klucz do zrozumienia jego tekstów okołofilmowych. Nie są to rozważania o tym, co wielkie i co nieistotne, lecz próby dostrzeżenia tego, co jest prawdziwą emocją także w tych miejscach (a może przede wszystkim), gdzie z pozoru wszystko jest tandetą. Tkwi za tym silne przekonanie, że rozmaici enfant terrible kina komercyjnego, działający na niższych szczeblach łańcucha pokarmowego, mogą sobie pozwolić na więcej, bo nie krępują ich wymogi poprawnościowe wielkich hollywoodzkich produkcji. Bywają zatem częściej prawdziwi.

Powyższe rozumowanie z pozoru brzmi bardzo atrakcyjnie, a już na pewno za swoje hasło przyjmie je chętnie każdy filmomaniak zakochany bez pamięci w pośledniejszych rodzajach sztuki filmowej. Przestrzegałbym jednak przed jego bezkrytyczną akceptacją. Jak pisał Randall E. Aukxier w tomie „Quentin Tarantino and Philosophy", Tarantino to nie Arystoteles i w jego przypadku sztuka nie imituje życia. Sztuka imituje inną sztukę, a dokładnie – inne filmy. Tarantino jest człowiekiem z kina nie tylko dlatego, że się w kinie wychował i w wypożyczalni kaset wideo wyedukował. Jest nim przede wszystkim dlatego, że jego filmy ulepione są z innych filmów, wcześniejszych.

Przykład: pokolenie Johna Forda czy Samuela Fullera znało wojnę z własnych doświadczeń. Tarantino zna ją jedynie z filmów twórców tegoż pokolenia. To, jak bawi się cudzymi scenami i jak pisze/kręci je na nowo, jest kapitalną zabawą (zwłaszcza gdy zrozumiemy i przyjmiemy za swoje jego reguły gry). Czasem te konstrukcje są wielopiętrowe, warstwa na warstwie: stare amerykańskie westerny inspirowały Kurosawę do nakręcenia „Yojimbo", który to film zainspirował Sergia Leone, którego to Sergia Leone naśladuje i przetwarza Tarantino. I tak dalej.

„Spekulacje o kinie" to zgrabna, ciekawa książka, której język niepotrzebnie podkręcił w przekładzie polski tłumacz. Jak wszystkie publiczne wypowiedzi, Tarantino robi wielkie wrażenie. Quentin ma swoje zdanie na każdy temat i potrafi je bardzo sugestywnie sprzedać. Ale to jeszcze nie powód, by zawsze się z nim zgadzać.

★★★★☆☆
QUENTIN TARANTINO „SPEKULACJE O KINIE" MARGINESY 2024

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Na własnych warunkach

★★★★☆☆
MINISERIAL „FACET Z ZASADAMI" („A MAN IN FULL")
USA 2024

wyst. Jeff Daniels, Diane Lane, Tom Pelphrey

Charlie Croker ma wszystko: wielki majątek, piękną żonę (drugą), mądrego syna, sławę (jako futbolista i inwestor). Ma też długi – pożyczał, kiedy pieniądze były tanie – oraz wrogów, którzy chętnie przejęliby dorobek jego życia. Jak to zrobić? Odpowiedź was nie zaskoczy, najłatwiej użyć banksterów. Kiedy więc główny kredytodawca Crokera zażąda spłaty 800 mln dol., potężny inwestor stanie na krawędzi upadku. Nie podda się bez walki – to pełnokrwisty południowiec, który zawsze żył i bił się na własnych zasadach. Polski tytuł powieści Toma Wolfe'a, na której oparto serię Netflixa, jest nieco mylący; „A Man in Full" oznacza tu bardziej „Prawdziwego faceta".

Pisali amerykańscy krytycy po premierze książki (1998, polskie wyd. 2001), że to rzecz o kryzysie i zmierzchu tradycyjnej męskości. Twórcy serialu – David E. Kelley i Regina King – też idą tym tropem. Ale nie redukujmy opowieści o Crokerze tylko do tego. Wolfe nie krył nigdy swych ambicji, chciał być jak Balzak czy Zola Ameryki XX stulecia, ukazać w mnogości typów całą naturę ludzką. Stąd „Facet z zasadami" zawiedzie tych, którzy oczekują prostej historii, a zadowoli tych, którzy docenią polifonię. Oto młody ambitny bankier, który uwziął się na Crokera, oraz jego fińska kochanka. Oto jego prawnik, który za młodu był idealistą, a teraz frustruje go praca dla wielkiego biznesu. Oto burmistrz, który dla reelekcji sięgnie po każde świństwo, włącznie z oskarżeniem przeciwnika o gwałt – choć nie ma dowodów. Oto czarnoskóry chłopak, czytający stoików, który za sprawą nazbyt energicznej policyjnej interwencji znajdzie się w surowym więzieniu. I tak dalej. Gdy upada gigant, jak Croker, może zmiażdżyć spory szmat lasu: w jego cieniu żyje wiele istot.

Jeff Daniels jest znakomity w głównej roli. Bezwzględny, ale nie odpychający; próżny, ale nie pusty; staroświecki (zdaniem wielu zapewne w złym tego słowa znaczeniu), ale przecież ostatecznie godny szacunku. Swoje ma za skórą, ale ci, którzy go podgryzają, to żałosna i skorumpowana banda. A jeśli ostatecznie przegra, bo będzie chciał być prawdomówny i wierny swoim zasadom, to o kim i o czym gorzej to świadczy: o nim czy o otaczającym go świecie? ©℗

NOWE SERIALE: „HOLLYWOOD, KRAINA ZŁUDY" tv+

Nie uwierzylibyśmy w hollywoodzki hit oparty na takim scenariuszu – a jednak ta historia wydarzyła się naprawdę. Kto podszywał się pod wpływowe producentki z fabryki snów, by nie tylko oskubać swe ofiary (aktorów, operatorów) z pieniędzy, lecz także pod pozorem pracy nad nowymi projektami omotać siecią psychicznej dominacji i manipulacji? Ślad prowadzi na Filipiny. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***miniseria „Hollywood, kraina złudy („Hollywood Con Queen"), USA 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *miniseria* ***„Prosta sprawa"***, *Polska 2024* CANAL+
- *sezon 4* ***„Warto się starać" („Trying")*** tv+
- *reż. Jerry Seinfeld* ***„Bez lukru" („Unfrosted")***, *USA 2024*

eprasa.pl 9062e47cf9

Miłość kameleona

KINO

Hollywoodzka wytwórnia kupiła prawa do „Kilera", lecz mimo usilnych poszukiwań ani w Ameryce, ani na Wyspach nie udało się znaleźć aktora o skali talentu Cezarego Pazury. Projekt odłożono więc ad acta. Po latach powraca czkawką w tonacji bardziej serio. Inaczej niż u Machulskiego tytułowy Hit Man od początku współpracuje z organami ścigania. Najpierw w charakterze konsultanta, potem jako tajniak. Gary – filozof, psycholog i właściciel dwóch kotów – dziwi się ludziom wierzącym w istnienie zabójców do wynajęcia. Gdy jednak nadarzy się okazja, by sprawdzić w praktyce wykładane na uczelni teorie, skwapliwie ją wykorzysta. Na użytek policyjnych prowokacji wymyśli multum wcieleń. Jedno z nich, twardziel Ron, stanie się obiektem damskich żądz i męskiej zawiści. Ciąg dalszy przewidzieć łatwo – oszołomiony sukcesem bohater popełni typowy błąd hazardzisty wizytującego Las Vegas. Przegapi moment, w którym rozgrywkę należy stanowczo zakończyć.

★★★★☆☆
REŻ. RICHARD LINKLATER
„HIT MAN"
USA 2023

wyst. Glen Powell, Adria Arjona, Austin Amelio

Historia jajogłowego przykrywkowca ponoć nie jest całkiem wyssana z palca. Do złudzenia przypomina jednak amoralne komedie typu „Zabijanie na śniadanie" czy „Jak ugryźć 10 milionów", które królowały na ekranach pod koniec minionego wieku. Jeśli kogoś kręci czarny humor, to opuści kino cały w skowronkach, ale mniemam, że Linklatera stać na trochę więcej. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MAŁPIE FIGLE

KINO

Czy na Ziemi możliwe jest w miarę harmonijne współistnienie gatunków? Owszem, jeśli ludzie wyginą. Postulat imć pana Rousseau, by żyć w zgodzie z naturą, nigdy nie był traktowany poważniej niż dzisiaj. Widać to również w popkulturze. Cykl, zainicjowany przez „Planetę małp", miewał lepsze i gorsze momenty, historiozoficzne ambicje sąsiadowały z erupcjami żenady. Autorzy 10. części postawili na rozrywkę. I w tej kategorii film zasługuje na wysoką notę. Niestety, fabuła jest zlepkiem wątków rodem z „Mad Maxa" i innych dystopii tudzież widowisk fantasy – od „Avatara" do „Władcy Pierścieni". Szukacie zajmującej opowieści o próbie odbudowania upadłej cywilizacji? Polecam „Życie Karola Wielkiego". U Wesa Balla nawet ukochany amerykański motyw – bunt przeciw tyranii – wypadł blado. Najczarniejszym charakterem nie jest bowiem goryl despota, lecz filigranowa przedstawicielka gatunku Homo sapiens. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. WES BALL
„KRÓLESTWO PLANETY MAŁP" („THE KINGDOM OF THE PLANET OF APES")
USA 2024

wyst. Owen Teague, Freya Allan, Kevin Durand

ANIOŁ BEZ SKRZYDEŁ

cda.pl

Religia jest radosna i warto chodzić do kościoła – to przesłanie filmu najchętniej oglądanego w Ameryce w 1944 r. Entuzjazm publiczności podzielili akademicy: siedmiu Oscarów w najważniejszych kategoriach nie przyznaje się przypadkowo. Stosunek Hollywood do katolicyzmu zawsze oscylował między awersją i hipokryzją, lecz „Idąc moją drogą" jest wyjątkiem od tej reguły. Widz, oswojony z cynizmem i wulgarnością współczesnej popkultury, może uznać fabułę za ckliwą i naiwną, lecz trudno dopatrzeć się w niej fałszu. Głównymi bohaterami są księża. Starszy wiekiem i stażem popadł w rutynę, brakuje mu energii, by wyciągnąć parafię z długów. Z odsieczą przybywa młody wikary. Ma pomysł na dotarcie do serc trudnej młodzieży i portfeli grzeszników. Bing Crosby występem w sutannie ugruntował gwiazdorski status. Głos jak dzwon i aktorska charyzma – takie rzeczy się nie starzeją.

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆
REŻ. LEO MCCAREY
„IDĄC MOJĄ DROGĄ" („GOING MY WAY")
USA 1944

wyst. Bing Crosby, Barry Fitzgerald, Risë Stevens

GRA TYGODNIA: „MANOR LORDS"

Na tę grę czekało wielu graczy z całego świata. Czekało długo i spodziewało się po niej wiele. Osadzony w średniowieczu city builder tworzony jest (wciąż jest, bo gra wyszła dopiero we wczesnym dostępie) przez polskie niezależne, jednoosobowe studio Grzegorza Stycznia. To, co już dostaliśmy, zapewnia stosunkowo krótką, ale świetną zabawę. Klimatyczna, przemyślana, wciągająca, piękna gra z ogromnym potencjałem. Przed Grzegorzem jeszcze sporo pracy, ale wiemy już, że czekać było i jest warto. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *strategiczna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Slavic Magic; Hooded Horse*

eprasa.pl 9062e47cf9

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Parafiańszczyzna

Bardzo ciekawą historię pogranicza Mazowsza i Podlasia, opowiedzianą przez pryzmat losów swojej rodziny, przedstawił Maciej Falkowski w książce, której zbiorowym bohaterem jest tamtejsza szlachta zaściankowa. Schłopiała, biedna, zapracowana, przywiązana do swojej własności, do ziemi, do wiary katolickiej. Tu mężczyźni wciąż całują kobiety w rękę, a przed ołtarzem przyklękają na jedno kolano, „jak gdyby kierowani podświadomą obawą, że ich niewidzialna szabla będzie poniewierać się po świętej ziemi".

Tę ziemię, pola i majątki nieustannie dzielono. Powstawały wioski, których nazwy brały się od przezwisk poszczególnych gałęzi rodów. Stąd wzięły się np. Szulborze-Koty albo Zaręby-Warchoły. Iście kopernikański przewrót dokonał się tam za sprawą kolei. Podupadły wówczas m.in. Suraż, Nur czy Zuzela, a niesłychany rozwój zanotowały Małkinia, Łochów czy Łapy. Ludziom otworzyły się nowe możliwości zarobkowania, nie brakowało bowiem dowodów na to, że „kto ma w głowie olej, ten idzie na kolej". Na przybywających obcych patrzono jednak nieufnie. Z różnych powodów dajmy na to Małkinia nie życzyła sobie praw miejskich, pozostając bodaj największą w Polsce wsią, obawiano się bowiem masowego napływu Żydów.

Władze zmieniały się, kolejno przemijały ustroje i okupacje. Dzisiejsze Podlasie to jedyny, poza fragmentami Podkarpacia, region dzisiejszej Polski, który zaznał w latach 1939–1941 sowieckiej okupacji. Może nie wyłącznie dlatego, ale nienawiść do komunizmu była tu zawsze ponadprzeciętna, choć – co podkreśla autor książki – w czasach PRL potrafiono wypracować z władzą jakiś rodzaj koegzystencji. Tyle że rząd dusz niezmiennie sprawował Kościół.

FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

A odnośnie do władzy, to ci wszyscy szaraczkowie mazowieccy i podlascy chcieli od niej jednego: żeby zostawiła ich w spokoju. Zawsze byli ludźmi wolnymi, swobodnie dysponującymi własną ziemią i tym, co i w zaściankowym, i wiejskim życiu najważniejsze – własnym losem. W tych miejscowościach wciąż przypominających sienkiewiczowskie Rzędziany centrum życia znajdowało się na parafii.

To w Zuzeli nad Bugiem przyszedł na świat Prymas Tysiąclecia, ksiądz kardynał Stefan Wyszyński. „Urodziłem się na styku Podlasia i Mazowsza – pisał. – Pamiętam do dziś dnia ludzi prostych, których obserwowałem jako chłopiec. Zdumiewająca była ich spokojna, ufna wiara. Tego nie można nazwać, żadną miarą, niewiedzą religijną, bo z tym łączy się patrzenie w głąb, niemal jakieś mistyczne obcowanie. Ci ludzie widzą to, w co wierzą. Obserwatorzy tego nie widzą, a oni – widzą".

W tych stronach najskuteczniejszym lekarstwem na nerwy, a może i na inne przypadłości był Różaniec. W domach ściany zdobiły święte obrazy, pełno było pamiątkowych figurek z Częstochowy i Lichenia, a i z odpustów, jak tego w niedalekiej Prostyni, skąd przywożono lepione z ciasta malowane kozy. Potomkowie dawnych ślachciców „na Niedzielę Palmową sami sporządzali palmy, pletli wianki na ostatnie nieszpory (osiem dni po Bożym Ciele), które potem wisiały w kuchni na sznurku [...]. Brali udział w licznych nabożeństwach, z majowym i drogą krzyżową na czele, w rekolekcjach, adoracjach, czuwaniach, angażowali się w kościelny chór i pomoc przy organizowaniu procesji i innych uroczystości religijnych, sprzątaniu kościoła czy ozdabianiu go kwiatami. Żyli liturgicznym życiem".

Tak że jest też „Ślachta" opowieścią o polskim Kościele. Ale o tamtym, którego „już prawie nie ma. Przetrwał Lutra, Robespierre'a i Lenina, dobiły go dopiero demokracja, wygoda i zmiana potrzeb jednych, pycha i bezrefleksyjność drugich, konsekwencja i nienawiść trzecich. Pozostały wyspy. Gdzieś na Podkarpaciu, Podhalu, Kaszubach. W trójkącie między Łomżą, Grajewem i Ciechanowcem, w katakumbach fal Radia Maryja. Jednak 60 lat temu trwał w najlepsze. W takim świecie urodziło się, wychowało i weszło w dorosłość pokolenie moich dziadków". I to o nich, jak również o ich przodkach opowiada Maciej Falkowski. I choć bardzo się stara, by podkreślać liczne anachronizmy ich życia, nienadążanie za wymogami stawianymi przez współczesność, to z kart „Ślachty" przebijają czułość i – jednak! – tęsknota za prawdziwymi wartościami. Tymi nie do zakwestionowania. ©℗

★★★★★☆

MACIEJ FALKOWSKI „ŚLACHTA. HISTORIE Z PODLASKO-MAZOWIECKIEGO POGRANICZA"
CZARNE, WOŁOWIEC 2024

eprasa.pl 9062e47cf9

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pożegnanie z Rosją

Ta książka nie jest reportażem, ale to, co w niej opisałem, zdarzyło się naprawdę" – pisze w odautorskim komentarzu Paweł Reszka. „Prawdziwe są również wszystkie osoby – tylko imiona wielu z nich i niektóre szczegóły zostały zmienione". A jednocześnie wszystko jest w niej fikcją w tym cudownym sensie, w jakim życie zamienia się w powieść, gdy zabiera się do jego opowiadania prawdziwy pisarz. „Stolik z widokiem na Kreml" jest jednocześnie wspomnieniem, medytacją, powieścią – pozostając całkowicie prawdziwy. A Paweł Reszka jest prawdziwym pisarzem.

Jest to zarazem pożegnanie z Rosją. Z kilkoma Rosjami. Z tą, którą Paweł Reszka poznawał podczas wielu lat wędrówki, Rosją pokręconej codzienności, niezwykle dalekich wypraw i widoków, których nigdzie indziej na świecie nie znajdziesz. Także z Rosją, którą trzeba było opisywać i objaśniać z reporterskiego obowiązku: tu Czeczenia, tam Gruzja, tu czołgi, tam katownie, a za tym wszystkim takie, a nie inne decyzje polityczne, kalkulacje, propagandowe chwyty. I wreszcie trzecią Rosją, za którą tęskniły i której poszukiwały kolejne pokolenia: porzucającą mrzonki o imperium, gotową do współpracy, pragnącą normalności. Otóż takiej Rosji po prostu nie ma, co udowodnione zostało powszechnym poparciem dla zbrodni wojennych na Ukrainie. Więc tym bardziej z tym rosyjskim złudzeniem wypada się pożegnać.

Ostateczne przyczyny pożegnania? Oczywiste. „Stolik z widokiem na Kreml" to również książka o rosyjskich zbrodniach na Ukrainie (i nie tylko tam), o nieodwracalnym rozerwaniu materii, która niektórym zdawała się całością (ach, te mrzonki albo o ruskim mirze, albo o dawnym dobrym Związku Sowieckim). Znałem wcześniej wiele szczegółów z prasowych publikacji Reszki, a i tak podczas lektury byłem ponownie zdruzgotany.

Jak sobie z tym wszystkim poradzić? Zwykły zapis reportera nie wystarcza, pojawia się więc także chwyt czysto pisarski, który pozwala autorowi pokazać ewolucję rosyjskiego punktu widzenia i rządzące Moskwą emocje. I dzieje się cud, ten jeden fikcyjny element wzmacnia jeszcze prawdziwość opowieści. Za nijakim tytułem i kiepską okładką kryje się wspaniała książka. Długo na nią czekaliśmy. Takie książki pisze się przez całe życie. ©℗

★★★★★☆
PAWEŁ RESZKA „STOLIK Z WIDOKIEM NA KREML" WIELKA LITERA 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pisarz pracował nad tą powieścią przez ostatnią dekadę życia; ukazała się dopiero po jego śmierci (do druku przygotowana przez wdowę i redaktora wydawnictwa Charles Scribner's Sons). Nowy przekład Jakuba Jedlińskiego.

ERNEST HEMINGWAY „WYSPY NA GOLFSZTROMIE" MARGINESY

Krwawa codzienność aresztu wewnętrznego bezpieki w latach 1945–1956 – wstrząsający dokument, ponure świadectwo, akt oskarżenia i lista ofiar w jednym tomie. Pionierska publikacja.

ANDRZEJ ZAWISTOWSKI „KOSZYKOWA RÓG STALINA" INSTYTUT PILECKIEGO

Przez 15 lat z powodzeniem fałszował dzieła takich twórców jak Rembrandt, Chagall czy Dalí. Po odsiadce spisał dzieje swego życia, a było ono barwne i pełne ludzi, którzy bardzo chcieli być oszukani.

TONY TETRO „BYĆ JAK CARAVAGGIO" ZNAK

Rzadkość na polskim rynku: współczesna powieść chińska z Tajwanu, a nie z komunistycznych Chin kontynentalnych. Jeden z największych bestsellerów tamtego rynku w ostatniej dekadzie. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

CHIANG-SHENG KUO „STROICIEL FORTEPIANÓW" ARTRAGE

KOMIKS TYGODNIA: „INCAL"

Pechowy detektyw John Difool powraca, a wraz z nim jedna z najważniejszych serii w dziejach komiksu. Wznowienie przełomowego cyklu autorstwa Moebiusa i Jodorowsky'ego. W dziwacznym świecie Miasta-Szybu rządzonego przez technopapieża, cybernetyczną policję i armię wszyscy chcą zdobyć tytułowy artefakt: klucz. Ale do czego? ©℗

Piotr Gociek

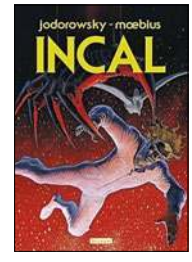

ALEJANDRO JODOROWSKY, JEAN GIRAUD „INCAL" SCREAM COMICS 2024

eprasa.pl 9062e47cf9

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Wiejskie chaty van Gogha

Jedyny w polskich zbiorach obraz Vincenta van Gogha oglądać można w Mt 5,14 | Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego na wystawie w całości poświęconej temu dziełu i jego historii.

Ekspozycję podzielono na dwie części. W pierwszej prezentowane jest samo dzieło – „Wiejskie chaty pośród drzew". To jeden z pierwszych obrazów van Gogha, pochodzi z okresu holenderskiego artysty, powstał w okolicach Hagi we wrześniu 1883 r. Przedstawia chaty XIX-wiecznej holenderskiej wsi. Gdy jego twórca wyjechał do Francji, jego drogi rozeszły się z dziełem na zawsze. Natomiast losy obrazu były nader ciekawe. Przez te wszystkie lata zmieniał właścicieli, część z nich nie miała świadomości, jaki skarb ma w posiadaniu.

I o tym – o historii „Wiejskich chat" – opowiada część druga wystawy. Ale nie tylko, gdyż oprócz wątków historycznych zdradza także kulisy badania i konserwacji obrazu, przybliża kulisy warsztatu holenderskiego mistrza. ©℗

FOT. MT 5,14/KRZYSZTOF STANISZEWSKI

GDZIE? *Mt 5,14 | Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego*
KIEDY? *do 8 grudnia*

FOT. EC1LODZ.PL/CKNN

KOMPUTER UDOMOWIONY

Od nowinki do niezastąpionego narzędzia do pracy, nauki, zabawy, kontaktu ze światem. Komputer domowy przeszedł długą drogę w ostatnich dziesięcioleciach i dotarł do momentu, w którym po raz pierwszy w dziejach jego sprzedaż spada. Wystawa „pozwala dotknąć tej historii i uruchomić komputery, które niegdyś rozpalały wyobraźnię fanów informatyki i gier. Popularne modele, unikaty, ciekawostki – wszystkie włączone i gotowe do pracy oraz zabawy [...]. ©℗

GDZIE? *Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej EC1*
KIEDY? *do 16 czerwca*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Jubileusz

W tym roku Wytwórnia Filmów Fabularnych we Wrocławiu świętuje 70-lecie powstania. We Wrocławskiej WFF powstawały nie tylko wielkie filmy, lecz także genialna muzyka. Na kompakcie znajdziemy nagrania zrealizowane w latach 1958–1982. Już sama lista kompozytorów przyprawia o zawrót głowy. Są na niej tak uznani twórcy jak: Krzysztof Penderecki, Wojciech Kilar, Andrzej Korzyński, Waldemar Kazanecki, Jerzy Derfel, Krzysztof Komeda, Jerzy Matuszkiewicz, Włodzimierz Nahorny, Jan Kanty Pawluśkiewicz, a także zespoły Novi Singers i No To Co.

Płyta jest doskonale ułożona i dzięki stylistycznej różnorodności słucha się jej z przyjemnością. Otwiera ją „Piosenka kowbojska" w wykonaniu Jerzego Michotka, pochodząca z pierwszego polskiego westernu „Rancho Texas". Pomiędzy piosenkami (m.in. „Ballada o pancernych" ze słynnego serialu) usłyszymy popularne tematy filmowe („Sami swoi", „Kochaj albo rzuć", „Wielki Szu") i serialowe („Droga"). Dla miłośników ambitniejszych dźwięków są fragmenty muzyczne z obrazów Jerzego Hasa (m.in. „Rękopisu znalezionego w Saragossie") czy fenomenalny taniec Wojciecha Kilara z filmu „Salto" Tadeusza Konwickiego.

Po 13 latach zawieszenia, 1 stycznia tego roku, Wrocławska WFF powróciła do dawnej nazwy i – miejmy nadzieję – do realizacji kolejnych wielkich filmów. ©℗

★★★★★★
MUZYKA FILMOWA
„THE BEST OF WFF 1954–2024"
GAD

★★★★★★
ST. VINCENT
„ALL BORN SCREAMING"
VIRGIN

Annie Clark, by opowiedzieć o życiu, śmierci i miłości, sięga po brzmienia lat 90. Mieszając industrialnego blues-rocka z wulkanicznymi gitarami, przekonująco buduje poczucie zagrożenia.

★★★★★★
DUA LIPA
„RADICAL OPTIMISM"
WARNER MUSIC

Magazyn „Time" umieścił brytyjsko-albańską wokalistkę wśród 100 najbardziej wpływowych osób tego roku. Niestety, jej trzeci album przynosi zestaw zrelaksowanych, tanecznych hitów o banalnych treściach. Wycyzelowany, czysty pop o krótkim terminie ważności.

eprasa.pl 9062e47cf9

Niepokój – czyli „Teatralny Dekalog” na Scenie InVitro

Grzegorz Kondrasiuk

Z wieczoru z „Dekalogiem Teatralnym” wyszedłem w niepokoju

Staram się tu odnotowywać najciekawsze świadectwa spotkania teatru i wiary – oraz poszukującej niewiary. Pora zdać sprawę z ostatnich doświadczeń w tym nurcie. Widocznie artystów sceny sprawa z Bogiem ciągle obchodzi i wcale nie chodzi o łatwe, kościółkowe moralizowanie, sztukę ku przestrodze czy niewiarygodną parenezę. Niezależnie od reżyserskich albo aktorskich starań, by rozbroić i unieważnić sensy wystawianych tekstów, na scenie wciąż możliwe jest naprawdę głębokie wsłuchanie się, wmyślenie się w treść i przeżycie jej. Scena z wyciemnioną widownią, ze swoją ciszą, z otwartością na słowo w tej ciszy wypowiadane jest odpowiednim miejscem do zadawania pytań eschatologicznych. Brzmi to nieznośnie patetycznie i wstydliwie, no trudno.

„Świat powinien być miejscem prawdy” – prawił w latach 70. XX w. Jerzy Grotowski. Od tego czasu świat jakoś tym miejscem się nie stał, sprawa ciągle rozbija się o to drobne słówko „powinien”. Artur Pałyga jest dramatopisarzem powracającym do tego „powinien”, w dramatach mówi o niezawinionych cierpieniach i tragediach, do świata jako niezagojonej rany. Pewnie dlatego jest autorem zdolnym do napisania cyklu dramaturgicznych parafraz dziesięciu przykazań, odwołujących się też do słynnego filmowego cyklu Kieślowskiego i Piesiewicza. Pomysł wyszedł od Łukasza Witta-Michałowskiego, pierwsze dwie części w jego reżyserii można oglądać na lubelskiej Scenie InVitro. W kolejnej, którą reżyserować ma nieznana z wielu realizacji Monika Czajkowska, w obsadzie mają się pojawić Sandra Korzeniak i Jarosław Tomica.

Ten serial teatralny rozpoczął się od prowokacji: Pałyga w „Hańbie” bierze historię z łamów prasy brukowej. Jest ona związana z „Dekalogiem” w sposób bezpośredni, bo przydarzyła się Krzysztofowi Piesiewiczowi – głośna afera z nagraniem z narkotykowej imprezy, które umożliwiło szantaż osoby publicznej, kompromitację i śmierć cywilną. Pałyga uczynił aferę punktem wyjścia dla scenariusza, usunął jednak bezpośrednie odniesienia, traktując ją jako egzemplifikację przykazania o fałszywym świadectwie. Nie interesuje go ocena moralna czynu, ale to, co potem. Plotka, informacja, filmik wchodzą do obiegu i są w stanie doprowadzić dowolnego człowieka, winnego lub nie, na skraj samobójstwa. Ofiarą jest pomówiony i szantażowany mecenas (Jarosław Tomica), a ostateczną instancją, trybunałem wydającym wyrok – bezimienna Pełnomocniczka (Anna Maria Sieklucka), która przedstawia się jako przedstawicielka „oddolnej straży obywatelskiej”.

Osadzenie sztuki w środowisku prawników pokazuje istotę pytania stawianego przez dramat: Kto w świecie unieważnionego Dekalogu ma prawo do osądzania i wymierzania kary za pomocą mediów społecznościowych? Pytanie osłabia wyposażenie Pełnomocniczki – tu prymitywnej szantażystki – w motywacje przestępcze. A jednak tekst mówi o realnym problemie, zahacza o temat cancelowania jako współczesnej metody sprawowania władzy, projektowania zasad i ich egzekwowania. Witt-Michałowski, dysponując takim aktorem jak precyzyjny (a z niewiadomych przyczyn nieopatrzony w teatralnej Polsce) Jarosław Tomica, wygrywa wszystkie odcienie sytuacji człowieka złapanego w pułapkę, dysponującego władzą i autorytetem, który to wszystko, na naszych oczach, traci.

Część druga, „Pod lodem”, zaskakująco nawiązuje do pierwszego filmu z cyklu Kieślowskiego. Jak pamiętamy, przywoływał on absurd niepotrzebnej śmierci dziecka, a przy tym weryfikował roszczenia rozumu. Krzysztof (Arkadiusz Cyran) jest tu kolejnym wcieleniem technologicznego optymisty, jego żona, Iga (przejmująca Agnieszka Warchulska), reprezentuje opcję sceptyczną. Ale żeby nie było zbyt prosto, Pałyga zaktualizował scenariusz o wątek AI, sztucznej inteligencji, co wprowadza temat problematycznego statusu prawdy, który się z AI wiąże. Krzysztof stworzył awatara ich synka, co doprowadza Igę, przebywającą na emigracji zarobkowej, do ogromnego dysonansu poznawczego. Matka nie wie, czy rozmawia z synem czy z AI… Kto jest osobą, a kto projekcją sterowaną algorytmami? Co prawdą, a co deepfakiem? Reżyser skorzystał z tematu AI, by rozszerzyć formułę monodramu. Na żywo występuje tylko Agnieszka Warchulska, która gra z wielkoformatowymi ekranami, gdzie pojawia się reszta postaci.

Z wieczoru z „Dekalogiem Teatralnym” (te krótkie spektakle są grane w jednym secie) wyszedłem w niepokoju, który jest stanem nieusuwalnym w spotkaniu z Dekalogiem. ©℗

„Hańba”

FOT. MACIEJ RUKASZ/CENTRUM KULTURY W LUBLINIE

„Pod lodem”

FOT. MACIEJ RUKASZ/CENTRUM KULTURY W LUBLINIE

SCENA INVITRO, CENTRUM KULTURY W LUBLINIE
ARTUR PAŁYGA
„DEKALOG TEATRALNY”: „HAŃBA”, „POD LODEM”
REŻ. ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI

eprasa.pl 9062e47cf9

Eurofatalizm jako program polityczny

Marek Jurek

Wokół najbardziej namacalnego przykładu rosnącej zależności politycznej Polski panuje zmowa milczenia. Jej efektem jest nie tylko wypieranie faktów, lecz także brak wniosków, które z istniejącej sytuacji powinna wyciągnąć polska polityka

Istnieje naturalna ludzka skłonność do ignorowania albo bagatelizowania niewygodnych faktów; takich, które zmuszają nas do rewizji postępowania czy przynajmniej myślenia. Tylko tym można tłumaczyć nieprzyjmowanie do wiadomości tego, że do obalenia rządu w Polsce pół roku temu doszło w wyniku sankcji finansowych uruchomionych przez Unię Europejską.

Oczywiście nowy rząd nie ma żadnego interesu w przyznawaniu, że objął władzę dzięki zagranicy. Prawo i Sprawiedliwość również woli mówić o „zagrożeniach dla suwerenności" niż o realnie istniejącej supremacji Unii, bojąc się, że otwarte przeciwstawienie się unijnemu fatalizmowi aktualnej większości Polaków pozbawi PiS szans na powrót do władzy. I wreszcie Konfederacja nie chce podkreślać roli zagranicy w zmianie władzy, gdyż nie chce przypominać poparcia społecznego, którym cieszyły się rządy PiS.

I tak wokół najbardziej namacalnego przykładu rosnącej zależności politycznej Polski panuje zmowa milczenia. Jej efektem jest nie tylko wypieranie faktów, lecz także brak wniosków, które z istniejącej sytuacji powinna wyciągnąć polska polityka, a przynajmniej ci, którzy chcą niezależnej polityki Rzeczypospolitej, dyktowanej narodową racją stanu. Tymczasem rosnąca zależność Polski od Unii Europejskiej będzie zasadniczym problemem polityki nadchodzącego czasu. Unia nie tylko buduje swą suwerenność, konfiskując suwerenne kompetencje państw, lecz także swej rosnącej suwerennej władzy bezpardonowo używa. Obecna władza ten stan rzeczy przyjmuje jako oczywistość, ale dla prawicy jest ona wyzwaniem, na które prędzej czy później będzie musiała otwarcie odpowiedzieć.

WARUNKOWA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Jedną z niewielu prób takiej odpowiedzi dał Konrad Szymański, współautor polityki europejskiej Mateusza Morawieckiego („Pułapka reform sądownictwa", „Plus Minus" 16–17 marca 2024 r.). Stwierdza, że wygraną opozycji przyniosła „niezdolność poprzednich władz do pełnej normalizacji relacji z Unią", czego skutkiem była „porażka w sprawie wdrożenia budżetu UE w Polsce i dalej wyborcza przegrana całej prawicy w 2023 r.". Nie nazywa „porażki w sprawie wdrożenia budżetu UE w Polsce" sankcjami, ale złagodzona forma jego wypowiedzi bezpośrednio wynika z jej politycznej tendencji. W żadnym bowiem punkcie swej długiej analizy Konrad Szymański nie uznaje unijnych działań za bezprawne. Uważa, że należało się do nich dostosować („znormalizować relacje"), i namiętnie krytykuje ministra Ziobrę i jego polityczne środowisko, które w tym przeszkadzało i które sprowokowało Unię do „niewdrożenia budżetu UE w Polsce" i innych działań, które „ostatecznie opozycji przyniosły wygraną w wyborach".

Swą analizę Szymański pisze dla prawicy. Oceniania Unii unika nawet tam, gdzie zdecydowanie ocenia politykę dzisiejszych polskich władz. Unię krytykuje co najwyżej za „to, w jaki sposób Komisja Europejska chce pogodzić pryncypialnie stanowisko w sprawie praworządności w latach 2015–2023 z dzisiejszym milczeniem wobec działań nadzwyczajnych w obszarze sądownictwa i mediów, krytykowanych przecież nie tylko przez PiS, lecz także Helsińską Fundację Praw Człowieka. Doktrynalne uzasadnienia beztrosko odwołujące się do autorytetu wartości prowadzą wprost do podważenia zasady legalizmu, która obowiązuje wszystkie strony tego sporu, nie tylko PiS. A bez tej zasady tracimy pewność prawa, która jest fundamentem praworządności". Krytykuje więc władze Unii za poparcie dla liberalnego bezprawia w Polsce, ale działań Unii wobec poprzedniego polskie-

eprasa.pl 9062e47cf9

Były minister do spraw Unii Europejskiej Konrad Szymański podczas wręczenia nagród w konkursie „Nasze, moje 20 lat" zorganizowanym w związku z 20. rocznicą obecności Polski w Unii Europejskiej

FOT. MICHAŁ MEISSNER/PAP

go rządu nie krytykuje jako drastycznego pogwałcenia traktatowej praworządności. Krytykuje jedynie tych, którzy mieli to sprowokować.

Dlaczego? Bo ewolucję Unii i wzrost jej faktycznej władzy po prostu przyjmuje jako konieczność, fakt naturalny niemal jak zmiana pór roku. Wzywa prawicę do poparcia wzrostu unijnego budżetu (a tym samym unijnej władzy). Bagatelizuje znaczenie „wspólnotowego" zadłużania państw i (wychodzących poza składki) podatków nakładanych na nie przez Unię Europejską. Zachęca do zabiegów o korzyści w ramach mechanizmu, nad którego ogólnymi konsekwencjami w ogóle się nie zastanawia.

W przekonaniu o oczywistości unijnej polityki idzie tak daleko, że akceptuje nawet „mechanizm warunkowości", czyli właśnie sankcji ekonomicznych wobec państw prowadzących nieodpowiadającą Unii politykę. A przecież ten „mechanizm warunkowości" to zgoda na jedynie warunkową realizację interesu narodowego, ładu moralnego czy na zmiany usuwające instytucjonalne skutki kolaboracyjno-totalitarnych rządów w Polsce. I, co warto zaznaczyć, owej warunkowości nie towarzyszy bynajmniej warunkowa realizacja unijnych Nadpraw Człowieka czy – jak kto woli – Praw Nadczłowieka, a najlepiej po prostu Praw Człowieka bez Boga, jak je określił Jean Madiran. One mają obowiązywać najzupełniej bezwarunkowo. Warunkowości podlegają jedynie państwa i dobro wspólne, które państwa powinny realizować.

NIEKOŃCZĄCY SIĘ „PROCES DOSTOSOWAWCZY"

Jeżeli chcemy zrozumieć wpływ Unii Europejskiej na Polskę, to trzeba w ogóle rozumieć zjawisko zmiany społecznej czy politycznej. Niedorzeczny mit „skuteczności", echo opisanej przez Dmowskiego „naszej bierności", zakłada, że życie społeczne można zmieniać poprzez jednorazowe akty czy zarządzenia. Tymczasem nawet najlepiej pomyślane decyzje polityczne przynoszą różne, zamierzone i niezamierzone, skutki, które również oddziałują w rozmaitym stopniu. W istocie każda decyzja polityczna jest tylko czynnikiem, więc każda jedynie przyczynia się do efektów społecznych, które dla ziszczenia potrzebują wielu motywów i okoliczności. Zaniechanie każdej może okazać się niespełnieniem warunku koniecznego, ale żadna z osobna nie jest na ogół warunkiem wystarczającym do osiągnięcia zamierzonego celu. Dotyczy to szczególnie płaszczyzny ustrojowej, w tym (będącej jej częścią) traktatowej.

Żeby zrozumieć, jak Unia Europejska zmieniła Polskę, wystarczy przyjrzeć się rządzącym dziś partiom – Platformie Obywatelskiej i Polskiemu Stronnictwu Ludowemu, ich ewolucji w ciągu ostatnich 20 lat. PO przez długie lata sytuowała się na prawym skrzydle Europejskiej Partii Ludowej. PSL w sprawach cywilizacji życia czy rewolucji gender był na prawo od PO. W końcu to oni (wspólnie z Jarosławem Gowinem) blokowali przez lata ratyfikację genderowej konwencji stambulskiej. Dziś obie partie akceptują rewolucję społeczną zrealizowaną na Zachodzie jako oczywisty element liberalnego porządku.

Jaki ma to związek z Unią Europejską? Dwadzieścia lat temu prounijni politycy musieli spełniać przede wszystkim formalne warunki wymarzonej przynależności, na tym polegał „proces dostosowawczy", ściśle biorąc – jego pierwszy etap. Po nim, już w Unii Europejskiej, nastąpił „drugi proces dostosowawczy", czyli wypełnianie politycznych i ideowych życzeń oraz oczekiwań, adaptacja nie do formalnych wymogów udziału w Unii, ale do socjologicznych i nieformalnych wymagań przynależności do jej establishmentu.

Konrad Szymański może również służyć za przykład działania tego „drugiego procesu dostosowawczego". Przy czym w jego wypadku określenie „przykład" należy traktować dosłownie. Artykuł byłego ministra wydaje się bowiem nie tylko retrospektywnym uzasadnieniem polityki premiera Morawieckiego, lecz także teoretyczną prezentacją zamierzeń politycznych tego środowiska.

TROCHĘ POWAGI, PANOWIE!

Nawet jeśli minister Szymański ma trochę rację w sporze politycznym (o roztropność polityki Rzeczypospolitej), to zupełnie jej nie ma w sporze państwowym Rzeczypospolitej z Unią Europejską i w ocenie podstaw polityki UE wobec Polski. To dwie różne sprawy. Owszem, unijna niesprawiedliwość wobec Polski nie usprawiedliwia polityków, którzy dali do niej okazję. Ale błędy naszej polityki nie usprawiedliwiają brutalnego łamania prawa i pogardy dla traktatowych praw Rzeczypospolitej ze strony władz Unii Europejskiej.

Nie będę tu wchodził w napięcia między zwolennikami premiera Morawieckiego (Konrad Szymański może w sposób uprawniony uchodzić za teoretyka tej orientacji) a zwolennikami ministra Ziobry. Nie zamierzam o tym pisać, bo nie bardzo ich postawę rozumiem. Owszem, rozumiem w pełni, że w planie politycznym oba te kierunki mogą i mogły działać razem. W końcu każdy obóz musi osiągnąć pewną masę krytyczną poparcia społecznego.

Ale nie rozumiem, jak w planie odpowiedzialności czysto osobistej politycy ci, stawiając sobie nawzajem najdalej idące zarzuty, mogli zasiadać w jednym rządzie? Jak mogli się nawzajem uwiarygadniać? Zwolennicy Ziobry (o czym zresztą publicznie mówili) – wiarygodność suwerennościową obozu PiS, zwolennicy Morawieckiego – odpowiedzialność polityczną tego obozu.

Po bezprawiu, którego dziś doświadczamy, polityce polskiej będzie trzeba przywrócić podstawowe wartości, a instytucjom państwa – autorytet. Ale żeby to osiągnąć, samej polityce należy przywrócić powagę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

Marsz Autonomii Śląska w Katowicach, 11 lipca 2020 r.
FOT. ANDRZEJ GRYGIEL/PAP

Słuchajmy językoznawców

Aleksandra Niewiara

Śląskie gwary stanowią zespół językowy będący dialektem języka polskiego. Stwierdzają to dokumenty Rady Języka Polskiego, które od ponad dekady są w Sejmie. Dlaczego zostały zignorowane?

Sejm oraz Senat Rzeczypospolitej Polskiej przyjęły projekt zmiany ustawy o języku regionalnym. 10 maja br. ustawę przekazano do podpisu prezydentowi RP. W uzasadnieniu projektu zmiany ustawy czytamy: „Pojęcie »język regionalny« jest kategorią prawno-polityczną. Nie można go zatem w pełni scharakteryzować za pomocą narzędzi językoznawczych. Językoznawcy i ich ustalenia mogą pełnić wyłącznie funkcję pomocniczą".

Jako językoznawca zastanawiam się nad tym, jak to się stało, że w kwestii uznania statusu języka regionalnego dla posłów (a przede wszystkim dla wnioskodawców) akurat argumenty językowe przestały być ważne. A można to wprost przeczytać w rozmaitych wypowiedziach, wskazujących, że dziś „liczą się argumenty pozajęzykowe". Jeszcze 20 lat temu tak nie było: ani wtedy, gdy nowelizowano ustawę nadającą prawny status języka regionalnego kaszubszczyźnie w 2005 r., ani

eprasa.pl 9062e47cf9

kilka lat później – gdy złożony w Sejmie projekt nadania takiego statusu śląskiemu był przez ówczesne władze ministerialne kierowany do zaopiniowania przez językoznawców. Opinie te znajdują się w dokumentach sejmowych, dostępnych na stronie internetowej Sejmu; posłowie mogą się z nimi zapoznać.

Dlaczego opinie językoznawców miałyby być istotne? Pomijając kwestie naukowe, są one przecież ważne ze względów prawnych. Odnoszę wrażenie, że zupełnie zapomniano dziś o przepisach unijnych, które kategorię „język regionalny" wprowadziły i zdefiniowały, a które są zawarte w dokumencie pod nazwą „European Charter for Regional or Minority Languages" z 1992 r., przyjętym przez Polskę w 2003 r. W świetle tego dokumentu za język regionalny uznaje się język „tradycyjnie używany na terenie terytorium danego państwa przez jego obywateli stanowiących grupę liczebnie mniejszą od reszty ludności tego państwa", „różniący się od oficjalnego języka tego państwa", ale jednocześnie niebędący dialektem oficjalnego języka tego państwa. Za języki regionalne w świetle prawa europejskiego nie uznaje się dialektów języka urzędowego, a za języki mniejszościowe nie uznaje się języków migrantów (w angielskim oryginale dokumentu: „It does not include either dialects of the official language(s) of the State or the languages of migrants"). Tak stanowi prawo.

Rozstrzygnięcie zatem, czy ubieganie się o status języka regionalnego jest zasadne, winno leżeć w gestii tych, którzy potrafią to ocenić: dialektologów, historyków języka. Dlaczego dziś Sejm i Senat nie zwracają się o opinię do gremiów zrzeszających językoznawców, do czynnych dialektologów? Może dlatego, że ich odpowiedź jest znana: śląskie gwary stanowią zespół językowy będący dialektem języka polskiego. To też stwierdzają dokumenty złożone w Sejmie, m.in. opinia z 2012 r. Rady Języka Polskiego, sygnowana nazwiskiem jej ówczesnego przewodniczącego, prof. Andrzeja Markowskiego. W ten sposób wypowiadają się inni językoznawcy (polecam w Internecie lekturę tekstów Jadwigi Wronicz i Bożeny Cząstki-Szymonowej opublikowanych w czasopiśmie językoznawczym „LingVaria" w numerze 15 z 2013 r.). Opinia publiczna zna przede wszystkim wypowiedzi prof. Jana Miodka. I ja powołam się na jego wypowiedź opublikowaną w jednym z lokalnych pism: „Dyskusja o języku śląskim jest żenująca". Tak. Zażenowanie i niedowierzanie towarzyszą obserwacjom dopuszczania do niby-poważnej dyskusji autorskich i ignoranckich koncepcji tworzonych przez ideologów odrębności Ślązaków od Polaków, że śląski jest pidżynem (język pomocniczy o uproszczonej budowie), kreolem (nowo powstały język mieszany), najbliższym językowi morawskiemu (?), niemieckiemu, czeskiemu; ba! sformułowano nawet tezę, że to odrębny język słowiański. Zaskakują wypowiedzi specjalistów, którzy np. eksponują jakieś odrębności wariantów dialektu śląskiego od współczesnej polszczyzny ogólnej, milczeniem pomijając, że te same cechy charakteryzują inne dialekty języka polskiego, a w przeszłości – także staropolszczyznę.

Wreszcie z zażenowaniem odbiera się nie tak rzadkie wypowiedzi, że opinia językoznawców jest mało ważna, bo nie potrafią oni zdefiniować takich terminów jak „język", „dialekt", stale i bezproduktywnie się o to spierają; należy więc te spory zamknąć w ścianach akademii, a decyzje polityczne podejmować (nawet jeśli to nie jest zgodne z przepisami unijnymi) na podstawie emocji (lubimy – nie lubimy, boimy się – nie boimy się). Do pewnego stopnia takiej postawie trudno się dziwić. Posłowie, senatorowie, nawet wydelegowani do specjalistycznych komisji, nie są językoznawcami. Muszą polegać na cudzych opiniach.

PRZYPADEK KASZUBSZCZYZNY

Jednym z argumentów przytaczanych na rzecz braku kompetencji językoznawców co do ustalania statusu języków i dialektów jest przypadek kaszubszczyzny. Można przeczytać zdania w rodzaju: „Została ona przez Sejm RP uznana za język regionalny, choć językoznawcy spierali się na temat tego, czy jest to język czy dialekt". Wyjaśnijmy więc, na czym polegał ów spór i jakie były powody ostatecznego opowiedzenia się za uznaniem jej za język regionalny, a więc w świetle prawa: niebędący dialektem języka urzędowego w państwie.

Kaszubski z punktu widzenia językoznawcy, dialektologa, slawisty jest językiem pośrednim między polszczyzną a wymarłymi już słowiańskimi językami pomorskimi. Wykazuje on zarówno cechy, które określamy jako „lądowe" (wiążące go z dialektami polskimi), jak i cechy „pomorskie", których w dialektach języka polskiego nie odnajdujemy. Kaszubszczyzna przynależy do odłamu języków zachodniosłowiańskich, nazywanego w podręcznikach językoznawstwa „grupą lechicką". Należą do niej współcześnie: język polski oraz – wykazujący ze względu na kontakty językowe wiele z nią wspólnego – język kaszubski; dawniej do grupy tej należały jeszcze: wymarły język połabski (ostatnie zapisy z XVIII w.) oraz wymarłe języki pomorskie, jak język Słowińców (ostatnie zapisy z początku XX w.). Kaszubski, a szczególnie jego północne gwary, pod względem cech językowych należy właśnie do tej pomorskiej grupy. Zgodnie z tą wiedzą w kompendiach językoznawczych, podając skład grupy lechickiej, wymienia się albo osobno „język polski" i „język kaszubski", albo „język polski z kaszubszczyzną",

eprasa.pl 9062e47cf9

podkreślając silny związek tej ostatniej także z polszczyzną. Pominę w tym miejscu szczegółową charakterystykę gwar kaszubskich (można zapoznać się z nimi, korzystając z internetowego kompendium dialektologicznego przygotowanego na Uniwersytecie Warszawskim na stronie dialektologia.uw.edu.pl). Podkreślę tylko, że „spór" lingwistów o status kaszubszczyzny jako języka grupy pomorskiej lub dialektu języka polskiego polegał na wyrażaniu opinii na temat większego lub mniejszego udziału w tym języku cech lądowych lub pomorskich, obu – jak to już wcześniej napisałam – mających w nim swą reprezentację. Nie pomijano jednak w tej dyskusji tego, że kaszubszczyznę cechują takie zjawiska językowe, które w ludowych gwarach obszaru polskiego nie występują.

1) Brak tzw. spółgłosek polskich: ć, dź, ś, ź, powstałych wskutek palatalizacji (zmiękczenia) prasłowiańskich spółgłosek t', d', s', z'. W kaszubskim nie ma takiego szeregu, głoski są twarde, por. sedzec na zemi (pol. siedzieć na ziemi), cemno (pol. ciemno). Nazywa się to zjawisko kaszubieniem, jego potwierdzenie pochodzi z XVI w., a niezależnie od etiologii procesu czas jego działania szacuje się na wieki XII–XIII.

2) Obecność tzw. kaszubskiej palatalizacji, czyli przejście miękkich spółgłosek k', g' w cz', dż': kaszëbsczi (pol. kaszubski), czij (pol. kij), dżibczi (pol. gibki). Nasze celôczi mają taczé dłudżé dzibczé nodżi (pol. Nasze cielaki mają takie długie gibkie nogi).

3) Brak metatezy ps. grupy TărT w polską grupę TorT. Zjawisko zamiany miejsca samogłoski i spółgłoski płynnej „r" lub „l" w otoczeniu spółgłosek właściwych (symbol T) to wielki proces obejmujący całą słowiańszczyznę. Na podstawie efektów tej przestawki wyróżniamy grupy języków południowo-, wschodnio- i zachodniosłowiańskich, a w tej ostatniej także odróżniamy np. język polski od czeskiego czy słowackiego. W kaszubskim odnajdujemy dowody, że w językach pomorskich grupy lechickiej przestawka nie zaszła (dotyczy to także języka połabskiego). Halina Karaś pisze: „Odczuwanie tego procesu jako cechy typowo kaszubskiej sprawia, że oprócz dawnych, znanych z gwar (zwł. pnkasz., rzadziej śrkasz.) form bardawica, bardówka 'brodawka', marwiszcze 'mrowisko', parmiéń 'promień', skarnia 'skroń' itp. w twórczości kaszubskich pisarzy występują neologizmy archaizujące, np. barń 'broń', warbel 'wróbel'".

Kaszubszczyzna ma wiele odmienności od polszczyzny, nie można tego powiedzieć o gwarach śląskich

4) Rozwój prasłowiańskich samogłosek jerowych, który także różnicuje języki słowiańskie, w kaszubskim – podobnie jak w językach łużyckich – ma przebieg specyficzny. Na granicy morfemów tzw. mocne jery nie zamieniały się w samogłoskę, nie wokalizowały się (jak jest w polszczyźnie ogólnej i polskich gwarach), ale zanikały; stąd kaszubskie formy: np. dobëtk (dobyt-ek), dómk (dom-ek), synk (syn-ek), krôwc (krawi-ec), łokc (łoki-eć), òjc (ojci-ec).

5) Wielki proces zaniku w (nie wszystkich) językach słowiańskich prasłowiańskiego iloczasu, czyli zróżnicowania głosek długich i krótkich, także wykazuje w kaszubszczyźnie pewną odmienność. Gdy w polskich dialektach dawne długie samogłoski zamieniały się w inne o podwyższonej artykulacji (tzw. samogłoski pochylone), co w uproszczeniu daje przekształcenie: pan > pon, koń > kuń, to w kaszubskim dodatkowo powstała odrębna głoska, tzw. szwa „ë", która inaczej niż gdzie indziej była efektem obniżenia artykulacji głosek krótkich i, y, u: czë (czy), dëchë (duchy).

Można wymieniać dalej: kaszubski akcent swobodny (typowy dla prasłowiańszczyzny, nieobecny w polskich dialektach), rozwój tzw. sonantów, często inny niż w dialektach polskich: tołmaczëc (tłumaczyć), wòłk (wilk), odmiana niektórych rzeczowników jak przymiotników, np. życie w liczbie pojedynczej może odmieniać się jak rzeczownik, ale i jak przymiotnik: żëcé, żëcégò, żëcémù, żëcé, żëcym, żëcym, żëcé!

Tak więc, choć kaszubszczyzna w wielu aspektach charakteryzuje się cechami obecnymi w dialektach polskich, to znamionuje się także ważnymi z językoznawczego punktu widzenia odmiennościami od polszczyzny (literackiej i dialektalnej). Nie można tego powiedzieć o gwarach śląskich. Przeciwnie, wszystkie ich cechy odnajdujemy w pozostałych dialektach polskich, a także w lądowych cechach kaszubszczyzny.

Trzeba dodać, że dotyczy to także zachowanych w dialektach cech staropolskich.

1) Mazurzenie (zamiana sz > s, cz > c, ż > ż, np. kasza > kasa, też > tys, możesz > mozes). Część północna Śląska mazurzy podobnie jak Małopolska (bez Pogranicza Wschodniego Młodszego) i Mazowsze (bez Podlasia). Część środkowa Śląska (ale bez pogranicza z Małopolską) nie mazurzy podobnie jak Wielkopolska.

2) Jabłonkowanie (miękka wymowa spółgłosek dziąsłowych: sziare sziano = szare siano, cziarni czielak = czarny cielak). Zjawisko to występuje na obszarze Śląska Południowego podobnie jak w peryferyjnych gwarach północnego Mazowsza.

3) Samogłoski pochylone, które – jak pisałam wcześniej – odzwierciedlają stan polszczyzny z okresu staropolskiego, gdy etapami zachodził w polszczyźnie proces zaniku iloczasu; występują one w różnych wariantach zarówno w gwarach śląskich, jak i w pozostałych dialektach polskich i kaszubskim.

4) Na Śląsku Północnym i Środkowym podobnie jak na Mazowszu (nie wszędzie) oraz na Kaszubach (z dodatkową modyfikacją) zachowano też związaną z wycofywaniem się iloczasu staropolską wymowę samogłoski nosowej ę w postaci a unosowionego: jada do dum = jadę do domu (Śląsk), butelka sie bzierze z sobo = butelkę się bierze z sobą (Kurpie), jutro pojoda kołam do łosztyna = jutro pojadę na rowerze do Olsztyna (Warmia).

5) Silna dyftongizacja samogłosek (np. ptołk = ptak; trołwa = trawa) łączy Śląsk Północny, Wielkopolskę i północne gwary kaszubskie.

6) Mamy na Śląsku Północnym i Środkowym oraz w południowych dialektach Małopolski zachowane staropolskie formy z reliktami czasu przeszłego aorystu, który cechował się przyrostkiem „ch": jo żech sie kupiuł cigarety = ja żem se/sobie kupił papierosy; widziołech waszego synka = widziałem waszego chłopaka (Śląsk). W Małopolsce dodatkowo zaob-

eprasa.pl 9062e47cf9

serwujemy tu zamianę spółgłoski „ch” w „k” lub „ch” w „f”, np. wysedłek na dak = wyszedłem na dach (Podhale).

ŚLĄSKIE GWARY TO DIALEKT

Wyliczenie to można by z powodzeniem kontynuować, ukazując, że także inne odrębności śląskie wykazane w „Uzasadnieniu” do zmiany projektu ustawy są cechami polskich dialektów. Wymowa buł = był, piuł = pił występuje nie tylko na Śląsku, lecz także „od okolic Suwałk i Augustowa po Lublin i Kraśnik, dalej Łowicz, Koło, Tarnowskie Góry, Cieszyn, a na północy od Czarnkowa, Bydgoszczy po Bytom i Tczew oraz Limanową, Jasło, Busko, Brzesko”. „Trojenie”, czyli mówienie o osobach starszych lub zwracanie się do nich w trzeciej osobie liczby mnogiej, nie występuje tylko na Śląsku (por. tatuś malowali, lubieli malować z Małopolski, gwara Krakowiaków Wschodnich). Podsumowując, współwystępowanie tych samych zjawisk w gwarach śląskich, małopolskich, mazowieckich, wielkopolskich oraz (częściowo, p. wyżej) w kaszubszczyźnie oraz niewystępowanie ich w sąsiedzkich językach grupy zachodniosłowiańskiej prowadzi do wniosku, że w genetycznej klasyfikacji języków śląskie gwary stanowią dialekt języka polskiego.

Narzędzia językoznawcze służące do wyodrębniania języków, dialektów, gwar operują przede wszystkim danymi fonetycznymi, a także gramatycznymi. Przez przeciętnego użytkownika języka są one niezauważane. Odrębność językową widzi on przede wszystkim w słownictwie, zwykle też porównuje słowa znane z własnej gwary z językiem ogólnym, jako że zazwyczaj nie zna się innych poza własnym dialektów. Dobrym przykładem są w tym wypadku wyrazy pochodzenia obcego, np. germanizmy w gwarach śląskich, wielkopolskich, w miejskiej gwarze Krakowa, na Warmii, na Kaszubach. Świadczą one o kontaktach językowych, a niekiedy wynikają z dwujęzyczności mieszkańców danych terenów. Nierzadko i one do polszczyzny gwarowej różnych regionów adaptowane są w podobnej postaci, jak to widać w dwóch wariantach wierszyków: śląskim – W antryju na byfyju stoi szolka tyju (w przedpokoju na kredensie stoi kubek herbaty) i wielkopolskim – W antrejce na ryczce stały pyry w tytce. Przyszła niuda, spucła pyry, a w wymborku umyła giry (W przedpokoju na stołku stały ziemniaki w papierowej torebce. Przyszła świnia, zjadła ziemniaki, a w wiadrze umyła nogi). Mantel – płaszcz, mycka – czapka, laczki – domowe pantofle bez napiętka, galart – galareta mięsna, sznytka – kromka chleba – to także zaadaptowane do polszczyzny germanizmy znane zarówno poznaniakom, jak i Ślązakom. O ich polskości świadczy to, że zostały zaadaptowane do fonetycznego i fleksyjnego systemu języka polskiego (w tym jego dialektalnych odmian): wymawiamy je z polska, odmieniamy według reguł polskiej deklinacji.

Osobny rozdział stanowi słownictwo rodzime, które w gwarach poszczególnych regionów jest często odmienne niż w polszczyźnie ogólnej lub w innych dialektach i także wywołuje czasem problemy w komunikacji. Jednak i na jego podstawie można wskazać więzi między dialektami obszaru polskiego. Jadwiga Wronicz na podstawie „Małego słownika gwar polskich” obliczyła np., że w gwarach śląskich wyrazy wspólne z innymi dialektami polskimi stanowią 53,6 proc., a wyrazy odrębne 46,4 proc., w gwarach małopolskich udział tych pierwszych wynosi zaś 44 proc., a tych drugich 56 proc. W obu – mniej więcej pół na pół.

JĘZYKOZNAWCY MAJĄ NARZĘDZIA

Z dawnej i najnowszej historii Polski i Europy dobrze wiemy, że nie tak rzadko polityka, prawo i językoznawstwo wchodzą w konflikt, a też często bywa, że językoznawstwo ustępuje polityce. Nie znaczy to jednak, że językoznawcy nie mają narzędzi do ustalania pochodzenia i opisu rozwoju języków. Oczywiście bywają przypadki bardzo złożone, trudne, a to z powodu braku wystarczających danych, gdy możemy wykorzystać tylko reliktowe szczątki dawnych języków (tak częściowo jest w przypadku kaszubszczyzny), a to np. z powodu bliskości języków, wzajemnych interferencji itd. Spieramy się, próbując dotrzeć do istoty problemu. To przecież naturalne. Bywa jednak i tak, że dane językowe są jednoznaczne. Tak jest w przypadku cech gwar śląskich, których przynależność do zespołu dialektów polskich potrafimy stwierdzić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest profesorem w Instytucie Językoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego, członkiem Komitetu Językoznawstwa i Komitetu Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk oraz Komisji Etnolingwistycznej przy Międzynarodowym Komitecie Slawistów.

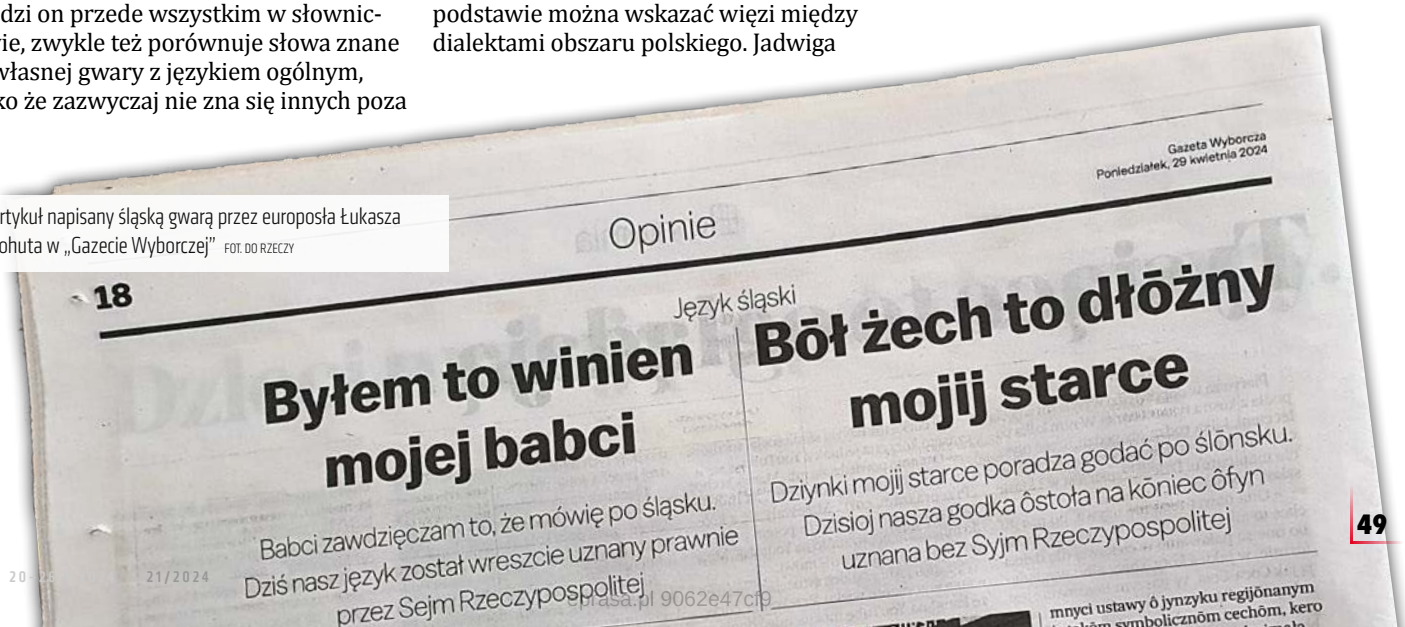
Gazeta Wyborcza
Poniedziałek, 29 kwietnia 2024
Opinie
18
Język śląski
Byłem to winien mojej babci
Babci zawdzięczam to, że mówię po śląsku. Dziś nasz język został wreszcie uznany prawnie przez Sejm Rzeczypospolitej
Ból żech to dłōżny mojij starce
Dziynki mojij starce poradza godać po ślōnsku. Dzisioj nasza godka ôstoła na kōniec ôfyn uznana bez Syjm Rzeczypospolitej
mnyci ustawy ô jynzyku regijōnanym

Artykuł napisany śląską gwarą przez europosła Łukasza Kohuta w „Gazecie Wyborczej” FOT. DO RZECZY

prasa.pl 9062e47cf9

Historia lewicowo zaangażowana

Filip Memches

Nic tak wyraziście nie pokazuje kierunku obranego w zakresie polityki historycznej przez antypisowską koalicję rządową, jak zmiana na stanowisku dyrektora Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej. W kwietniu bieżącego roku zdymisjonowany został prof. Jan Żaryn, a jego miejsce zajął doktor habilitowany Adam Leszczyński

Adam Leszczyński, nowy dyrektor Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

Nie chodzi zresztą tylko o zmianę personalną. IDMN ma się inaczej nazywać i zajmować się czymś innym niż dotąd. Do rangi symbolu urasta to, że Instytutowi nie będą już patronować teoretyk i przywódca Narodowej Demokracji – Roman Dmowski – oraz czołowy polityk chrześcijańsko-demokratyczny – Ignacy Jan Paderewski. Zastąpi ich pierwszy prezydent II Rzeczypospolitej, Gabriel Narutowicz, który w roku 1922 został na ten urząd wybrany głosami parlamentarzystów reprezentujących ugrupowania lewicowe i centrowe oraz mniejszości narodowe.

IDMN został powołany przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego w roku 2020 w dużym stopniu po to, żeby nadrobić braki na polu edukacji historycznej. W III Rzeczypospolitej prawicowe nurty polskiej międzywojennej polityki były traktowane przez środowiska opiniotwórcze z nadmiernym krytycyzmem. Może nie dotyczyło to chrześcijańskiej demokracji, ale z pewnością tak było w przypadku obozu narodowo-demokratycznego.

Na wizerunku endecji zaciążyły nie tylko to, co w jej działalności może dziś naprawdę budzić zastrzeżenia (np. wskazywanie ekonomicznego zagrożenia dla Polaków ze strony mniejszości żydowskiej, które przeradzało się w akcje antysemickie), lecz także rozmaite stereotypy. Ich źródłem jest w Polsce określony – motywowany ideologicznie – stosunek kręgów lewicowo-liberalnych do polskiego nacjonalizmu.

WALKA Z PRAWICĄ

Jak wiadomo, historię piszą zwycięzcy. A w Polsce od połowy XX w. długo nimi pozostawali ludzie, dla których Narodowa Demokracja to byli głównie bojówkarze pałujący Żydów oraz kolaboranci caratu. Owszem, establishment III RP uznał Romana Dmowskiego za jednego z ojców odzyskanego w roku 1918 niepodległego państwa polskiego (bądź co bądź ów mąż stanu ma w Warszawie i rondo swojego imienia, i swój pomnik), ale zarazem politykowi temu przyprawiono gębę antysemity i rusofila. A akurat Adam Leszczyński należy do grona osób utrwalających negatywne opinie o endecji.

Jest on – tak jak jego poprzednik na stanowisku szefa IDMN – historykiem. Ale to nie tylko chłodny badacz, lecz także zaangażowany lewicowo publicysta. Może o tym świadczyć wywiad z nim w weekendowym wydaniu „Gazety Wyborczej" z 11–12 maja bieżącego roku. W rozmowie tej padły słowa, których nie powinno się zostawić bez komentarza.

Przede wszystkim Leszczyński zadeklarował, że nie zamierza być w IDMN „anty-Żarynem, czyli człowiekiem robiącym propagandę lewicową zamiast prawicowej". Cały materiał w „GW" jednak temu przeczy. Leszczyński bowiem wykłada swoje credo ideologiczne. Nie kryje, że instytucja, której został dyrektorem, ma się stać narzędziem do walki z prawicą w obszarze polskiej zbiorowej pamięci dziejowej.

Szkopuł w tym, że w opowieści Leszczyńskiego to nie jest walka lewicy z prawicą w ramach, wydawałoby się, naturalnego na gruncie demokracji parlamentarnej sporu o różne kwestie, w tym także te historyczne, lecz jest to wręcz egzystencjalne starcie opcji

eprasa.pl 9062e47cf9

„demokratycznej" z nacjonalizmem, który jawi się tu jako zjawisko ze swojej istoty „antydemokratyczne", czyli przeznaczone do całkowitego wyrugowania z życia publicznego. W ten sposób szef IDMN interpretuje polską debatę historyczną w kategoriach manichejskiego konfliktu dobra ze złem.

Leszczyński oświadcza, że placówkę, której jest dyrektorem, czeka „radykalne przekształcenie [...] w niewielką jednostkę zajmującą się przede wszystkim myślą demokratyczną. Od socjalistów po chadecję". W tym kontekście o endecji nie ma mowy.

Nie przypadkiem nowym patronem Instytutu ma zostać wspomniany wyżej Gabriel Narutowicz. Leszczyński nazywa go „demokratą ponad podziałami partyjnymi", co rzecz jasna jest nieprawdą. Narutowicz bowiem jako reprezentant sił lewicowych i centrowych oraz mniejszości narodowych jak najbardziej wpisywał się w podziały na scenie politycznej początku II RP. Miał on przeciw sobie potężny i znaczący obóz, czyli endecję. Konflikt z nią stanowił właśnie – czy to się komuś podoba czy nie – przejaw młodej, z natury rzeczy niedoskonałej polskiej demokracji.

Jednak z rozważań Leszczyńskiego wynika, że kto był antagonistą Narutowicza, ten nie miał mandatu (moralnego?) do udziału w parlamentarnej rywalizacji o władzę w II RP. Zwłaszcza że przecież ten właśnie prezydent Polski został zamordowany przez malarza Eligiusza Niewiadomskiego.

I tu trzeba odnotować, że choć zamachowiec sympatyzował z Narodową Demokracją, to formalnie nie był z nią związany i zbrodnię popełnił na własną rękę. Leszczyński jednak uderza w tony martyrologiczne. Podnosi argument, że Narutowicz został uśmiercony „przez przedstawiciela skrajnej prawicy". Skoro tak, to przesłanie dyrektora IDMN jest oczywiste: ofiara takiego politycznego mordu jako patron Instytutu zajmującego się polską „myślą demokratyczną" będzie przypominać o tym, że nie wolno politycznych spadkobierców endecji wpuszczać do uczestnictwa w życiu publicznym III RP, bo to ludzie, którzy za bohaterów mają zbrodniarzy.

ZERO ZDZIWIENIA

W rozmowie na łamach „GW" nie zabrakło też ordynarnej manipulacji. Leszczyński zakomunikował, że podjął decyzję o wstrzymaniu tłoczenia płyt z piosenkami Onufrego Kopczyńskiego. Dziennikarz „Wyborczej" zareagował na to pytaniem: „Kogo?", dając do zrozumienia, że przypuszczalnie przecież chodzi o jakiegoś śmiechu wartego noname'a. Szef IDMN krótko odpowiedział, że Kopczyński był działaczem nielegalnego Ruchu Narodowo-Radykalnego Falanga i kierownikiem Polskiej Organizacji Akcji Kulturalnej, która propagowała m.in. antysemityzm.

Gdyby jednak Leszczyński chciał się wykazać uczciwością intelektualną, a nie zdolnościami manipulacyjnymi, toby powiedział coś znacząco więcej.

Bronisław Onufry Kopczyński był kompozytorem, poetą, publicystą. W okresie okupacji niemieckiej działał w strukturach konspiracyjnych: w Konfederacji Narodu – organizacji, która z upływem czasu została scalona z Armią Krajową – oraz przede wszystkim jako redaktor naczelny w miesięczniku „Sztuka i Naród". W roku 1943 został aresztowany przez gestapo i wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego na Majdanku, gdzie zmarł, mając niespełna 27 lat.

„Sztuka i Naród" to czasopismo, w którym z jednej strony wykuwały się pomysły na nową architekturę Europy po drugiej wojnie światowej (koncepcja „imperium słowiańskiego" między Niemcami a Rosją, bynajmniej nieszowinistyczna i nierasistowska), z drugiej zaś – wrzała oryginalna twórczość literacka. Po Kopczyńskim redaktorami naczelnymi tego miesięcznika byli znani poeci z pokolenia Kolumbów: Wacław Bojarski, Andrzej Trzebiński, Tadeusz Gajcy (żaden z nich nie dożył końca okupacji).

Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej został powołany m.in. po to, żeby takie osoby jak interlokutor Adama Leszczyńskiego z „Gazety Wyborczej" dowiedzieli się (o ile mieliby dobrą wolę) choćby o istnieniu „Sztuki i Narodu" oraz znaczeniu tego miesięcznika dla kultury polskiej. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że nowy szef IDMN postanowił uprawiać polską wersję cancel culture.

Ale czemu się tu dziwić? Na łamach „SiN" głoszono inspirowaną nauczaniem Kościoła katolickiego ideę uniwersalizmu – wymierzoną i w totalitaryzmy, i w liberalną demokrację. To zaś w tak lewicowym intelektualiście jak Leszczyński musi wzbudzać odrazę.

Podstawowym problemem dla niego jest jednak samo dziedzictwo Narodowej Demokracji – nurtu politycznego, który ocenia on z perspektywy prezentystycznej i ahistorycznej. Leszczyński szermuje wiktymocentrycznym dyskursem mniejszościowym, czyniąc sobie z Żydów fetysz ideologiczny – jedną z prześladowanych na przestrzeni dziejów grup obok chłopów pańszczyźnianych, osób homoseksualnych i transseksualnych czy imigrantów z krajów muzułmańskich. Nie bierze pod uwagę, że punkt widzenia Polaków przed okupacją niemiecką był inny niż po niej, a stosunki polsko-żydowskie w okresie międzywojennym miały charakter skomplikowany. Nie powinno się do nich przykładać prostego schematu oprawcy (Polacy) – ofiary (Żydzi). To były trudne relacje sąsiadów w ramach jednego państwa, ścierały się rozmaite interesy (na tle choćby ekonomicznym). Pobudkami nacjonalistycznymi kierowali się Polacy, a także Żydzi. I endecja podnosiła tę kwestię.

JAKA TRZECIA DROGA?

Lewicowy radykał nie byłby jednak dyrektorem IDMN, gdyby mu tej funkcji nie powierzyli liberalni populiści będący główną siłą w antypisowskiej koalicji rządowej. A przecież można sobie wyobrazić, że prof. Jana Żaryna zastąpiłby np. namaszczony przez Trzecią Drogę dr hab. Aleksander Hall.

Ten historyk i były polityk jest ostrym oponentem PiS, a zarazem zwolennikiem TD. Jego poglądy można uznać za konserwatywne. I przede wszystkim Hall zawsze rozumnie, bez uprzedzeń ideologicznych traktował dorobek endecji, do którego się zresztą odwoływał, gdy jeszcze w okresie PRL działał w podziemnym Ruchu Młodej Polski.

Trzecia Droga istnieje jednak po to, żeby w parlamencie układ antypisowski miał większość, a nie po to, żeby realizować światopoglądowe oczekiwania tych spośród swoich wyborców, którzy 15 października 2023 r. naiwnie uwierzyli w to, że głosują na nową jakość polskiego konserwatyzmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

Wojna PZPR z pielęgniarkami

Sławomir Siwek

Komuniści rozmontowali dobry system opieki medycznej, który zapewniały zakonnice

Wszystko jasne. Problemy służby zdrowia, w tym szczególny problem chronicznego braku pielęgniarek, biorą się z tego, że chorzy i lekarze zwracają się do pielęgniarek per „siostro", a to kojarzy się niebezpiecznie z siostrami zakonnymi! Kojarzy się tak przynajmniej jednej osobie w kraju.

Przypadkiem trafiłem na artykuł pt. „Pielęgniarka czy siostra? Odwieczny dylemat" na stronach portalu internetowego Wydawnictwa Lekarskiego PZWL (do 1993 r. Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich) „Nursing PZWL". Autorką artykułu/dylematu z 27 maja 2022 r. jest Natalia Lekowska, jak sama się przedstawia – magister pielęgniarstwa, pielęgniarka POZ, „pochłonął mnie świat szczepień i w tym się spełniam zawodowo".

Autorka pisze: „Kiedyś pielęgniarkami zostawały siostry zakonne – dziś pielęgniarkami/pielęgniarzami zostają osoby, które ukończą studia wyższe, bez względu na wiarę. Kiedyś zawód pielęgniarki był swego rodzaju służbą owianą powołaniem, a dziś jest pracą popartą setkami godzin nauki, praktyki, egzaminów i dowodów naukowych. I choć czasy sióstr zakonnych przy łóżku pacjenta minęły, to w dalszym ciągu spory odsetek osób nazywa nas »siostrami«".

Może przesadzam, ale wyczuwam rodzaj pychy i pogardy do poprzedniczek, łącznie z twórczynią nowoczesnego pielęgniarstwa Florence Nightingale (absolwentką Ewangelickiego Zakładu Diakonijnego), szkolącą pielęgniarki na odpowiednim, zgodnym z ówczesnym stanem wiedzy naukowej, poziomie i wysokim poziomie moralnym. Mówiono do niej i do absolwentek „siostro", bo był to przejaw dumy i szacunku.

Autorka przy okazji zdradziła poważną lukę w programach kształcenia przyszłych pracowników służby zdrowia. Nic nie wie o historii pielęgniarstwa w Polsce,

eprasa.pl 9062e47cf9

Żołnierze oraz zakonnice podczas procesji Bożego Ciała, Warszawa, 5 czerwca 1947 r. FOT. PAP

korzeniach, procesach rozwoju. Gdyby się tym zainteresowała – z większą pokorą wyrokowałaby, że dzisiejsze pielęgniarki winny wymagać odcięcia się od „siostry", bo to nie tworzenie dystansu, a wyznaczenie granic między przeszłością a teraźniejszością.

Pani magister pielęgniarstwa, specjalistka od aplikowania szczepionek, czuje się poniżona porównaniem do sióstr zakonnych wykwalifikowanych na wymaganym przez państwo poziomie, do tego kierujących się – o zgrozo – powołaniem!

UPADEK ETOSU

Wyznaczaniem granic między przeszłością a teraźniejszością w służbie zdrowia zajęła się aktywnie Polska Zjednoczona Partia Robotnicza od 1948 r., gdy bez udawania przystąpiono do instalacji sowieckiego komunizmu. Historycy i ekonomiści są przekonani, że źródeł dzisiejszych problemów, w tym upadku etosu służby zdrowia, szukać trzeba m.in. w tamtych czasach.

Nacjonalizację szpitali należących do różnych związków wyznaniowych – nie tylko Kościoła katolickiego, ale ten był największy – prawnie usankcjonowała ustawa z 28 października 1948 r. „o zakładach społecznych służby zdrowia i planowej gospodarce w służbie zdrowia". Ogromna większość szpitali oraz innych placówek opiekuńczych i leczniczych przejęta została w czasie zorganizowanej w skali kraju akcji 3 października 1949 r. W pierwszej kolejności zabierano szpitale najlepsze, powyżej 100 łóżek. Siostry – pielęgniarki, często mieszkające na terenie budynków – wyrzucano, konfiskując nawet rzeczy osobiste. Na ich miejsce wprowadzano siostry przygotowywane w czasie sześciomiesięcznych kursów. Zdecydowanie krócej szkolono zastępców administracyjnych szpitali, pochodzących z aparatu partyjnego PZPR i z Urzędu Bezpieczeństwa.

Zabór kościelnych placówek opieki zdrowotnej zaczął się wcześniej, bo po 1945 r. W październiku szpital sióstr elżbietanek w Kożuchowie przejął zarząd miejski. Siostrom boromeuszkom z Lwówka Śląskiego czy Sobótki, zabierając szpitale, zabrano przy okazji wieczne pióra, noże, widelce, łyżeczki (ze skargi Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska do Urzędu Województwa Wrocławskiego z 20 kwietnia 1947 r.). Jak pisali ksiądz administrator Bronisław Kaczanowski oraz siostra przełożona Pryscylia Kondli – przy okazji nacjonalizacji domu starców w Mrozowie powiatowy szef Wydziału Polityczno-Wychowawczego PZPR Stanisław Legenza „przy pomocy urzędników gminy Mrozów przeprowadził rewizję w całym domu starców i zabrał ze strychu rzeczy następujące: przybory kuchenne, pierzyny, materace, żarówki, aparaty do dezynfekcji i do elektryzacji oraz kosze z bielizną".

Aktywiści partyjni i urzędnicy nie wystarczali. Konieczne były znaczne siły milicyjne. Szpital dla nerwowo i psychicznie chorych pw. Najświętszej Marii Panny w Branicach otoczono i skonfiskowano: 11 pawilonów szpitalnych, 23 budynki mieszkalne i gospodarcze oraz 275 ha ziemi ornej i łąk, dzięki którym szpital mógł się utrzymywać. Powołane specjalne komisje tworzyły protokoły zdawczo-odbiorcze. Miały do nich wpisywać wyłącznie majątek szpitali, tymczasem wpisywano również majątek właściciela i w ten sposób dokonywano zaboru własności np. zakonów. Nie było trudno majątek rozdzielić, ponieważ (jak to w instytucjach kościelnych od wieków jest przyjęte) prowadzono dokładną księgowość.

Siostrom szarytkom ze Środy Śląskiej, odbierając szpital, zabrano również budynek ochronki, budynek z mieszkaniami sióstr pielęgniarek, kaplicę.

PORAŻAJĄCA BEZMYŚLNOŚĆ

Statystyka poraża nie tylko skalą, lecz także bezmyślnością. Zlikwidowano funkcjonujący przez dziesiątki, nawet setki lat system wyznaniowej opieki zdrowotnej na wielu szczeblach, łącznie z zapleczem materialnym. Rozpędzono większość kwalifikowanej kadry. Nawet partyjne analizy przyznawały, że zaczęło brakować w kraju ok. 20 tys. pielęgniarek. Przygotowywane w kilka miesięcy trzy adeptki kursów były zaledwie w stanie uzupełnić kompetencją i sprawnością pracy jedną siostrę zakonną.

Akcja zaboru placówek opieki zdrowotnej po drugiej wojnie światowej, przez lata 40., 50., a nawet 60. XX w., nie dotyczyła wyłącznie Kościoła katolickiego i nie tylko szpitali. Upaństwowiono majątek także ewangelików, żydowski, fundacji, wreszcie Caritasu. Ta ostatnia sprawa wymaga odrębnego omówienia, ponieważ likwidacja i przejęcie pod zarząd państwowy majątku Caritasu w 1950 r. to osobna historia. Podam tylko, że kościelnemu Caritas odebrano wówczas ponad 250 szpitali, pięć zakładów specjalnych, 125 domów starców, osiem sanatoriów, 27 żłobków i 183 domy dziecka. Do tego opiekę częściową zapewniały 743 przedszkola, 3 żłobki, 76 ambulatoria, 13 poradni dla matek z dziećmi. We wszystkich tych placówkach pracowały wykwalifikowane siostry zakonne.

Wedle danych zebranych przez Sekretariat Episkopatu Polski, w 1946 r. funkcjonowały 256 szpitale zgromadzeń zakonnych – w 1956 r. zostały dwa; szpitale specjalne – 125 i 43; przedszkola – 743 i 4; domów dziecka w 1949 r. było 278 –

eprasa.pl 9062e47cf9

w 1966 r. zostały dwa; żłobków w 1946 r. było 30 – w 1966 r. nie został ani jeden. Sanatoria w 1949 r. – 14, w 1966 r. – zero.

Jeszcze jedna, mało znana, wręcz zbrodnicza aktywność PZPR. Józef Cyrankiewicz, ówczesny szef rządu PRL, wymyślił Akcję „X-2". 3 sierpnia 1954 r., używając milicji i Urzędu Bezpieczeństwa, wkroczono na teren klasztorów na Śląsku Górnym i Dolnym, dano dwie godziny na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy i wysiedlono ok.1,5 tys. sióstr, skonfiskowano majątek nieruchomy i ruchomy, w tym szpitale i inne placówki opieki zdrowotnej wraz z wyposażeniem.

1061 sióstr z 49 zlikwidowanych domów przewieziono do ośmiu obozów pracy. Część z nich rozpędzono po Polsce do innych domów zakonnych. Siostry z czterech zgromadzeń czasowo zostawiono na Śląsku, ponieważ nie było pielęgniarek w zagrabionych szpitalach. Ekspresowe kursy szkolące pielęgniarki na podstawowym poziomie jednak trwały kilka tygodni.

Akcja „X-2" odbywała się pod hasłem walki z wpływami niemieckimi. Ograniczeni do ideologii komuniści nie byli w stanie zrozumieć, że Kościół jest powszechny, przez 10 powojennych lat trwały przepływy sióstr między domami zakonnymi – tak w Polsce, jak do obu państw niemieckich – i nie odróżniano zakonnic autochtonek od tych z pochodzeniem niemieckim czy polskim. W sumie zabrano wówczas zakonom 318 domów zakonnych, wszystkie mieściły placówki medyczne różnego typu.

KWADRATURA KOŁA

W wielu przypadkach władze znalazły się w sytuacji bez wyjścia. Przejąć majątek, wypędzić siostry – to jedno, zapewnić obsługę – to już problem. Dochodziło do zadziwiających sytuacji. W terenie zostawiano kilka sióstr w pracy pielęgniarskiej. Zwykle przejściowo. Zdawano sobie sprawę, że nie będzie łatwo znaleźć tak wykwalifikowanej kadry. Z drugiej strony uniemożliwiano siostrom kształcenie w państwowych szkołach i uczelniach.

Wiele mówi historia Szkoły Pielęgniarstwa Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo w Krakowie, co badała s. Mirosława Hałat („Medycyna Nowożytna" 2001, nr 8/1). Szkoła została zatwierdzona 29 września 1945 r. Sielanka trwała krótko. 15 stycznia 1950 r. (sześć tygodni przed egzaminem dyplomowym) siostry pielęgniarki zostały wyrzucone z pomieszczeń zajmowanych w szpitalu św. Łazarza. Uczennice świeckie rozesłano do szkół w Polsce. Dwadzieścia osiem sióstr zakonnych dostało zakaz wstępu do szkół pielęgniarskich. W ciągu czterech lat w szkole uczyło się 278 uczennic, świeckich i siostry zakonne. Uczennice uczestniczyły także w wykładach w Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarstwa, a odważny rektor UJ powołał twórczynię szkoły zakonnej, s. Marię Pliszczyńską, na kontraktowego wykładowcę.

Jeszcze w 1948 r. dyrektorzy szpitali pozazakonnych wystawiali najwyższe oceny kwalifikacji pracujących tam sióstr. Na przykład dyrektor krośnieńskiego szpitala w czasie chwilowej odwilży po 1956 r pisał: „Ob. Anna Kapłoniak […] kwalifikację zawodową posiada bardzo wysoką, może z powodzeniem prowadzić Oddział Chirurgiczny jako pielęgniarka oddziałowa".

Dopiero po 1970 r. siostry habitowe mogły się uczyć, i to tylko w dwuletnich pomaturalnych państwowych szkołach pielęgniarskich. W latach 50. czasami mogły uczestniczyć w kursach masażu leczniczego, na laborantki analityczne czy na asystentki lekarza w laboratorium rentgenowskim.

Ciekawe były egzaminy przed komisją państwową. Do sióstr zwracano się „towarzyszko", a dla egzaminatorów najważniejsze były pytania o „działalność Stalina od lat młodzieńczych po dzień dzisiejszy" oraz „czy Kościół jest kulą u nogi budowy socjalizmu".

Urząd Bezpieczeństwa ze specjalną uwagą inwigilował siostry i starał się pozyskać agenturę, szczególnie wśród sióstr pracujących w placówkach upaństwowionego Caritas. Siostry relacjonowały te próby przełożonym – archiwa kościelne pełne są takich świadectw.

Podnoszenie kwalifikacji miało miejsce nawet w najgorszych czasach. Półkonspiracyjnie. W klasztorach odbywały się wykłady prowadzone przez odważnych profesorów, np. przy okazji spotkań i konferencji formacyjnych. Gdy po 1989 r. zakony żeńskie mogły już wypełniać swą opiekuńczą misję, okazało się, że proporcjonalnie siostry należą do najwyżej wykształconej i wykwalifikowanej grupy w służbie zdrowia. Tyle że państwowa niewiele może z tego korzystać, bo częściowo odzyskiwany i prowadzony przez zakony majątek szpitalny pochłania skromniejsze dzisiaj „zasoby kadrowe" zakonów żeńskich…

Wedle danych Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych z 2017 r. na 19 102 siostry tylko 21 proc. miało wykształcenie podstawowe i zawodowe. Natomiast 36 proc. – wyższe magisterskie. Dodatkowo studia pomaturalne, licencjat zawodowy, studia podyplomowe, licencjat podyplomowy – 16 proc. 189 sióstr obroniło doktorat. O habilitację ubiegają się 23 siostry. Lekarek jest 32, pielęgniarek – 1143. Siostry prowadzą też poradnictwo psychologiczne, rodzinne, pedagogiczne (52 osoby). Właściwie trudno jest znaleźć siostrę, która by nie znała języków obcych, ponieważ praktykują i pracują, często studiują, w wielu krajach. Wśród sióstr panuje atmosfera ciągłego doskonalenia wiedzy.

Po walcu komunistycznym, który przejechał po wyznaniowej służbie zdrowia, udało się odtworzyć jeden szpital. Nie znalazłem danych, czy odtworzono szpitale żydowskie, ewangelickie. Zgromadzenia skoncentrowały się na prowadzeniu bardzo wielu dzieł, ale mniejszych – od żłobków i przedszkoli, przez placówki opiekuńcze, terapeutyczne, dla niepełnosprawnych, pielęgnacyjne, do hospicjów, okien życia.

Ze smutnym rozbawieniem (!) śledzę powtarzające się głosy, czy mówić „siostro" do pielęgniarek i jak odebrać należne Kościołom i związkom wyznaniowym ukradzione im w latach 50. XX w. pieniądze, teraz zaksięgowane częściowo w Funduszu Kościelnym. W okresie komunizmu z tego funduszu, czyli de facto ze znacjonalizowanego majątku kościelnego, PZPR finansowała propagandę ateistyczną (czy ZNP odda pieniądze pobierane na ateizację dzieci w szkołach?), wynagrodzenie konfidentów czy nagrody dla oficerów bezpieczeństwa zatrudnionych w Urzędzie do spraw Wyznań. Dzisiejsi młodsi pracownicy Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej wykonujący użyteczną pracę nie są świadomi, że PKPS stworzył w 1958 r. sekretarz KC PZPR Jerzy Albrecht jako przeciwwagę dla Caritas, za pieniądze z rozgrabionego majątku kościelnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Państwo UB

Polska Ludowa, jeśli chodzi o sposób sprawowania władzy (czyli okres 1944–1989), kojarzy się z resortowym zamordyzmem, pozorowaną wielopartyjnością (ZSL i SD były wyłącznie atrapą, jeśli chodzi o ich samodzielność) oraz pozorowaną demokracją: były wybory, czyli „wybory", konstytucja, czyli „konstytucja", wolne sądy (skąd my to znamy?) itd.

Ale istotą systemu była wszechpotężna władza tajnych służb, które oddane były wyłącznie sowieckiemu suwerenowi, bez zbędnych niedomówień i wyjaśnień. Miarą naszego upadku po 1989 r. był brak jakiejkolwiek (choćby pozorowanej) dekomunizacji Wojskowej Służby Wewnętrznej (następczyni okrutnej Informacji Wojskowej – tylko nazwa się zmieniała), „ludowego" Wojska Polskiego, szczególnie zaś pionu politycznego, który był odnogą partii komunistycznej w wojsku.

Dziś już zapominamy, jak wszechwładna była bezpieka (cywilna: UB-SB i wojskowa: Informacja Wojskowa i Wojskowa Służba Wewnętrzna, czyli WSW). Mogła prawie wszystko, bo miała umocowanie w Moskwie. Istotą systemu (czyli „bijącego serca Partii") była masowa kontrola prewencyjna i następcza obywateli, instytucji, mediów, organizacji, zgromadzeń. W tamtym okresie nie było takich środków technicznych (elektronicznych) jak dziś, ale ubowcy dawali sobie radę. Masowe podsłuchy i kontrola wszelkiej korespondencji były na porządku dziennym. Ale największą pomocą w kontroli społeczeństwa była masowa agentura dostarczająca wszelkich, nawet nieistotnych informacji: co kto robi, myśli, planuje (knuje). W szybkim tempie Polska Ludowa stała się zatem… państwem UB-e.

W 1954 r., gdy partia rozpoczęła kontrolowaną „odwilż" (tylko dlatego, że system przebijał granice absurdu), podsumowania sposobu sprawowania władzy dokonali sam towarzysz gen. Stanisław Radkiewicz, szef Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i członek Biura Politycznego, oraz jego najważniejsi podwładni. Warto przypomnieć tym, którzy uznają PRL za w miarę normalne państwo – szczere słowa (bo wygłoszone na wewnętrznej naradzie) towarzysza płk. Józefa Czaplickiego (Izydora Kurtza): „Werbowaliśmy na ilość, instruowaliśmy i polecaliśmy werbować, werbować i jeszcze raz werbować. W ten sposób niemały procent naszego społeczeństwa przewertowaliśmy". Wtórował mu Radkiewicz: „Agentura zdobywana była jako instrument terroru… werbować = złamać i nałamaliśmy ludzi dosyć dużo i nadal łamiemy". Całość podsumowała płk Julia Brystiger: „Werbunek polegał na stosowaniu przymusu, na deptaniu godności ludzkiej".

Kto i dlaczego dziś broni resorciaków? W imię czego? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bij Iwana za Katyń

W maju 1953 r. w stołecznej Hali Gwardii odbyły się X Mistrzostwa Europy w Boksie. Finały przeprowadzono 24 maja i dzień ten był wielkim sukcesem polskich pięściarzy. Zdobyli bowiem aż pięć złotych medali (na 10 kategorii wagowych), a 5 tys. widzów wpadło wręcz w ekstazę, gdy trzykrotnie nasi reprezentanci pokonali bokserów z ZSRS.

Z wielką satysfakcją odnotowała ten fakt Maria Dąbrowska, która opisywała reakcję publiczności, kiedy naprzeciwko polskiego zawodnika stawał sportowiec sowiecki. Wówczas publiczność skandowała: „Dobij gołąbka pokoju!!!". Zauważyła też, że zawodnicy sowieccy w ogóle zdobyli tylko dwa złote medale, ale wśród zwycięzców ze Wschodu nie było Rosjanina.

Dąbrowska pisała swoje „Dzienniki" do szuflady, natomiast Leopold Tyrmand zamieścił relację z wydarzenia w prasie, miała dla niego fatalne konsekwencje. Już wcześniej był bowiem niemile widziany przez władze za demonstrację urządzoną podczas pewnego wydarzenia sportowego.

„[…] był mecz jakiś wielki – opowiadał Stefan Kisielewski – ze Związkiem Radzieckim. Na meczu był Bierut, cały rząd miał przyjść. Otóż Mikołajczyk, wicepremier, wykombinował sobie, że się spóźni, żeby mieć osobne wejście, osobną owację. I rzeczywiście, jak przez głośnik podano, że wszedł do loży wicepremier Mikołajczyk, to stadion zerwał się z miejsc, zaczął klaskać, a w loży prasowej tylko jeden człowiek wstał i klaskał – to Tyrmand. I wylali go ze Stowarzyszenia Dziennikarzy zaraz, za parę dni".

Posadę w „Przekroju" stracił natomiast za finały mistrzostw Europy w boksie. Gdy bowiem podczas walk polskich pięściarzy z sowieckimi bokserami publiczność skandowała: „Lej Iwana za Katyń", Tyrmand napisał, że wznoszono patriotyczne okrzyki…

Przygarnął go Jerzy Turowicz do „Tygodnika Powszechnego", ale był to trudny czas dla Tyrmanda. Zarabiał niewiele, a do tego groziło mu jeszcze usunięcie ze Związku Literatów Polskich, co mogło ostatecznie pogrążyć go finansowo. Zniżkowe obiady „po siedem złotych" w stołówce stowarzyszenia były bowiem wielkim przywilejem. Najwyraźniej jednak Dąbrowska lepiej zrobiła, że zachowała swoje uwagi tylko dla siebie. Ale być może gdyby Tyrmand nie napisał swojej relacji, to wówczas nie powstałby „Dziennik 1954"? Chociaż zapewne sam pisarz nie zdawał sobie wówczas sprawy z tego, że stworzył dzieło, które w genialny sposób opisywało tę ponurą epokę i losy ówczesnych literatów. ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

Maciej Pieczyński

Rząd długiej

Słaby, nieudolny i skorumpowany Szojgu stracił stołek, ale zachował zaufanie Putina. Nowym ministrem obrony został sprawny menedżer, jastrząb wśród ekonomistów. To zaś oznacza, że Kreml szykuje się do długiej wojny. Z Ukrainą i Zachodem

Po raz pierwszy od dawna Putin przeprowadził tak poważną rekonstrukcję rządu. Zmiany nie były liczne, za to bardzo znaczące. Stanowisko premiera zachował Michaił Miszustin. Z resortem obrony po 12 latach pożegnał się Siergiej Szojgu. Jego miejsce zajął dotychczasowy wicepremier do spraw gospodarczych Andriej Biełousow. Szojgu został sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, zastępując Nikołaja Patruszewa, który został doradcą prezydenta. Podobnie jak Aleksiej Diumin, dotychczasowy gubernator obwodu tulskiego. Obaj byli w różnych okresach po inwazji na Ukrainie postrzegani jako potencjalni następcy Putina.

Patruszew, były szef FSB, najbardziej rozpoznawalny „siłowik" w Rosji, uważany był za szarą eminencję Kremla. Koordynował pracę resortów siłowych, w swoich licznych wypowiedziach publicznych kreował antyzachodni, radykalny nurt państwowej ideologii. Stąd też był na świeczniku jako pierwszy jastrząb Rosji. Z jednej strony w jego przypadku zmiana nie oznacza awansu. Z drugiej strony takowy otrzymał jego syn. Dmitrij Patruszew, dotychczasowy minister rolnictwa, został wicepremierem odpowiedzialnym za politykę rolną oraz ekologię, w tym za nadzór nad zasobami naturalnymi.

Z kolei o Aleksieju Diuminie, dawnym szefie ochrony Putina, zrobiło się głośno, gdy odegrał ważną rolę jako negocjator z rebeliantami podczas buntu Prigożyna. Szojgu po odejściu z ministerstwa obrony został nie tylko sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, lecz także zastępcą prezydenta w Komisji Wojskowo-Przemysłowej, nadzorującej zadania kompleksu obronno-przemysłowego, a także szefem Federalnej Służby do spraw Współpracy Wojskowo-Technicznej.

W momencie, gdy ten numer „Do Rzeczy" idzie do druku, niejasna jest sytuacja gen. Siergieja Surowikina. Surowikin to jastrząb, przedstawiciel „partii wojny" i ulubieniec środowisk radykałów „na prawo od Putina". Dowodząc działaniami na Ukrainie, intensyfikował ostrzały infrastruktury krytycznej. Podobną, brutalną taktykę stosował także podczas wojny w Syrii, zyskując miano „Generała Armagedona". Był powiązany z Prigożynem, dlatego po buncie wagnerowców popadł w niełaskę. W ubiegły poniedziałek prowojenni blogerzy z portalu społecznościowego Telegram informowali, że Surowikin wrócił do Moskwy i spotkał się z Putinem na Kremlu. To by zaś mogło oznaczać, że „Rzeźnik z Syrii" (inny przydomek generała) wraca na szczyty wojskowej władzy. Szybko jednak otoczenie Surowikina tym doniesieniom zaprzeczyło.

Wielu zachodnich komentatorów w przeniesieniu Siergieja Szojgu na stanowisko sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej dostrzega wręcz awans. Szczególnie że fotel ten do niedawna zajmował Nikołaj Patruszew uważany za jednego z najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników prezydenta. – Zachodni dziennikarze zrobili z niego prawdziwego Lucyfera i szarą eminencję albo wręcz władcę marionetek, którego podnóżkiem jest nawet sam Putin – komentuje na swoim kanale na YouTube opozycyjny bloger Maksym Kac. – Ale, po pierwsze, my nie wiemy, do jakiego

eprasa.pl 9062e47cf9

Władimir Putin na Kremlu z członkami nowego rosyjskiego rządu FOT. KREMLIN.RU

wojny

stopnia jest to prawda. A po drugie, jeśli taki wpływ istnieje, to wynika on z osobistej znajomości z Putinem, z mentalnego z nim pokrewieństwa, a w żadnym wypadku ze stanowiska sekretarza Rady Bezpieczeństwa – dodaje. Bloger przekonuje, że wystarczy porównać oba urzędy, aby zrozumieć, że Szojgu został zdegradowany. Urzędnik jest wpływowy, jeśli ma władzę nad ludźmi, pieniądze i możliwość podejmowania ważnych decyzji. We wszystkich tych trzech aspektach ministerstwo obrony bije na głowę Radę Bezpieczeństwa. Jest bowiem najbogatszym ministerstwem. Dysponuje ogromnym, tajnym, przez nikogo niekontrolowanym budżetem. A przez to jest korupcyjnym rajem dla tych, którzy chcą się wzbogacić na machinacjach finansowych. Kadry podległe ministrowi obrony to ponad półtora miliona osób, których los zależeć może od jednej decyzji urzędnika. Od jednej decyzji ministra obrony może też zależeć los wszystkich Rosjan w wieku poborowym. W porównaniu z tymi prerogatywami władza sekretarza Rady Bezpieczeństwa jest znikoma. Podlegają mu tylko jego sekretarki, doradcy i kierowcy.

– Przed epoką Patruszewa nikt nie znał sekretarza Rady Bezpieczeństwa, która była czysto konsultacyjnym organem – mówi Aleksiej Wieniediktow, były wieloletni redaktor naczelny „Echa Moskwy", a obecnie dziennikarz internetowego projektu „Żywoj gwoździ" („Żywy gwóźdź"). Oczywiście obserwatorzy sytuacji na Wschodzie pamiętają, że o uznaniu „niepodległości" donbaskich republik w przededniu inwazji formalnie decydowała właśnie RB. Tyle że najprawdopodobniej Putin wcześniej zmusił każdego jej członka z osobna, aby za taką decyzją publicznie się opowiedział. Ponadto Rada składa się z szefów różnych resortów i służb. O ich znaczeniu świadczą urzędy, na których czele stoją, a nie Rada, w której zasiadają okazjonalnie.

KONIEC SZOJGU?

Niektórzy rosyjscy opozycyjni komentatorzy uważają raczej, że dymisja Szojgu to koniec jego kariery politycznej. Na stanowisku sekretarza Rady Bezpieczeństwa nie będzie miał żadnego wpływu na sytuację. – Szojgu obejmował resort obrony 12 lat temu, w czasie pokoju, gdy Putin nie potrzebował tam profesjonalisty, tylko człowieka zaufanego, lojalnego. To, co się dzieje w samym ministerstwie, mało go obchodziło. Ale teraz obchodzi, bo prowadzi wojnę – komentuje Fiszman. – W Radzie Bezpieczeństwa to nie stanowisko zdobi człowieka, tylko człowiek zdobi stanowisko.

– Szojgu nie chleje tak jak Miedwiediew, nie ma też ambicji blogera. Dlatego wydaje się, że już nigdy więcej o nim nie usłyszymy – twierdzi Kac. Nieco inne zdanie na ten temat ma Wieniediktow. Szojgu będzie bowiem nie tylko sekretarzem fasadowej Rady Bezpieczeństwa, lecz także zastępcą prezydenta w Komisji Wojskowo-Przemysłowej oraz koordynatorem Federalnej Służby do spraw Współpracy Wojskowo-Technicznej. To zaś oznacza, że nie popadł w niełaskę. – Putin uznał, że Szojgu nie radzi sobie jako minister obrony, ale nie stracił do niego zaufania – uważa Wieniediktow.

Dziennikarz telewizji Dożdź Michaił Fiszman przyznaje, że nie wierzył w dymisję Szojgu. Przekonuje przy tym, że nikt w to nie wierzył. Nawet kremlowscy propagandyści, którzy zdawali się tym krokiem zaskoczeni i nie potrafili przekonująco sytuacji wyjaśnić. Nawet areszt zastępcy Szojgu, Timura Iwanowa, nie wydawał się prologiem do usunięcia ze stanowiska wieloletniego szefa kluczowego dla wojny resortu. A jednak takim prologiem był. Zdaniem Fiszmana odsunięcie od władzy ministra i jego zastępcy pokazuje, że Putin chce uwolnić sferę wojskową od niejasnych powiązań biznesowych, które przez 12 lat swojego urzędowania stworzył Szojgu. Korupcja przeszkadza bowiem w efektywnym prowadzeniu wojny. – Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa. Pod takim hasłem Szojgu został zastąpiony

eprasa.pl 9062e47cf9

przez ekonomistę Biełousowa – podsumowuje dziennikarz.

Wspomniany Timur Iwanow został pod koniec kwietnia aresztowany pod zarzutem przyjmowania łapówek. Niektóre źródła spekulują, że mogło chodzić nie tylko o korupcję, lecz także o zdradę państwa – współpracę z zachodnimi służbami. I to właśnie te podejrzenia miały przekonać Putina, że trzeba uważnie przyjrzeć się ministerstwu obrony. To nie koniec skandali wokół resortu. Kilka dni po dymisji Szojgu kolejny wysoki urzędnik ministerstwa obrony został aresztowany, przynajmniej oficjalnie, za korupcję. Tym razem chodzi o szefa działu kadr, gen. Jurija Kuzniecowa. Wszystko wskazuje na to, że Biełousow czyści swój nowy urząd z łapówkarzy.

Również Aleksiej Wieniediktow uważa, że nikt nie mógł się spodziewać takich, a nie innych zmian kadrowych. Nawet ci, którzy oczekiwali dymisji Szojgu, prognozowali raczej, że zastąpi go gubernator obwodu tulskiego Aleksiej Diumin. Na antenie „Żywego gwoździa" doświadczony dziennikarz próbował zrekonstruować sposób myślenia Putina. Stwierdził, że Biełousow musi cieszyć się ogromnym zaufaniem prezydenta, skoro dostał stanowisko, które wiąże się z dostępem do „walizki nuklearnej", czyli aparatury potrzebnej do użycia broni jądrowej. Wojna z Ukrainą wchodzi w etap, w którym szalę zwycięstwa przechylać będzie gospodarka, a nie tylko same działania militarne. Konieczne jest więc uzyskanie przewagi w fabrykach zbrojeniowych i na rynkach międzynarodowych. I właśnie po to nowym ministrem obrony został sprawny ekonomista. Biełousow, wspólnie z premierem Michaiłem Miszustinem oraz szefową Banku Centralnego Elwirą Nabiulliną stworzyli triumwirat rządzący gospodarką i skutecznie przeciwstawiający się zachodnim sankcjom oraz ich skutkom. Dzięki nim Rosja nie zbankrutowała przez dwa lata wojny i izolacji. Biełousow ma więc za zadanie rozprawić się z korupcją i zrobić porządek z armijnym budżetem. Jako sumienny, sprawny menedżer może tego dokonać.

Biełousow nie tylko nigdy nie był związany z armią, lecz także nawet nie przeszedł służby wojskowej. Podobnie zresztą jak jego poprzednik. Tyle że Szojgu, zanim został ministrem obrony, przez wiele lat stał na czele ministerstwa sytuacji nadzwyczajnych, które ma charakter paramilitarny. Po pierwsze jednak Putin, podobnie jak niegdyś sowieccy przywódcy, boi się silnych dowódców wojskowych. Zdaje sobie sprawę z tego, że armia ma potencjalnie największe możliwości buntu. Wystarczył marsz na Moskwę stosunkowo niewielkiego oddziału Prigożyna, żeby na kilka godzin zachwiać sytuacją w kraju oraz, co gorsza, autorytetem władcy Kremla. Dlatego Putin nawet woli, żeby minister obrony był w armii niepopularny i nie był w stanie pociągnąć jej za sobą w ewentualnej walce o władzę. Niepopularny nie musi jednak oznaczać: skorumpowany i nieudolny. Szczególnie w czasie wojny, na której prowadzenie potrzebne są pieniądze w budżecie państwa, a nie w lewych kieszeniach urzędników.

„Partia wojny" cieszy się z zamiany Szojgu na może mało znanego, za to cieszącego się opinią „państwowca" Biełousowa

Związani z Kremlem ekonomiści zazwyczaj cieszyli się zasłużoną opinią technokratów, którzy albo obojętnie, albo sceptycznie odnoszą się do wojennych awantur, ponieważ z natury rzeczy interesuje ich zarabianie pieniędzy, a nie narażanie się na ich utratę poprzez sankcje czy wydatki na zbrojenia. Biełousow na tym tle się wyróżnia. To technokrata i jastrząb w jednej osobie. Jednoznacznie poparł aneksję Krymu w 2014 r. oraz inwazję na Ukrainę w 2022.

„CZŁOWIEK PUTINA"

Biełousow ma bogate doświadczenie w polityce gospodarczej. Od lat 90. doradzał aż czterem premierom Rosji. Przez 20 lat pracował w Instytucie Gospodarki i Prognozowania Postępu Naukowo-Technicznego Akademii Nauk ZSRR, przekształconym w Instytut Prognoz Gospodarki Rosyjskiej Akademii Nauk. Następnie był wiceministrem gospodarki (w latach 2006–2008), a gdy w latach 2008–2012 premierem Rosji był Putin, kierował w kancelarii rządu departamentem gospodarki i finansów. Od tego czasu zyskał opinię „człowieka Putina". Od 2020 r. był wicepremierem odpowiedzialnym za rozwój gospodarczy, regulowanie rynków finansowych przez państwo, projekty infrastrukturalne. Poza tym jest zwolennikiem interwencjonizmu państwowego i raczej przeciwnikiem własności prywatnej. – Wszystkie jego inicjatywy ostatnich lat nakierowane były na odebranie prywatnym przedsiębiorcom nadwyżek i przekierowanie ich na potrzeby państwa. Taka też będzie logika jego pracy jako ministra obrony: zabierać jednym i dawać armii – komentuje Fiszman. Zajmował się poszukiwaniem i przejmowaniem od eksporterów nadwyżek dochodów. Jego poglądy na gospodarkę określa się mianem kapitalizmu państwowego.

„Partia wojny" cieszy się z zamiany niepopularnego Szojgu na może mało znanego, za to cieszącego się opinią „państwowca" Biełousowa. Związany z imperialną, nacjonalistyczną („na prawo od Putina") telewizją Tsargrad politolog Jurij Prońko przyznaje, że jest rozczarowany rekonstrukcją rządu. Biełousowa chwali, dodaje przy tym jednak, że spodziewał się, iż zmiany będą szerzej zakrojone. Miał nadzieję na pozbawienie stanowisk kilku jeszcze nieudolnych i skorumpowanych urzędników. Putina przy tym nie krytykuje. Zgodnie z rosyjską tradycją narzeka na złych bojarów. Z kolei publicysta państwowej agencji RIA Nowosti Piotr Akopow nazywa Biełousowa „ministrem obrony gospodarczej". „Jest przeciwnikiem oligarchii jako takiej. Zarówno prozachodniej, jak i »patriotycznej«" – pisze Akopow. Biełousowa postrzega jako zwolennika silnego państwa, które reguluje gospodarkę, ale niekoniecznie nacjonalizuje wszystko, co się da. Nowego ministra obrony chwali jako „absolutnie nieskorumpowanego", a także prawosławnego, głęboko wierzącego patriotę Rosji.

Sprawny ekonomista o poglądach prowojennych z jednej strony i interwencjonistycznych z drugiej na czele armii to znak, że Putin szykuje się na długą wojnę. Wojnę na wyniszczenie. Wojnę, w której gospodarcze zaplecze frontu będzie grać równie ważną – o ile nie ważniejszą – rolę niż sam front.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

FOT. ROBERT PRANGE/GETTY IMAGES

OSTATNIE POKOLENIE NIE ZNA FAIR PLAY

W meczu 1/8 tenisowego turnieju WTA w Rzymie mierzyły się ze sobą Madison Keys i Sorana Cristea. Ich zmagania o awans do ćwierćfinału zostały przerwane. Na kort wbiegł aktywista klimatyczny w pomarańczowej kamizelce i rozsypał konfetti. Inni aktywiści Ostatniego Pokolenia w tym czasie próbowali się przykleić do siedzeń na trybunach. Sędzia musiał przerwać mecz, by służby porządkowe miały czas na usunięcie z obiektu protestującej młodzieży.

NA IZRAEL BUCZEĆ NIE MOŻNA

Podczas konkursu Eurowizji publiczności niezbyt do smaku przypadło to, że do finału awansowała reprezentantka Izraela – czyli kraju prowadzącego wojnę z Palestyńczykami (wcześniej przeciw dopuszczeniu tego kraju do konkursu protestowali oficjalnie fińscy artyści i Szwedzi). Występ 20-letniej artystki był przez publiczność zagłuszany buczeniem, ale telewidzowie na świecie tego nie usłyszeli. Organizator konkursu zagłuszył gwizdy publiczności, podkładając w to miejsce nagrania oklasków.

MMA W GRUZIŃSKIM PARLAMENCIE

W Gruzji procedowana jest ustawa o agentach zagranicznych. Zakłada m.in., że osoby prawne i media otrzymujące ponad 20 proc. środków z zagranicy będą podlegać obowiązkowej rejestracji i będą musiały obowiązkowo składać sprawozdania; trafią też do specjalnego rejestru agentów obcego wpływu. Podczas trzeciego czytania tej ustawy w parlamencie posłowie tak się sprzeczali, że zaczęli się szarpać, a w końcu okładać pięściami. Ustawę ostatecznie przegłosowano.

TRUDNA PRACA W WATYKANIE

Pracownicy Muzeów Watykańskich od lat się skarżyli na złe warunki pracy i niskie płace. Chodzi o zbyt nisko opłacane nadgodziny oraz niewystarczające przepisy BHP. Czterdzieści dziewięć osób podpisało w tej sprawie petycję. Nie wykluczają, że dalszym krokiem będzie skierowanie sprawy do sądu watykańskiego.

PSY JAKO PANDY

Chińskie zoo w Taizhou w prowincji Jiangsu wpadło na pomysł, jak przyciągnąć zwiedzających. Pracownicy ogrodu pofarbowali szczeniaki psów rasy chow chow tak, że przypominały z daleka pandy. Oszustwo wyszło na jaw, a w sieci spadła na zoo fala krytyki. Ogród bronił się tym, że atrakcję reklamował hasłem „Psy pandy", czyli dawał do zrozumienia, że to tylko zabawa. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Koniec cudu nad Wisłą?

Pracodawcy w Polsce już przygotowują się do kolejnej w tym roku podwyżki płacy minimalnej. Po tym, jak 1 stycznia wzrosła ona do 4242 zł, już 1 lipca będzie musiała poszybować do 4300 zł.

Kłopot w tym, że płaca minimalna wzrosła o niemal 80 proc. w ciągu zaledwie pięciu lat, w tym o 40 proc. w ciągu ostatnich dwóch lat. Koszty produkcji w Polsce wzrosły tym samym na tyle istotnie, że wielu inwestorów poważnie rozważa, czy nie przenieść produkcji do innych krajów (np. do Bułgarii, Rumunii, Maroka, Indii oraz różnych krajów azjatyckich).

Część firm już ogłosiła decyzje o ograniczeniu działalności w Polsce. Na przykład Michelin Polska S.A. likwiduje w Olsztynie zakład opon ciężarowych i przenosi ten segment do Rumunii. Powód? Wysokie koszty produkcji. Nokia ogłosiła w kwietniu, że w ramach restrukturyzacji może zwolnić w Polsce nawet 800 osób. Do czerwca Levi Strauss ma wygasić produkcję w zakładzie w Płocku (producent dżinsów działał na Mazowszu ponad 30 lat). Powód? Wymagająca sytuacja na rynku pracy i stale rosnące koszty produkcji. Zwolnienia dotknęły też Krakowa, gdzie tylko w pierwszym kwartale zgłoszono do zwolnień grupowych tyle osób, ile przez cały poprzedni rok. Przykłady można mnożyć.

Poza ucieczką zagranicznych inwestorów szybko rosnąca płaca minimalna przyczynia się także do wzrostu inflacji, która najmocniej dotyka najmniej zarabiających... Dla polityków i związkowców to żaden problem (w końcu to nie oni płacą), dlatego płaca minimalna wzrośnie również w roku 2025. Wzrośnie także bezrobocie. Na razie nieznacznie, ale to ważny sygnał ostrzegawczy.

eprasa.pl 9062e47cf9

Boska misja Judejczyków

Młody Palestyńczyk zostaje ranny podczas interwencji sił izraelskich w wiosce al-Mazra'a ash-Sharqiya, kwiecień 2024 r. FOT. I. RIMAWI/ABACA/PAP

Witold Repetowicz z Ramallah

Życie w palestyńskim Ramallah toczy się pozornie normalnie. Nie opuszczając miasta, można odnieść wrażenie, że Palestyna jest już niepodległa i panuje pokój. Pozory jednak mylą, a za uśmiechami tutejszych mieszkańców kryją się głęboka nieufność, pesymizm i strach. O swoją przyszłość coraz bardziej obawiają się również co rozsądniejsi Izraelczycy. A nad wszystkim unosi się smród fundamentalizmu obu stron coraz krwawszego konfliktu

W przeciwieństwie do wielu innych miast Ziemi Świętej w Ramallah nie ma zbyt wielu atrakcji turystycznych, a w szczególności miejsc biblijnych. I być może właśnie dlatego jest tu tak spokojnie i to mimo że mieszkańcy nie są religijnym monolitem. Mimo że historia osadnictwa w tym miejscu sięga starożytności, to niewielkie stare miasto, choć ma swój urok, składa się z budynków pochodzących z XIX w. Jednym z nich jest najstarsza świątynia w tym mieście: greckoprawosławny kościół Przemienienia Pańskiego, wybudowany w 1852 r. W środku miła starsza pani stwierdza, że sytuacja jest bardzo zła i nic nie wskazuje, by mogło być lepiej. Pytana o nadzieję, dodaje, że Bóg jest nadzieją, a na jej twarzy pojawia się uśmiech. Miejscowi są mili, ale nieufni. Trudno się dziwić. Izraelczyków tu nie widać, ale lepiej być ostrożnym, jeśli chce się dostać przepustkę na wyjazd z Zachodniego Brzegu. Nierozważne słowa mogą skończyć się wpisaniem na czarną listę, a takie uziemienie to dla wielu prawdziwa katastrofa. Poza tym wraki samochodów przy wjeździe do miasta przypominają o tym, że w każdej chwili izraelskie siły mogą

eprasa.pl 9062e47cf9

wtargnąć do miasta. Palestyńczycy, aby je spowolnić, ustawiają wówczas barykady z tych wraków. Rajdy na okoliczne wioski i miasteczka są codziennością, podobnie jak to, że niemal codziennie ktoś ginie, przeważnie nastolatki.

Ramallah od początku swego istnienia aż do powstania Izraela było małą miejscowością zdominowaną przez chrześcijan. Po „nakbie", czyli ucieczce Palestyńczyków z ziem zajętych przez Izrael w 1948 r., Ramallah, które znalazło się wówczas w granicach Jordanii, rozrosło się, a chrześcijanie stali się w nim mniejszością. Dziś jest tu ich ok. 10 tys., czyli jedna czwarta populacji. Zgodnie z miejscową tradycją burmistrzem jest jednak chrześcijanin, a oprócz kościoła greckoprawosławnego są tu również melchici, katolicy, Koptowie oraz protestanci i nie ma żadnych międzywyznaniowych problemów. W ogóle miasto jest bardzo bezpieczne, podobnie jak reszta palestyńskiej strefy A, czyli terenów, które po porozumieniach w Oslo zawartych na początku lat 90. znalazły się pod bezpośrednią administracją palestyńskiego rządu. Ramallah, które jest oddalone zaledwie o ok. 15 km od Jerozolimy, którą za swoją stolicę uważają zarówno Palestyńczycy, jak i Izraelczycy, stało się wówczas siedzibą władz Autonomii Palestyńskiej.

Miasto jest czyste, z tętniącym życiem centrum, w którym nie brak eleganckich sklepów, domów handlowych oraz dobrych i w miarę tanich restauracji. Na starym mieście życie toczy się nieco wolniej, ale zwłaszcza pod wieczór tutejsze kawiarenki ożywają, wypełniając się starszymi mężczyznami grającymi w karty i popijającymi arabską kawę lub herbatę oraz palącymi sziszę. Młodzi ludzie, obojga płci, wolą spotykać się w lokalach o bardziej „zachodnim" wyglądzie. Największą swoją atrakcję Ramallah zawdzięcza jednak historii najnowszej. Jest to sąsiadujące z siedzibą palestyńskiego prezydenta Mahmuda Abbasa mauzoleum jego poprzednika, Jasera Arafata, który przez kilka dekad przewodził walce Palestyńczyków. Obok mauzoleum znajduje się też muzeum, w którym opowiedziana jest historia konfliktu, i to – o dziwo – bez nachalnej propagandy. Przełomowym momentem jest oczywiście historyczne porozumienie zawarte w Oslo między Arafatem a ówczesnym premierem Izraela Icchakiem Rabinem. Miało ono otworzyć drogę do niepodległości państwa palestyńskiego oraz pokojowej koegzystencji Izraela i Palestyny. Tak się jednak nie stało, bo w 1995 r. Rabin został zamordowany przez żydowskiego nacjonalistę Yigala Amira. Rok wcześniej inny żydowski fanatyk Baruch Goldstein wtargnął do jaskini praojców w Hebronie i zamordował 29 modlących się tam muzułmanów, raniąc jednocześnie 125.

WZMOCNIENI FUNDAMENTALIŚCI

Rok po zabójstwie Rabina do władzy doszedł 47-letni wówczas Beniamin Netanjahu, znany również jako Bibi, który nigdy nie miał zamiaru kontynuować procesu pokojowego i dążył do skompromitowania władz palestyńskich. Celem tej polityki było przekonanie świata, a zwłaszcza USA i Europy, że nie są one partnerem do rozmów i w związku z tym stworzenie niepodległej Palestyny, w ramach realizacji porozumień pokojowych, jest niemożliwe. Bibi zdominował izraelską politykę po 1996 r., rządząc, z przerwami, łącznie ponad 16 lat. I można powiedzieć, że osiągnął sukces: proces pokojowy się załamał, Palestyna nie jest niepodległa, a po obu stronach wzmocnieni zostali fundamentaliści: Hamas oraz żydowscy ekstremiści marzący o Izraelu sięgającym od Eufratu do Egiptu. Tak bowiem jest zapisane w proroctwie Izajasza, a wszak Bóg nie może się mylić. Na początek natomiast Izrael, według nich, musi odzyskać „Judeę i Samarię".

Na środku Pustyni Judzkiej wyrasta blokowisko o populacji porównywalnej z Ramallah, tyle że historia tej osady liczy zaledwie niespełna 50 lat. To Ma'ale Adummim, czyli po polsku Czerwone Stoki, założone osiem lat po wojnie sześciodniowej 1967 r. Izrael zajął wówczas m.in. cały Zachodni Brzeg, czyli według nomenklatury żydowskiej ową mityczną Judeę i Samarię. Mityczną, bo zgodność biblijnych opisów dziejów żydowskich z historią budzi wiele wątpliwości. Izraelici, przed niewolą babilońską, mieli oczywiście jakieś państewka, ale brak jakichkolwiek potwierdzeń, że były one tak potężne, jak opisuje to Biblia. Istotą fundamentalizmu jest jednak brak oddzielenia tego, co świeckie, od tego, co religijne. Zatem skoro z Biblii wynika, że Bóg dał Żydom Judeę i Samarię, to żadne prawo międzynarodowe, granice państwowe czy akty własności nie mogą być od tego ważniejsze. Dał, i to na zawsze, więc zgodnie z tą logiką Żydzi mają prawo się tam osiedlić i nakazać „nielegalnie" mieszkającej tam rdzennej ludności opuszczenie tych terenów. Nieważne, że prawdopodobnie Palestyńczycy żyli tam już w czasach biblijnych, a wielu Żydów nie pochodzi od starożytnych Izraelitów, tylko od innych ludów, które na pewnym etapie przyjęły judaizm. Trudno bowiem dać wiarę tezie, że błękitnoocy blondyni, których łatwo spotkać wśród Żydów aszkenazyjskich, oraz czarni Żydzi z Etiopii mają tych samych przodków. Nieważne również jest to, że prawo międzynarodowe zakazuje dokonywania zmian demograficznych na terenach okupowanych, a zatem osiedla żydowskie na Zachodnim Brzegu są nielegalne, co potwierdzają też rezolucje ONZ.

Skoro Bóg dał Żydom Judeę i Samarię, to żadne prawo międzynarodowe nie może być od tego ważniejsze

Kilkaset metrów od Ma'ale Adummim znajduje się elegancki ryneczek otoczony eklektycznymi kamienicami o fasadach łączących gotyk z orientalizmem i innymi stylami. Na placu ustawione są kawiarniane stoliczki i krzesełka, a nad nimi rozciąga się zawsze błękitne niebo z niewielkimi obłoczkami. Można by było pomyśleć, że jest się w jakimiś sympatycznym włoskim miasteczku, zwłaszcza że można tu zamówić pizzę i wyborne wino. Problem w tym, że wszystko to jest sztuczne, łącznie z niebem. To żydowska „wioska potiomkinowska" stworzona wewnątrz surrealistycznie gigantycznego domu handlowego o nazwie D-Center, sąsiadującego z Ma'ale Adummim. Po alejkach, wśród eleganckich i niezwykle drogich sklepów, przechadzają się ortodoksyjni Żydzi w charakterystycznych czarnych chałatach i kapeluszach, spod których wystają pejsy. Ich przeważnie jasna karnacja wskazuje na to, że

eprasa.pl 9062e47cf9

większość z nich przybyła z Europy. Zapewne niejeden z budowniczych „Czerwonych Stoków" pochodził z Polski. Fizjonomicznie kontrastują oni zatem z obsługą D-Center: sprzątaczami, kelnerami itp., którzy są Palestyńczykami.

Na „ryneczku pod sztucznym niebem" jest też podium ustawione dla lidera ekstremistów żydowskich Itamara Ben-Gewira. Przez lata uznawany był za margines, a nad jego biurkiem wisiało zdjęcie Barucha Goldsteina, też zresztą osadnika na Zachodnim Brzegu. Ale teraz jest ministrem bezpieczeństwa narodowego w rządzie Netanjahu, a w jego kompetencjach znajduje się nadzór nad izraelskimi siłami bezpieczeństwa na Zachodnim Brzegu. Dlatego są one coraz bardziej brutalne i nie ma dnia, by kogoś nie postrzeliły w okolicach Ramallah, Betlejem, nie mówiąc już o Hebronie, Dżeninie czy Nablusie. Od 7 października, tj. ataku Hamasu na południowy Izrael, na Zachodnim Brzegu zginęło już ok. 500 Palestyńczyków. Chronią też bojówki osadników terroryzujące Palestyńczyków, które, nawet zdaniem niektórych Izraelczyków, nie różnią się niczym od Hamasu. Ben-Gewir chce jednak jeszcze więcej. Ma plan stworzenia własnej armii osadniczej, którą zbroić miałby izraelski rząd. Chce wymusić zgodę na to od Netanjahu, choć wojsko izraelskie jest temu przeciwne.

Żydzi mieszkający w Ma'ale Adummim stworzyli sobie swoiste getto na pustyni. Po przejechaniu pustkowia najbliższe tereny zamieszkane są palestyńskie i do wielu z nich nie mają oni wstępu. Dotyczy to w szczególności strefy A, do której należy m.in. Jerycho. To pierwsze miasto, które, według Biblii, starożytni Izraelici zdobyli, wchodząc do Kanaanu pod wodzą Jozuego. Dziś sprawia ono wrażenie spokojnego arabskiego miasteczka, w którym nie ma śladu Izraela. No może z wyjątkiem szekli jako obowiązującej waluty, ale i tak w najmniejszej nawet knajpeczce można też płacić bezgotówkowo. Do niedawna jednym z ważniejszych źródeł dochodu mieszkańców Jerycha była turystyka. Miasto znajduje się bowiem w okolicach Morza Martwego i wycieczki udające się tam kierowały się następnie do niego. COVID-19 doprowadził jednak do wstrzymania ruchu turystycznego, a po zakończeniu obostrzeń spowodowanych pandemią Izrael utrzymał blokadę. Morze Martwe znajduje się bowiem po izraelskiej stronie, a zatem wycieczki jadące później do Jerycha musiały mieć autobus z palestyńskim kierowcą, a to wymagało specjalnych zgód ze strony Izraela, który je wstrzymał.

Mimo całej tej opresji Palestyńczycy całkiem nieźle sobie radzą i nie widać u nich biedy

WYPĘDZENIE PALESTYŃCZYKÓW

To tylko jedna z wielu szykan spotykających Palestyńczyków ze strony władz Izraela. Nasiliły się one, gdy do rządu weszli religijni syjoniści z Itamarem Ben-Gewirem i Bezalelem Smotriczem na czele. Otrzymali oni upragniony przez siebie nadzór nad siłami izraelskimi na Zachodnim Brzegu. Ponadto Smotricz, jako minister finansów, kontroluje również przepływ finansów należnych władzom Palestyny (nie są to subsydia, lecz pieniądze palestyńskie, pochodzące z płaconych przez Palestyńczyków i ich firmy ceł i podatków). Kilka miesięcy temu zablokował on jednak transfery do Ramallah, co ma całkowicie zdestabilizować Zachodni Brzeg i zradykalizować mieszkających tam Palestyńczyków. Sprowokowanie eskalacji przemocy byłoby bowiem argumentem za stworzeniem armii osadniczej. Smotricz i Ben-Gewir nie ukrywają przy tym, że ich planem jest wypędzenie wszystkich Palestyńczyków z „Judei i Samarii" i chcą to osiągnąć wszelkimi dostępnymi metodami, od duszenia finansowego poprzez fizyczny terror do masowych deportacji. Według nich Palestyńczycy mają swoje państwo i jest nim Jordania, więc tam powinni mieszkać, a tereny do rzeki Jordan należą się wyłącznie Żydom.

Niektórzy twierdzą, że Ben-Gewir razem ze Smotriczem tworzą, w oparciu o osadników, nową żydowską tożsamość: Judejczyków. Jest to nawiązanie do biblijnego podziału Izraela na państwo północne (Izrael) i południowe (Judea). To pierwsze miało upaść znacznie szybciej, gdyż uległo obcym wpływom i popadło w bałwochwalstwo. W percepcji religijnych syjonistów taka sama zgnilizna i kosmopolityzm zagnieździły się obecnie w Tel Awiwie, a tamtejsi „zdrajcy" nie są dostatecznie twardzi wobec Arabów. Tymczasem osadnicy to wojownicy wypełniający wolę boską.

W praktyce wygląda to tak, że wiceburmistrz Jerozolimy Arieh King zachowuje się jak herszt bandy i ściąga autobusami nieletnich, by atakowali dyplomatów, a w szczególności napadali i podpalali biura ONZ. Później nikt nie ponosi za to odpowiedzialności, bo to przecież dzieci. Jeżeli jednak Ben-Gewir dostanie swoją armię „Judei", to w oparciu o osadników, których jest już ok. 800 tys., będzie mógł storpedować każde porozumienie pokojowe. Wcieli się wówczas w Jozuego i ruszy na Jerycho, a następnie inne miasta palestyńskie, realizując (w swoim mniemaniu) boską misję.

Jednak mimo całej tej opresji Palestyńczycy całkiem nieźle sobie radzą i nie widać u nich biedy. Widok eleganckich domów i luksusowych samochodów nie jest rzadkością. To bowiem urodzeni kupcy. Nawiasem mówiąc, w ich sklepach towary pochodzące z Polski też nie są rzadkością. Tymczasem „Judejczycy" nie zdają sobie sprawy, jak bardzo Izrael zależy od zagranicznego wsparcia, a ponieważ już zaczął się odpływ kapitału, to sytuacja ekonomiczna Izraela staje się coraz gorsza. Żydzi przegrywają też z Palestyńczykami rywalizację demograficzną i dlatego w ich interesie powinno być dogadanie się, a nie marzenia o terytorialnej ekspansji. Zwłaszcza że Izrael staje się coraz bardziej państwem z kartonu. Z jednej strony wybudował ogromny mur oddzielający go od Palestyny, a Palestyńczykom, którzy pracują po stronie izraelskiej, każe przechodzić poniżającą procedurę kontrolną w ogrodzonych kolejkach. Z drugiej jednak przy niektórych przejściach są „dziury w płocie", przez które przechodzą palestyńscy pracownicy. Pracodawca dogaduje się z izraelską policją, kto może tak przejść, a wszystko po to, by uniknąć opłat za pozwolenie. A w szabas to już w ogóle nikomu niczego sprawdzać się nie chce.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

Z prof. Miguelem Ayuso Torresem, hiszpańskim prawnikiem i filozofem
rozmawia Olivier Bault

Dla Hiszpanii nie ma już ratunku

OLIVIER BAULT: Nazywają pana karlistą. Czym jest karlizm?

MIGUEL AYUSO TORRES: Karlizm jest politycznym urzeczywistnieniem ciągłości monarchii katolickiej, czyli monarchii hiszpańskiej. W XIX w. rewolucja liberalna dotarła do Hiszpanii w formie dynastycznej uzurpacji w 1833 r., podczas gdy obrońcy starego porządku opowiedzieli się za prawowitym królem Donem Carlosem. Od tego czasu karlizm był bastionem hiszpańskiej tradycji politycznej przeciwko liberalizmowi, socjalizmowi i faszyzmowi.

Czy karlizm jest prądem nadal obecnym w kręgach hiszpańskiej prawicy?

Podział na prawicę i lewicę jest dalece niewystarczający dla zrozumienia politycznej rzeczywistości. W każdym razie bez karlizmu niemożliwe jest zrozumienie hiszpańskiej historii XIX w., wieku naznaczonego trzema wojnami i niezliczonymi zamieszkami, w którym funkcjonowała gęsta sieć gazet i czasopism, a w liberalnym parlamencie karliści mieli nawet znaczącą reprezentację. W XX w. wpływ karlizmu był odczuwalny w czasach II Republiki (1931–1936), ponieważ trudno sobie wyobrazić powstanie narodowe z 18 lipca 1936 r. bez udziału milicji karlistowskich. Gdy Falanga była jeszcze małą grupą, Wspólnota Tradycjonalistyczna była już solidną organizacją. Po wojnie Franco pozbawił ją wsparcia swoich kół, czyli majątku i środków komunikacji, i rozpętał prześladowania, które czasem były bezlitosne, choć w niektórych przypadkach ta bezwzględność pomieszana była z pewną dozą tolerancji. Można powiedzieć, że do lat 60. XX w. karlizm był ważną organizacją. To zmiany religijne wprowadzone przez Sobór Watykański II i wewnętrzny problem dynastyczny, kiedy Franco wybrał na swojego następcę przedstawiciela dynastii liberalnej (Juana Carlosa) i wywołał nieprzemyślaną reakcję Carlosa Hugo de Borbón, spowodowały jej upadek. Po śmierci Franco organizacja była podzielona i osłabiona. Nie należy jednak zapominać, że sama Falanga, która wyrosła w sposób nieorganiczny i oportunistyczny w gorączce reżimu Franco, nie radziła sobie lepiej. Polityka uprawiana na prawicy po śmierci generała była niczym innym jak liberalnym konserwatyzmem w jego różnych odmianach. Dziś karlizm, choć cieszy się znacznym prestiżem intelektualnym i posiada swoich reprezentantów w niektórych krajach Europy i w całej Ameryce Łacińskiej, nie ma żadnego znaczenia wyborczego.

Twierdzi pan, że karlizm to nurt tradycjonalistyczny, a nie konserwatywny. Jaka jest różnica między tymi dwoma podejściami do rzeczywistości?

Konserwatyzm jest gałęzią liberalizmu. Partie liberalne, które w pewnym momencie XIX w. nazywano umiarkowanymi – w przeciwieństwie do tych, które zbyt szybko chciały zniszczyć pozostałości starego porządku i nazywane były postępowymi – nie miały za zadanie zapobiec temu procesowi ani go spowolnić, ale raczej dokonać jego konsolidacji. Po osiągnięciu stabilizacji – jako że konsolidacja liberalizmu w ścisłym znaczeniu tego pojęcia jest niemożliwa, ponieważ jego triumf musi zbiegać się z jego porażką, pod kontrolą najbardziej spójnych rewolucjonistów, którzy jedynie niszczą – zawsze znajdowały się grupy, które koncentrowały swoje działania na zachowaniu... rewolucji.

Dziś w rzeczywistości wielu z tych, którzy uważają się za tradycjonalistów – zarówno religijnych, jak i politycznych – to w rzeczywistości po prostu konserwatyści. Tradycja polega na skumulowanym, ale moralnie oczyszczonym postępie socjologicznym. Liberalizm jest antytradycyjny, ale w niektórych swoich gałęziach może być konserwatywny.

Jaki jest pana stosunek do partii politycznej takiej jak Vox, jeśli chodzi o wyznawane przez nią idee?

Vox jest odłamem Partii Ludowej (PP). Ta ostatnia powstała w wyniku ewolucji Alianza Popular, czyli w wyniku współpracy grupy znanych politycznych działaczy frankistowskich. Była to formacja konserwatywna, naturalnie liberalna, z elementami chrześcijańsko-demokratycznymi, która ewoluowała w kierunku reformistycznego centryzmu. Nietrudno zrozumieć, że może istnieć w takiej formacji bardziej konserwatywna frakcja niezadowolona z tego rodzaju ewolucji. Ale u korzeni partii Vox leżą nie tyle kwestie doktrynalne, ile personalne. Abascal był liderem PP w Kraju Basków, przy czym toczył tam na łonie samej partii pewien spór w kwestii polityki antyterrorystycznej. Został przyjęty przez Esperanzę Aguirre, ówczesną przewodniczącą Wspólnoty Madrytu i przedstawicielkę najbardziej liberalnej gospodarczo i społecznie frakcji w partii. Dopiero gdy odeszła ona z polityki, Abascal został zmuszony do znalezienia dla siebie innego politycznego miejsca. Kolejne próby, które podejmował, przez pewien czas były nieudane: ani formacja katolicka, ani tożsamościowa nie

eprasa.pl 9062e47cf9

odniosły sukcesu. Dopiero wydarzenia w Katalonii w 2017 r., wraz z pewnymi (nieoczekiwanymi i całkowicie przypadkowymi) sprzyjającymi okolicznościami wyborczymi, zdołały otworzyć przestrzeń dla jego działań. To był moment, kiedy niemal zniknął ze sceny politycznej.

Vox jest zatem satelitą PP, którą słusznie oskarża o porzucenie niektórych swoich zasad założycielskich. Ale jest to partia liberalno-konserwatywna, posługująca się na zewnątrz ekstremistyczną retoryką, co sprawiło, że uchodzi za partię skrajnie prawicową. Jej pojawienie się służyło jedynie wchłonięciu wszelkich zdrowych odruchów w tradycyjnym hiszpańskim społeczeństwie i doprowadzeniu go do liberalizmu. Kompletna katastrofa.

Vox jest jedyną konserwatywną partią, która liczy się w wyborach w Hiszpanii, ale jej elektorat pozostaje bardzo ograniczony. Czy w związku z tym można powiedzieć, że Hiszpanie przyswoili sobie ideologię progresywistyczną czy tzw. ideologię woke?

Struktura społeczna i prawo wyborcze w Hiszpanii sprawiają, że Partia Socjalistyczna jest „partią państwową", a Partia Ludowa opozycją, której, gdy Partia Socjalistyczna zawodzi, udaje się dojść do władzy na pewien czas – zwykle krótki. Ideologicznie wyborcy Partii Ludowej nie są progresistami, choć sekularyzacja dokonała spustoszenia w hiszpańskim społeczeństwie. Wyborcy Vox to byli wyborcy Partii Ludowej, którzy czują się zdradzeni, ale nie zawsze zajmują spójne stanowisko. W każdym razie, gdy pominiemy pewien demagogiczny i mało poważny rys tej formacji, w niektórych fundamentalnych kwestiach, takich jak atlantyzm czy syjonizm, Vox jest bardziej wyrazisty niż sama Partia Ludowa.

W Polsce i bardziej ogólnie w byłej Europie Wschodniej ta progresywistyczna rewolucja woke, która ma miejsce na Zachodzie, jest często określana mianem marksizmu kulturowego. Tymczasem napisał pan, że „poprawność polityczna jest nie tyle owocem, jak się często mówi, marksizmu czy nawet tego, co niektórzy nazywają marksizmem kulturowym, ile skutkiem liberalizmu w jego radykalnej wersji powstałej po rewolucji maja 1968 r.". Czy to zatem model liberalnej demokracji nie działa? Czy nie ma to nic wspólnego z marksizmem?

Sytuacja Kościoła jest szczególnie godna ubolewania, nie tylko w Hiszpanii – uważa Miguel Ayuso Torres. Na zdjęciu: Sagrada Família w Barcelonie

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 9062e47cf9

Polityczna poprawność jest zjawiskiem, które powstało w Stanach Zjednoczonych ze zradykalizowanego progresywistycznego liberalizmu. Bez amerykanizmu jest ono niezrozumiałe. Przypisywanie go marksizmowi jest prymitywnym konserwatywnym manewrem, mającym na celu przypisanie komunizmowi tego, co jest winą liberalizmu. Wypisywanie na sztandarach antykomunistycznych haseł nadal jest dla konserwatywnego liberalizmu opłacalne. Oczywiście problemem jest sama liberalna demokracja. Nie ma dziś klasycznego marksizmu. A tzw. marksizm kulturowy to nic innego jak radykalny liberalizm. Nie należy zapominać, że dzisiejszy świat zachodni jest mieszanką kapitalistycznej struktury gospodarczej z fiskalnym socjalizmem i moralnym sekularyzmem. To rodzaj kolektywistycznego indywidualizmu, choć może się to wydawać paradoksalne.

Czy istnieje lekarstwo na tę dysfunkcję czy też jest to, według pana, strukturalny problem zachodniego liberalizmu?

Oczywiście, że jest to strukturalny problem liberalizmu, prowadzący do jego samozniszczenia. Sytuacja jest szczególnie złożona, ponieważ jest to pętla, z której trudno się wyswobodzić. Społeczeństwo masowe ogłupia i umniejsza odpowiedzialność. Środki zaradcze, aby z tej sytuacji wyjść, gdyby pozwolił na to kontekst międzynarodowy, są w zdeprawowanych społeczeństwach nie do przyjęcia.

Hiszpania była tradycyjnie postrzegana jako kraj szczególnie katolicki, trochę jak Polska jest jeszcze dzisiaj. Tymczasem od lat Hiszpania kroczy na czele progresywistycznej rewolucji w Europie, znacznie bardziej niż Włochy, inny kraj łaciński o bardzo silnej tradycji katolickiej. Co się stało?

Główne przyczyny leżą we frankistowskiej polityce rozwoju kraju, która pozbawiła tradycyjne społeczeństwo obrony, przekształcając je w społeczeństwo masowe, oraz w zbieżności czasowej tego procesu z kryzysem Kościoła przyspieszonym przez Sobór Watykański II. Wszystkie kraje katolickie są dziś zsekularyzowane. Oczywiście również Włochy i Portugalia, a także Polska. Jeśli czasami nie jest to tak ewidentne jak w Hiszpanii, to dlatego, że my mamy szczególną sytuację polityczną, wynikającą z geografii wyborczej podyktowanej obecnością peryferyjnych nacjonalizmów w Katalonii czy Kraju Basków.

Sytuacja Kościoła jest szczególnie godna ubolewania. Ale tak jest wszędzie na świecie. W Hiszpanii rozproszony konserwatyzm początkowo służył ochronie szerokich warstw społecznych przed głębszą sekularyzacją, która miała miejsce w krajach takich jak Wielka Brytania, Francja czy Niemcy. We Francji pojawiła się jednak wyraźniejsza (choć niewielka) reakcja tradycjonalistów. W dłuższej perspektywie czasowej Francja utrzymuje tę prężną grupę, choć to w Hiszpanii praktyki religijne są na wyższym poziomie. Hierarchie kościelne nie chcą dostrzec problemu i nadal trzymają się dyskursu otwartości na świat. Nie zmieniło się to od czasów Soboru i zostało podtrzymane, w różnej formie, za pontyfikatów Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka.

Reżim Franco jest w dużej mierze odpowiedzialny za współczesną katastrofę

Czy nie trzeba tęsknić za epoką Franco? Czy jego reżim nie był bardziej autorytarny, ale mniej totalitarny niż dzisiejszy liberalizm woke? Czy jest uzasadnione twierdzenie, że przegrani hiszpańskiej wojny cywilnej z lat 1936–1939 wygrali wojnę kulturową w postfrankistowskiej Hiszpanii?

Reżim Franco jest w dużej mierze odpowiedzialny za współczesną katastrofę. Nie możemy myśleć o współczesnej destrukcji, nie biorąc pod uwagę społecznej i kulturowej polityki frankizmu. Falanga, dominująca na scenie politycznej w latach 40. oraz w części lat 50., była ugrupowaniem modernistycznym i laicystycznym. Jak swego rodzaju refugium peccatorum pozwoliła na rozprzestrzenianie się liberalnej, a nawet marksistowskiej kultury. Ponadto Franco nie był twórcą jakiejś myśli politycznej, ale oportunistą, dla którego najważniejsze było utrzymanie się u władzy. Była to dyktatura, która dla ludzi niezaangażowanych w walkę polityczną czy doktrynalną okazała się łagodniejsza niż to, czego doświadczają dziś, a co jest w swej istocie bardziej dla nich opresyjne.

Czy mając rząd, którego powstanie było możliwe dzięki skrajnej lewicy i regionalnym separatystom, Hiszpania nie jest zagrożona dezintegracją – zarówno społeczną, jak i geograficzną?

Równowaga sił, dzięki którym istnieje rząd, jest naprawdę bardzo niestabilna. A wsparcie udzielone przez separatystów będzie słono kosztować. Hiszpania jest zdezintegrowana, ale zjawisko to, jeszcze raz, nie jest typowo hiszpańskie. Zjawisko społecznego rozbicia lub desocjalizacji jest czymś powszechnym na Zachodzie. Hiszpania opierała się na monarchii i wierze katolickiej. A dziś oba te czynniki spójności są bardzo osłabione. Liberalna monarchia ustanowiona przez Franco ma niewielką instytucjonalną przestrzeń. Poza tym, choć czyni to w sposób niejednoznaczny, zawsze pokazuje, że bliżej jej do sekularyzmu. Jest to dla niej zabójcze.

Czy jest jeszcze ratunek dla Hiszpanii? Jakie są konkretne przesłanki pozwalające na zachowanie nadziei w aktualnych okolicznościach? Czy ewolucja zachodząca w Hiszpanii ma wpływ na to, co się dzieje w Ameryce Łacińskiej? Jaki jest to wpływ?

Gdy weźmiemy pod uwagę naturalne okoliczności, wydaje się, że nie ma dla Hiszpanii ratunku. Tym bardziej że Kościół katolicki nie reaguje i kroczy ścieżką samozagłady. Związki pomiędzy Hiszpanią a Ameryką Łacińską pozostają bliskie. Także tam postępuje sekularyzacja, a dzieje się to z powodu bezczynności Kościoła i aktywności sekt protestanckich, promowanych przez Stany Zjednoczone. Część procesów jest zatem podobna, a niektóre są charakterystyczne dla tego regionu. Nie można odpowiedzieć na to pytanie w kilku zdaniach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Centrum Komunikacji Instytutu Ordo Iuris.

Miguel Ayuso Torres *– hiszpański prawnik i filozof, profesor nauk politycznych i prawa konstytucyjnego, dyrektor ukazującego się od ponad pół wieku magazynu „Verbo", w latach 2009–2019 prezes Międzynarodowej Unii Prawników Katolickich.*

eprasa.pl 9062e47cf9

Projektem „Scorpio House", luksusowego przydomowego schronu o wytrzymałości atomowej, pochwaliło się polskie BXB studio FOT. BXB STUDIO BOGUSŁAW BARNAŚ

Moda na schrony

Jacek Przybylski

Od wybuchu wojny na Ukrainie na rynku pojawiło się mnóstwo firm, które oferują budowę prywatnych schronów. Po wybuchu wojny na Ukrainie potencjalny zarobek wyczuli przedsiębiorcy nie tylko w Polsce, lecz także w wielu krajach świata. Warto zachować ostrożność, bo wiele oferowanych obiektów ze schronami ma niewiele wspólnego. Na profesjonalny schron trzeba zaś wydać kilkaset tysięcy złotych

Prywatnych bunkrów przybywa głównie w Europie. Inwestorzy zauważyli, że narastająca atmosfera strachu przed zbliżającym się globalnym konfliktem skłania ludzi do tego, aby zamiast kupować drugi dom nad morzem, jeziorem czy w górach, wydali potężne oszczędności na porządny schron.

W zeszłym tygodniu włoska prasa poinformowała, że Franciacorta na północy kraju ma być pierwszą w tym kraju „wioską bunkrów". I to bunkrów nie byle jakich, bo przystosowanych do tego, aby w ich wnętrzu nie tylko przetrwać zwykłe naloty bombowe czy ogień artyleryjski wroga, lecz także przeżyć nawet wojnę nuklearną. Jak informuje dziennik „Corriere Della Sera", w wiosce niedaleko Brescii powstaje blisko siebie aż osiem tego typu obiektów. Każdy z bunkrów pięć metrów pod ziemią ma mieć 40 mkw. powierzchni mieszkalnej i został zaprojektowany tak, aby pomieścić maksimum pięć osób. Pod ziemią znajdują się również pomieszczenie gospodarcze, w którym można gromadzić żywność o długim terminie ważności, a także potężne zbiorniki na zapasy wody o pojemności tysięcy litrów.

Ceny zaczynają się od 180 tys. euro (równowartość 767 tys. zł). W zamian firma oferuje wzmocnione betonowe ściany o grubości 60 cm, specjalne włazy mające przetrwać nawet wybuch bomby oraz specjalny system filtracji, którego zadaniem jest dostarczenie do wnętrza powietrza oczyszczonego z wszelkich zanieczyszczeń powstałych po wybuchu bomb konwencjonalnych, a nawet bomby atomowej. Jak podał przedstawiciel dewelopera w rozmowie z „Corriere Della Sera", pierwsi chętni już dzwonią…

Aby poczuć się bezpiecznie, nie trzeba jechać aż do Włoch. W lutym na rynku nieruchomości pojawiła się oferta sprzedaży bunkra położonego zaledwie 25 km od granicy z Polską, w lesie niedaleko miasteczka Pasewalk. Obiekt, zbudowany w latach 80. ubiegłego wieku, służył najpierw Stasi, a następnie był wykorzystywany przez spółkę Deutsche Telekom, po czym trafił w prywatne ręce. Obiekt znajdujący się na działce o powierzchni 3 ha ma 950 mkw. Heinz Fuhrmann wraz z żoną kupili go cztery lata temu. Najpierw chcieli go wynajmować, ale ponieważ chętnych nie było, postanowili bunkier sprzedać za milion euro (równowartość 4,27 mln zł). Sprzedający zapewnia w mediach, że bunkier – wyposażony w system wentyla-

eprasa.pl 9062e47cf9

cji, instalację wodną, toalety i łazienki oraz duży garaż, zdolny pomieścić kilka samochodów – może pozwolić przetrwać nawet wojnę atomową. Jak powiedział sprzedający w rozmowie z reporterem agencji DPA, w jego schronie przez ok. 60 dni mogłoby przetrwać ok. 35 osób.

Bogatsi klienci mogą rozważyć zakup innego schronu dostępnego na niemieckim rynku mieszkaniowym. Bunker 302, typowy obiekt tego typu z czasów zimnej wojny, ma 1,8 tys. mkw. powierzchni z betonowymi ścianami o grubości jednego metra. Z założenia ten schron również powinien przetrwać atak nuklearny. Nad bunkrem znajduje się budynek o wielkości 500 mkw., w którym w razie zagrożenia można schronić się w jednej z pięciu hermetycznie zamykanych komór. Początkowo obiekt został zmieniony w muzeum. Jego prywatny właściciel Götz Thomas Wenzel ostatecznie wystawił go jednak na sprzedaż. Cena: 1,7 mln euro.

GDZIE SIĘ SCHRONIĆ W POLSCE?

Smutna prawda dla większości mieszkańców w Polsce jest prosta: schronów, które pomogłyby przetrwać nawet atak z użyciem broni ABC, dla zwykłego Kowalskiego jest wyjątkowo niewiele. W aplikacji Schrony (http://schrony.straz.gov.pl), przygotowanej przez Państwową Straż Pożarną, znaleźć można co prawda ponad 230 tys. obiektów, które sklasyfikowano jako budowle ochronne, czyli schrony i ukrycia oraz miejsca doraźnego schronienia (MDS), jednak zdecydowana większość z nich to albo „miejsca doraźnego schronienia", które mogą pełnić rolę osłony przed ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi, albo ukrycia („wyposażone w najprostsze instalacje zapewniające ochronę osób, urządzeń, zapasów materiałowych lub innych dóbr materialnych przed założonymi czynnikami rażenia oddziałującymi z określonych stron"). Schronów jako budowli „o obudowie konstrukcyjnie zamkniętej, hermetycznej, zapewniającej ochronę osób, urządzeń, zapasów materiałowych lub innych dóbr materialnych przed założonymi czynnikami rażenia oddziałującymi ze wszystkich stron" ze świecą na mapach Polski szukać (łącznie do tej kategorii zaliczono ok. 2 tys. obiektów w całym kraju). Według ekspertów szanse na prawdziwe schronienie w razie wybuchu wojny ma w Polsce niecałe 4 proc. mieszkańców.

W opłakanym stanie jest również polska obrona cywilna. Historia naszego kraju pokazuje zaś jasno: na urzędników i rządzących w tej kwestii nie można było liczyć przed drugą wojną światową (rozporządzenie nakazujące budowę schronów przeciwlotniczych władze w Warszawie wydały 26 sierpnia 1939 r., czyli dosłownie kilka dni przed atakiem hitlerowskich Niemiec). Tym bardziej nie można liczyć na współczesnych polityków – choć opracowali już niby założenia do ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej, to zanim na dobre zaczną budować schrony, upłynie w Wiśle jeszcze mnóstwo wody. W praktyce włodarze niektórych dużych miast nawet po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę likwidują przejścia podziemne, uznając je za przeżytek z czasów PRL, a syreny alarmowe wykorzystują głównie do obchodzenia kolejnych historycznych rocznic. Zresztą mało który Polak potrafi właściwie rozpoznać sygnały alarmowe, więc jeśli coś akurat będzie wyło, to pierwsza myśl, która przyjdzie Kowalskiemu do głowy, będzie taka, że to pewnie jakaś kolejna rocznica, ewentualnie ktoś zginął na służbie i ktoś postanowił go w ten sposób upamiętnić.

Doświadczenia broniących się przed rosyjską agresją Ukraińców pokazują, że ochrony przed nalotami i ostrzałem artyleryjskim szukać można np. w podziemnych stacjach metra, tunelach, przejściach podziemnych. Aby przetrwać, najlepiej jednak liczyć na siebie. Jedną z opcji ochrony w razie ataku powietrznego są garaże podziemne pod apartamentowcami. Właściciele domów jednorodzinnych mogą zaś zlecić budowę prywatnego schronu. Taką inwestycję ułatwia nowelizacja prawa budowlanego, zgodnie z którą na budowę przydomowego schronu o powierzchni do 35 mkw. nie jest wymagane pozwolenie na budowę.

NIE KAŻDA PIWNICZKA TO SCHRON

Na popularnych serwisach ogłoszeniowych jest wiele ofert dla osób, które szukają jakiegoś schronienia – zbiorniki betonowe o powierzchni 12 m sześc., które zdaniem ich sprzedawców mogą służyć jako piwnica, ziemianka lub schron, kosztują od ok. 2 tys. do ok. 6 tys. zł. Za 88 997 zł można kupić gotową piwniczkę ogrodową z wyposażeniem, która według sprzedającego może pełnić funkcję piwniczki, spiżarni, winiarni oraz… schronu właśnie. Wśród aktualnych ogłoszeń znaleźć można nawet „bunkry przeciwatomowe" o powierzchni 15–25 mkw. za 399 tys. zł. „Bunkier Classic" – jak czytamy w ogłoszeniu – jest wyposażony we „wzmocnione drzwi, pancerną pokrywę, system wentylacji ABC, dodatkowo w wodę dopływową i ściekową, toaletę mokrą, prysznic, zlew i aneks kuchenny". Za 599 tys. zł można zamówić „Bunkier Premium" o powierzchni 25–35 mkw., który dodatkowo ma m.in. „wydzielone pomieszczenie zasilania awaryjnego z ciągłym zasilaniem awaryjnym i wodociągiem studniowym".

Od wybuchu wojny na Ukrainie systematycznie przybywa również specjalistycznych serwisów poświęconych głównie lub wyłącznie sprzedaży lub budowie schronów. Działająca od 2015 r. firma Mahton Schrony z Bydgoszczy chwali się na swojej stronie szeroką ofertą schronów cywilnych, opartych na wieloletniej współpracy z Wojskową Akademią

eprasa.pl 9062e47cf9

Techniczną w Warszawie. Jej sztandarowy produkt to żelbetowy schron modułowy kat. „P", który w podstawowej wersji dla czterech osób, w stanie deweloperskim i przy korzystnych warunkach gruntowych, kosztuje 350 tys. zł netto za schron o powierzchni 35 mkw. – Po wybuchu wojny na Ukrainie zainteresowanie schronami mocno wzrosło. Na ten rok portfel zamówień mamy już zapełniony i przyjmujemy zapisy na rok 2025 – mówi „Do Rzeczy" Michał Lorek, prezes firmy Mahton Schrony, wyjaśniając, że na tę inwestycję najczęściej decyduje się klasa średnia, ale wyraźnie rośnie również zainteresowanie ze strony biznesu. Czas na realizację zamówienia na żelbetowy schron klasy „P", który musi mieć m.in. niezależne zasilanie elektryczne, dostęp do wody pitnej i użytkowej oraz toaletę, to ok. czterech, pięciu miesięcy.

Firma ma również w ofercie tańszą opcję, która pozwala na ukrycie, ale nie zawiera np. systemu filtrowentylacji czy gazoszczelnych drzwi schronowych. W tym wypadku taka inwestycja to wydatek ok. 200 tys. zł netto. Mimo wyraźnie niższej ceny większość klientów wybiera jednak schrony klasy „P".

Z kolei na stronie shelters.pl do wyboru są schrony betonowe, mobilne, naziemne (w wersji betonowej lub stalowej), podziemne (z możliwością zakopania od 2 m do 6 m), a także najróżniejsze systemy filtracyjne etc. Jakie są ceny? Na przykład ważący 6 tys. kg ocynkowany metalowy „schron ekonomiczny", wyposażony w pakiet filtracyjny, szwajcarskiej firmy Lunor, który – jak czytamy – chroni przed bronią nuklearno-biologiczną oraz chemiczną i do którego wejście zabezpieczone jest przez płytę wykonaną ze stali AR 500, to wydatek od 50 tys. euro netto (czyli równowartość ok. 213 tys. zł netto). Inna opcja, np. schron rurowy standard, czyli konstrukcja zakopana w ziemi do maksymalnej głębokości 6 m z pełnowymiarowym wejściem, miejscem na generator prądu, wyposażony w system filtrowentylacji, komorę dekontaminacyjną, wyjście awaryjne, a nawet w miniwindę towarową, wyceniona jest w podstawowej wersji (10 m na 3 m) na 380 tys zł brutto. Można też zamówić tylko poszczególne elementy. Na przykład drzwi stalowe gazoszczelne i z odpornością na wybuch 4,4 BAR kosztują (w zależności od rozmiaru) od 28,4 tys. do 30,5 tys. zł. Jeszcze solidniejsze drzwi przeciwwybuchowe, gazoszczelne i przeciwodłamkowe to już wydatek od 35,2 do 40,9 tys. zł.

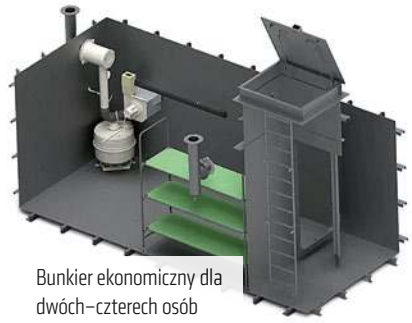

Bunkier ekonomiczny dla dwóch–czterech osób

FOT. SHELTERS.PL

– Schrony nie są tanią rzeczą. Naszymi najpoważniejszymi klientami nie są więc wcale najbogatsi, bo ci deklarują, że za cenę schronu mogą kupić mieszkanie w Hiszpanii, i jeśli wybuchnie wojna, to po prostu wyjadą za granicę, ale np. rolnicy, osoby starsze, które nie są w stanie wyjechać, albo osoby, które ze względów patriotycznych zamierzają pozostać w kraju, walczyć lub normalnie pracować – mówi „Do Rzeczy" Wojciech Lebiedziński, właściciel shelters.pl. – Wiele osób wstrzymuje się z zamówieniem schronu, bo liczy na to, że państwo wprowadzi na ten cel dofinansowania lub chociaż kredyty 0 proc. Od lat czekamy jednak chociaż na znowelizowanie rozporządzenia dotyczącego schronów – dodaje. I zaznacza, że niekiedy najtańszą opcją może się okazać odpowiednia adaptacja istniejącej już piwnicy.

Zarówno Michał Lorek, jak i Wojciech Lebiedziński ostrzegają przed inwestowaniem w oferowane w sieci obiekty, które nie spełniają wymogów schronów czy miejsca ukrycia. – Jeśli firma nie oczekuje mapy do celów projektowych ani badań geologicznych, to łatwo zweryfikować, że nie działa profesjonalnie. Reklamowane jako schrony najprostsze MDS-y to po prostu oszukiwanie potencjalnych klientów – zauważa prezes firmy Mahton Schrony. – Dzisiaj niemal każde betonowe szambo oferowane jest też jako schron – ironizuje właściciel shelters.pl.

Ofertę przydomowego schronu atomowego znaleźć można również na stronie schron.pro. Koszt obiekty budowanego w konstrukcji żelbetowej wynosi 456 tys. zł brutto (ok. 21 tys. zł za 1 mkw.), a wejście do schronu zamykane jest przy użyciu klapy wodoszczelnej i ognioodpornej z blachy stalowej nierdzewnej.

Sprzedawcy schronów przekonują, że taka inwestycja może nie tylko uratować życie lub zdrowie, lecz także w niepewnych czasach zwiększyć wartość nieruchomości. I rzeczywiście w serwisach ogłoszeniowych są już ogłoszenia, w których sprzedający podkreślają, że ich posiadłość jest wyposażona w przydomowy schron.

LUKSUSY POD ZIEMIĄ

Nie brakuje również ofert dla tych, którzy chcą zachować bardzo wysoki standard życia nawet tuż przed końcem świata. W Czechach niedaleko Pragi już dekadę temu powstało Oppidum Závist, czyli potężny luksusowy bunkier. Postał na powojskowych terenach. Budowa potężnego schronu rozpoczęła się na nich już w roku 1984, w trakcie trwania zimnej wojny. Po upadku komunizmu prace wstrzymano, a w 1994 r. wojsko oddało te tereny w cywilne ręce.

Miejsce otoczone wysokimi murami stało się więc wymarzonym obiektem dla inwestora chcącego dać milionerom jednocześnie poczucie bezpieczeństwa i luksusu. Oppidum, reklamowane jako największy bunkier dla milionerów, oferuje marzącym o nieśmiertelności bogaczom nie tylko wnętrza ukryte za pancernymi drzwiami, zapasy żywności, ogromne rezerwy wody pitnej etc. Szefem bezpieczeństwa obiektu mianowano gen. Andora Šándora, który przed przejściem na emeryturę stał na czele czeskiego wywiadu. W razie wybuchu trzeciej wojny światowej bogaczom nie będzie tu jednak bardzo źle: czekają na nich bowiem kino, biblioteka, spa, siłownia, bar, restauracja z zapasem dobrych win oraz olbrzymie ekskluzywne apartamenty zaprojektowane przez francuskiego architekta. Oczywiście w podziemnych garażach jest też sporo miejsca, aby w razie armagedonu uratować swoje ukochane limuzyny i sportowe wozy.

Projektem „Scorpio House" – luksusowego przydomowego schronu o wytrzymałości atomowej – pochwaliło się z kolei niedawno polskie BXB studio. „Unikalność naszego rozwiązania polega na tym, że zmieniliśmy definicję schronu jako inwestycji realizowanej jedynie na czas zagrożenia. Scorpio House to dobro luksusowe, które nas cieszy na co dzień, podobnie jak sportowy samochód albo rodzinny jacht" – czytamy na stronie biura projektowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„Zielone ludziki" w Brukseli?

Czy ludziom, którzy całkiem na poważnie chcieli – z obawy przed emitowaniem zbyt dużej ilości CO_2 – zamienić armie państw UE w zabawki z kompozytu i papieru, można bez obawy o swe życie powierzyć zarządzanie lub tym bardziej rządzenie czymkolwiek innym poza armią ołowianych żołnierzyków? Skoro są oni niebezpieczni nawet dla samych siebie i swych własnych rodzin?

A nie zapominajmy, że swą dotychczasową polityką – unijnym Zielonym Ładem – kompletnie niedorzeczną, prowadzącą do wywłaszczenia z własności domów, mieszkań i aut milionów Europejczyków – ludzie ci już doprowadzili do być może bezpowrotnego unicestwienia sporej części przemysłu ciężkiego Europy. A bez niego nie da się przecież odtworzyć potencjału europejskiego przemysłu zbrojeniowego, bez którego z kolei nie da się odbudować potencjału mocno rozbrojonych armii państw UE.

A o „zielonej" armii, armii „zrównoważonego rozwoju", czyli armii „nieemitującej CO_2", ludzie ci roją – roją na jawie – od co najmniej kilkunastu lat. Oto choćby kilka lat temu sekretariat Rady UE zlecił przygotowanie raportu na temat „bardziej ekologicznych" sił zbrojnych państw UE. Co prawda, jego autorzy wskazują, że priorytetem (na razie?) dla armii powinna pozostać ich efektywność i szybkość reagowania, a nie kwestie ekologiczne, lecz jednocześnie podkreślają, iż europejskie armie „mogą odpowiadać za aż 5,5 proc. globalnej emisji CO_2". Cóż za horrendum, prawda?

Ba, jeszcze w 2021 r. zieloni eurokraci z UE (niestety, czasami ręka w rękę z zielonymi biurokratami z NATO) całkiem serio rozprawiali o „zielonym" wojsku – o „zielonych" czołgach na baterie, z pancerzami z kompozytów, o wozach bojowych na kołach z gumy z recyklingu i żywic naturalnych itp. A jeszcze na początku 2022 r. Komisja Europejska miała być blisko wprowadzenia zakazu inwestowania w przemysł zbrojeniowy, uznając go za „szkodliwy", bo niehumanitarny i „niezielony".

Cóż, może czasami za łatwo ulegam teoriom spiskowym, ale właśnie mnie naszło, że może to nie żadni zieloni eurokraci tak panoszą się w Brukseli, zmuszając nas do marznięcia we własnych czterech ścianach, odbierając nam własność naszych domów, mieszkań i aut oraz rujnując nasz przemysł i naszą armię, lecz po prostu – nazywając rzecz po imieniu – „zielone ludziki"? „Zielone ludziki" Putina?

I nawet jeszcze zanim rozstrzygnie się tę kwestię, warto odpowiedzieć sobie na pytanie, czy takim ludziom – czy to „zielonym ludzikom", czy „tylko" zielonym eurokratom – należy powierzać przyszłość UE, a więc – po trosze – także Polski? Nie sądzę. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Unijny bilans według Cukiernika

Obliczenie faktycznego, a nie propagandowego bilansu polskiej obecności w Unii Europejskiej po 20 latach członkostwa jest nie lada wyzwaniem. To nie tylko kwestia prostego, nawet prostackiego intelektualnie podliczenia wpływów z funduszy UE i odjęcia od tego wpłaconych składek (wówczas bilans wyjdzie korzystnie). To również dodanie po stronie „ma" dostępu do wspólnego rynku i płynących z tego korzyści, a nawet wielu skutków trudnych do finansowego wymierzenia; po stronie „winien" zaś trzeba policzyć koszty, które Polacy ponoszą w związku z koniecznością dostosowania do prawa unijnego, coraz bardziej skomplikowanego i rozbudowanego, a także sumy, które obce firmy, korzystające z dostępu do polskiego rynku, wyprowadzają na zewnątrz. Zadanie jest zatem karkołomne i olbrzymie.

Podjął się go publicysta naszego tygodnika Tomasz Cukiernik w książce „Dwadzieścia lat w Unii. Bilans członkostwa". Praca przez niego wykonana imponuje, choć do książki trzeba podejść ze świadomością, że może nie tyle została napisana z tezą, ile raczej – że jej konkluzją jest teza jasna i jednoznaczna: Polska powinna z UE wystąpić. Ostatni rozdział nosi właśnie tytuł „Polexit", a Cukiernik przywołuje w nim moją opinię o tym, że dla członkostwa nie ma przekonującej alternatywy. Autor twierdzi, że to nieprawda, ale sam takiej alternatywy przekonująco nie rysuje. I to jest największy problem z polexitowymi propozycjami.

Faktycznie, trudno się z Cukiernikiem nie zgodzić, że bilans członkostwa był do obrony przed wprowadzeniem rozwiązań Zielonego Ładu, ale wraz z jego kształtowaniem i zaostrzeniem staje się już wprost niekorzystny. Tyle że sama taka konkluzja to za mało. Kraj taki jak Polska musi mieć – jeśli w ogóle chce na poważnie mówić o wariancie wystąpienia z UE – drobiazgowo opracowany i – co najważniejsze – realistyczny ekonomicznie oraz politycznie plan opuszczenia wspólnoty. A tego w książce Cukiernika brak.

Dlatego apeluję do autora, podziwiając i szanując wykonaną przez niego pracę: proszę o kontynuację! Proszę o tak samo dokładnie i dobrze opracowaną książkę z porządnym planem polexitu. ©℗

TOMASZ CUKIERNIK „DWADZIEŚCIA LAT W UNII. BILANS CZŁONKOSTWA" B&T PRESS 2024

eprasa.pl 9062e47cf9

FOT. ADOBE STOCK

Unia absurdalnych regulacji

Łukasz Warzecha

Nasze życie jest dzisiaj koszmarnie przeregulowane, a każda kolejna regulacja dodaje obciążenia, które oznaczają dla nas stratę czasu i wysiłku. Mówiąc w uproszczeniu: zamiast żyć, zajmujemy się realizacją kolejnych przepisów

Kupują państwo butelkę wody. Próbują państwo odkręcić nakrętkę. Częściowo się udaje, ale potem przestaje iść łatwo, bo ta jest przymocowana do butelki. To bardzo niewygodne: przy piciu nakrętka będzie się opierać o nasze usta; przy zakręcaniu trudniej nałożyć ją równo. Nakrętka przymocowana do butelki nie jest rozwiązaniem ani oczywistym, ani ergonomicznym, ani naturalnym. Nikt o to nie prosił, nikt się tego nie domagał, większość osób uznaje to za niewygodne i nienaturalne. I dlatego zapewne większość tę nakrętkę odrywa. Co oczywiście kosztuje trochę wysiłku i kilka sekund naszego czasu.

Dlaczego nakrętki zaczęły być przymocowywane do butelek? Jak w przypadku większości rozwiązań nonsensownych, absurdalnych i uciążliwych odpowiedź jest oczywista: Unia Europejska. To skutek wchodzącej w życie od 1 lipca tzw. dyrektywy plastikowej. A dokładnie – dyrektywy numer 2019/904 „w sprawie zmniejszenia wpływu niektórych produktów z tworzyw sztucznych na środowisko" (w skrócie: dyrektywa SUP – Single Use Plastic).

UNIA NA PLAŻY

Spójrzmy na jeden z akapitów – przykładowy – wstępu do dyrektywy (unijne akty prawne składają się zawsze z obszernego wstępu, rodzaju uzasadnienia oraz z części zawierającej same przepisy):

„Zgodnie z dokonanym pomiarem zaśmiecenia plaż tworzywa sztuczne stanowią 80–85 proc. odpadów w środowisku morskim w Unii, przy czym artykuły jednorazowego użytku z tworzyw sztucznych stanowią 50 proc., a przedmioty związane z połowami – 27 proc. całości odpadów w środowisku morskim. Produkty jednorazowego użytku z tworzyw sztucznych obejmują szeroką gamę powszechnie stosowanych szybko zbywalnych produktów konsumpcyjnych, które są wyrzucane po tym, jak zostały jednorazowo użyte zgodnie ze swoim przeznaczeniem, są rzadko poddawane recyklingowi i łatwo stają się śmieciami. Znaczna część narzędzi połowowych wprowadzonych do obrotu nie jest zbierana w celu przetwarzania. Produkty jednorazowego użytku z tworzyw sztucznych i narzędzia połowowe zawierające tworzywa sztuczne stanowią zatem szczególnie poważny problem w kontekście odpadów w środowisku morskim, stwarzają poważne zagrożenie dla ekosystemów morskich, różnorodności biologicznej i zdrowia człowieka oraz mają negatywny wpływ na takie rodzaje działalności jak turystyka, rybołówstwo i żegluga".

W każdym akcie prawnym dotyczącym podobnych kwestii cytowane są te same dane, w tym dotyczące zanieczyszczenia plaż. Jaki ma to związek choćby z nakrętkami na butelkach w UE – nie wiadomo i nikt tego nie wykazał. Nie ma również żadnych odwołań do tego, jaki praktyczny skutek będzie mieć dany przepis, co faktycznie może zmienić i w jakiej skali oraz jaki jest stosunek obywateli do kolejnych wydumanych rozwiązań. Tym unijni ustawodawcy nigdy się nie interesują. Choć od czasu do czasu ogłaszane są internetowe konsultacje aktów prawnych UE, to ich rezultaty właściwie nigdy nie mają wpływu na to, co następnie staje się prawem.

Artykuł 6 dyrektywy powiada: „Państwa członkowskie zapewniają, aby wymienione w części C załącznika produkty jednorazowego użytku z tworzyw sztucznych, których zakrętki i wieczka są wykonane z tworzyw sztucznych, mogły być wprowadzane do obrotu tylko wtedy, gdy te pokrywki i wieczka pozostają przymocowane do pojemników podczas etapu zamierzonego użytkowania produktu". Stąd skrajnie irytujący problem.

NIC ZA DARMO

To oczywiście nie jest rozwiązanie darmowe. Żeby dostosować się do

eprasa.pl 9062e47cf9

dyrektywy, producenci musieli poczynić odpowiednie inwestycje w maszyny – i to niemałe. Podczas niedawnego Kongresu Gospodarczego w Katowicach odbyła się na ten temat dyskusja, której ton był jednak w pewnym sensie zaskakujący. Prezes firmy Mlekpol, Tadeusz Mroczkowski, wyjawił, że koszt wprowadzenia rozwiązania dla jego firmy wyniósł dotychczas, bagatela, 30 mln zł. Przedsiębiorca powiedział także, że firma spotkała się z krytyką klientów – a wtórowali mu tutaj przedstawiciele innych producentów – m.in. dlatego, że „konsumenci nadal chcieli brać udział w zbiórkach charytatywnych polegających na zbieraniu nakrętek". Tu trzeba bowiem dodać, że dyrektywa praktycznie uniemożliwia kontynuację popularnych zbiórek tego typu – osobno gromadzonych nakrętek nie będzie już można zbierać. Oczywiście ustawodawcy unijni w ogóle nie wzięli tego pod uwagę. Wszak trzeba ratować planetę.

Natomiast zgromadzeni na panelu dyskusyjnym przedstawiciele branży uznali, że co prawda błędem jest, iż nie wytłumaczono klientom, po co to rozwiązanie jest wprowadzane, ale co do zasady jest ono słuszne. Sprawia to wrażenie syndromu sztokholmskiego albo paraliżującej ekologicznej poprawności politycznej. Oto bardzo charakterystyczne zdanie, wygłoszone przez Marka Sumiłę, prezesa Żywca Zdrój, producenta popularnej wody mineralnej: „Cokolwiek byśmy zrobili, musimy nauczyć konsumenta, przekonać go do tego. Przykładem z ostatnich miesięcy są właśnie przytwierdzane nakrętki i mnóstwo zniecierpliwienia ze strony konsumentów. A przecież robimy to dla dobra konsumentów i nas wszystkich. Ale konsument nie zawsze to rozumie od samego początku". Czyli wszystko, jak zwykle, dla naszego dobra, tylko my, głupki, tego nie rozumiemy.

Sprawa dyrektywy SUP pokazuje większy problem, z którego istnienia niewiele osób zdaje sobie sprawę. W sieci toczy się wiele zażartych dyskusji, dotyczących tego absurdalnego rozwiązania. Jednym z podstawowych argumentów jego obrońców jest stwierdzenie, że przecież jeśli komuś przymocowana nakrętka nie pasuje, to może ją łatwo oderwać. Tak, to prawda. Ciekawie zresztą byłoby poznać statystyki i dowiedzieć się, jaka część klientów tak właśnie robi, tym samym niwecząc cel dyrektywy SUP. Rzecz w tym, że wykonanie tej drobnej czynności, którą jest oderwanie nakrętki od butelki, nie jest bezkosztowe. Każda taka czynność to kilka sekund naszego życia.

Spyta ktoś: Jakie to ma znaczenie? Faktycznie – w skali dnia czy nawet tygodnia to niewiele. Ale pomnożone tysiące razy – już ma. Może można by się z tym pogodzić, gdyby chodziło tylko o nakrętki. Kłopot polega na tym, że nasze życie jest dzisiaj koszmarnie przeregulowane, a każda kolejna regulacja dodaje obciążenia, które oznaczają dla nas stratę czasu i wysiłku. Mówiąc w uproszczeniu: zamiast żyć, zajmujemy się realizacją kolejnych przepisów, wymyślanych w dużej mierze w gabinetach budynków brukselskiej dzielnicy unijnej.

Weźmy inną kwestię: segregację śmieci. Gdyby chcieć to robić zgodnie z narzucanymi nam wymogami, trzeba by nie tylko wygospodarować w każdym mieszkaniu, nawet najmniejszym, miejsce na przynajmniej cztery frakcje (suchą, mokrą, papierową i szkło), a wkrótce dodać do tego kolejną (w związku z nieuchronnym wejściem systemu kaucyjnego na opakowania plastikowe). Trzeba również poświęcić cenne minuty z naszego życia na odpowiednią selekcję odpadów. I znów: w skali jednego dnia nie wydaje się to wielkim poświęceniem. Ale jeśli podsumować te minuty w skali roku, to może się okazać, że kosztuje nas to kilka dni naszego życia. To czas, który moglibyśmy poświęcić na czytanie książek, oglądanie telewizji, rozmowy. Na coś, co wybierzemy sami i co da nam korzyść albo po prostu przyjemność. Zamiast tego stajemy się w tym czasie niewolnikami regulacji i odgórnie narzucanych obowiązków.

Kolejny przykład to wspomniany system kaucyjny dla plastikowych opakowań, który miał ruszyć w Polsce już kilkakrotnie, a który również wynika z unijnego ustawodawstwa, stawiającego przed krajami członkowskimi wymóg osiągnięcia odpowiedniego pułapu recyklingu plastików. Uruchomienie systemu kaucyjnego oznacza, że wiele produktów sprzedawanych w plastikowych opakowaniach podrożeje, bo do ich ceny zostanie doliczona kaucja. Kaucję będzie można odzyskać, odwożąc opakowania do punktu. Jak te punkty mają wyglądać, czy będzie to system automatów czy także punkty odbioru w sklepach z ludzką obsługą – na razie nie wiadomo. Wiadomo jednak, że na klientach będzie się w ten sposób wymuszać wykonanie kolejnej pracy za firmy przetwarzające odpady pod groźbą kary finansowej – bo tym jest w gruncie rzeczy nieodzyskanie kaucji. Mimo że istnieje już restrykcyjny system selekcji odpadów, będziemy musieli osobno odkładać odrębną kategorię opakowań obciążonych kaucją. W dodatku jeśli będą one dostarczane do automatów, nie będą mogły być zgniatane, a więc trzeba będzie na to znaleźć znacznie więcej miejsca w domu. Następnie trzeba będzie poświęcić dodatkowy czas przynajmniej na to, żeby te opakowania oddać (zakładając, że będzie się to robić przy okazji innych zakupów). Nie trzeba pisać, że w nieidealnym, prawdziwym świecie trudności będą się mnożyć. Nie każdy ma w domu miejsce na kolejne składowisko odpadów, nie każdy planuje zakupy z góry, a jeśli robi się je spontanicznie, np. w drodze z pracy do domu, to trzeba by przy sobie cały czas mieć opakowania do oddania.

TO NIE KONIEC

I znów: wszystko sprowadza się do naszego czasu i wysiłku. Regulacji, których koszty ponosimy w tych dwóch walutach, jest multum. Tak wiele, że z niektórych nie zdajemy sobie już sprawy. A dojdą kolejne. Na przykład dyrektywa budynkowa (EPBD) wymaga sporządzenia paszportów energetycznych nieruchomości, opartych na klasach energetycznych nieprzystających do tego, jak działał dotychczas w naszym kraju obowiązujący system świadectw energetycznych. Gdy powstanie odpowiednie ustawodawstwo, właściciele domów będą musieli spędzić kolejne godziny na realizacji wymogów.

Traconego przez nas w ten sposób czasu nikt nie sumuje. Nikt nie podlicza, ile pracy wykonujemy za państwo albo prywatne firmy, jeśli nałożono na nas takie obowiązki. Marnujemy życie i pieniądze na sprostanie mnożącym się przepisom, a inwencja ustawodawców wydaje się niewyczerpana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

U potomków kanibali

Chatka Korowajów zawieszona w konarach drzew

Jacek Pałkiewicz

Po raz kolejny natura ukazała nam swój fascynujący, a zarazem groźny majestat

Patrzą na nas przenikliwie i złowrogo, nic nie mówiąc. Nie trzeba słów, żeby zrozumieć, że to chwila, którą z pewnością na długo zapamiętam. Niewysokiego wzrostu Korowaje jeszcze w bliskiej przeszłości byli znani jako budzące postrach kanibalistyczne plemię chronione przez nieprzeniknione lasy równikowe, tajemnicę, magię, legendę. Wszyscy w nieokreślonym wieku, są nadzy, jeśli nie liczyć spódniczek z włókna palmy sagowej i naszyjników z muszelek u kobiet. Mężczyźni zaś zabezpieczają penisy, wpychając je do moszny, a końcówkę owijają liściem i obwiązują go włóknem. W ręku trzymają łuki i strzały z zatrutymi grotami z kości kazuara. Mam wrażenie, że cofnąłem się do dawnej epoki, zostałem katapultowany do innego wymiaru, w którym czas nie istnieje. Jeszcze do niedawna jeden z najmniej przyjaznych rejonów świata posiadał barierę nie do pokonania: zabójczy klimat i nieprzebytą dżunglę. Ponadto ponura sława bezlitosnych łowców głów skutecznie zniechęcała do wypraw w te rejony.

Uświadamiam przy tym, że w 1961 r. właśnie tutaj, w regionie Asmat w południowo-zachodniej części wyspy Nowa Gwinea, dokładniej w indonezyjskiej Papui Zachodniej, zniknął bez śladu syn amerykańskiego wiceprezydenta, Michael Rockefeller. Przez długie lata nie było wiadomo, co naprawdę stało się z najmłodszym spadkobiercą fortuny miliardera. Dwudziestotrzyletni absolwent antropologii Uniwersytetu Harvarda zbierał na wybrzeżu Morza Arafura kolekcję sztuki plemiennej. Od tego czasu pojawiło się wiele spekulacji na temat tego zaginięcia. Podobno w jednej z wiosek Asmatów znaleźli się rzekomi świadkowie wydarzeń, którzy potwierdzili, że biały, szczupły w okularach męż-

eprasa.pl 9062e47cf9

czyzna został przebity włócznią w żebra, poćwiartowany i zjedzony.

OSTATNI KOROWAJOWIE

Kanibalizm, swego czasu praktykowany przez większość mieszkańców Nowej Gwinei, od początku XX w. był surowo tępiony przez władze holenderskie, a potem indonezyjskie. Niektórzy misjonarze utrzymują, że żyjący w głębi interioru, zatrzymani w epoce kamienia Korowaje, do dziś pogrążeni w permanentnych wojnach klanowych, kultywują zakorzeniony w kulturze i wierzeniach rytuał. Zdobyte w potyczkach głowy są niezbędnym rekwizytem rytuałów inicjacyjnych, a ich liczba stanowi o statusie społecznym mężczyzny, który przyswoił sobie żywotność ducha i moc poległych wrogów. Na szczęście minęło już dużo czasu, kiedy zginęli ostatni przybysze z zewnątrz.

Irfan – nasz przewodnik, jeden z niewielu, którzy świetnie znają to terytorium i, co ważne, akceptowany przez miejscowych – twierdzi, że w dzisiejszych czasach biali mogą czuć się całkowicie bezpieczni. Uważa, że antropofagia faktycznie ma jeszcze miejsce. Jednak Korowaje nie zjadają swoich wrogów, a tych, którzy praktykują czarną magię. Kiedy ktoś zachoruje na nieznaną chorobę, przed śmiercią zwykle wymienia imię Kakua, czarownika, który rzucił na niego śmiertelną klątwę. Wtedy jego krewni zabijają winowajcę i zjadają nie tyle jego ciało, ile przebywającego w nim złego ducha Kakua właśnie, który przynosi nieszczęście i zagraża życiu innych.

Irfan mówi też o tym, że pomimo wielokrotnych nacisków ze strony misjonarzy protestanckich, przybyłych tutaj na przełomie lat 40. i 50. XX w., nigdy nie zgodzili się na porzucenie swoich tradycji, odmawiając noszenia „naszych ubrań", które zniekształciłyby ich wygląd i upodabniały do cyrkowych zjawisk. Nie pozwala przekazać przywiezionych zachodnich dóbr, nie chce, aby jakikolwiek przedmiot, pochodzący z cywilizowanego świata, zanieczyszczał tę populację. Dla niego bardzo ważne jest, aby te ostatnie plemiona nie utraciły swojej tożsamości kulturowej. Kocha swoją ziemię i jej różnorodność kulturową i nie chce, aby kilka tysięcy ostatnich Korowajów zostało zredukowanych – podobnie jak inne społeczności – do odgrywania błaznów dla białych turystów. Rząd zbudował drewniane domy w pobliżu Yaniruma specjalnie dla nich, aby przekonać ich do zamieszkania we wsi, ale nie bardzo chcą z nich korzystać. Zdarza się, że niektórzy akceptują zmiany wiodące ku bardziej stabilnemu i cywilizowanemu życiu. Ale czy porzucając las, który ich chroni i odżywia, są później szczęśliwi? Pamiętam, jak pierwszego dnia zachmurzyła się jego twarz, gdy mówił, że nigdy nie zabiera wędrowników w najgłębsze serce dżungli, gdzie pędzą żywot jeszcze autentyczni, silnie powiązani z obrzędami przodków, rdzenni mieszkańcy. „Linia demarkacyjna", wyimaginowana granica oddzielająca świat znany od enklawy prehistorii i pradawnych rytuałów, leży pięć dni marszu stąd.

Korowaj zwinnie dociera do swojego siedliska

Zdobyte w potyczkach głowy są niezbędnym rekwizytem rytuałów inicjacyjnych

Ostatni etap dziejowy Korowajów

ODCIĘCI OD ŚWIATA

Papua przyciąga tajemniczością. Niektóre jej regiony, jak Wamena czy dolina Baliem, stają się coraz popularniejszą destynacją turystyczną, a wędrówka w samo serce dzikiej Papui to już istny pięciogwiazdkowy rarytas dla najbardziej wymagających podróżników, wypatrujących mieszkańców krain odległych zarówno w sensie geograficznym, jak i czasowym, gotowych przy tym na ogromny wysiłek i różne zagrożenia.

Teraz, po uciążliwej, siedmiodniowej podróży przez bagnistą dżunglę, poprzecinaną gęstą siecią błotnistych rzek zamieszkanych przez krokodyle, jesteśmy w miejscu odciętym od świata, gdzie mieszkańcy, którzy codziennie walczą o przeżycie w ciężkich warunkach, nie kwapią się do kontaktów z cywilizacją. Te tereny są tak odległe i tak niebezpieczne, że nie zapuszczają się tu nawet indonezyjscy żołnierze. Pośród gaju palm sagowych, na zarośniętej powalonymi drzewami polanie, na wysokości naszego trzeciego piętra widnieją dwie nadrzewne rumah tingi, chatki, w której mieszkają rodziny z psami, świniami i kurczakami. Żadnej drabiny, tylko wysoka żerdź z głębokimi nacięciami. Z lasu wyłania się kobieta z psem w siatce na ramionach i dzieckiem na ręku. Patrzy na nas ukradkiem, po czym rześko wspina się po pniu, jedynej drodze do domostwa. Z platformy o wymiarach 5 x 8 metrów wychylają się ciekawskie twarze, przyglądają się nam uważnie, a po chwili schodzą zręcznie na ziemię.

FOT. ARCHIWUM J. PAŁKIEWICZA, SHUTTERSTOCK, A. MACIEJEWSKI

eprasa.pl 9062e47cf9

Autor wśród Papuasów

Ostatni na Nowej Gwinei ludzie „zawieszeni w konarach" zgrupowani są zwykle w kilka rodzin. Decydują się na izolację w obawie przed wrogimi klanami. Im wyżej na drzewie dom jest położony, tym większy jest stopień strachu przed wrogiem. Na tych wysokościach nie tylko jest chłodniej, lecz także jest mniej komarów, nie ma żyjącego na ziemi robactwa ani jadowitych pająków czy węży.

W tym swoim mikrokosmosie mieszkańcy czują się bezpiecznie, chronieni przed wszelkimi czarami i atakami wroga. A takim mogą być Kombai, z którymi regularnie ścierają się, wywołując krwawe waśnie. Dla tych ludzi nie istnieje żadna administracja państwowa, do lat 70. nie wiedzieli, że Ziemia jest okrągła i że gdzieś tam żyją inni ludzie, ale wierzą, że ich Ziemia składa się z czterech koncentrycznych kręgów. W pierwszym leży świat realny i namacalny, w drugim jego kraniec, w trzecim Wielka Woda zamieszkana przez gigantyczne ryby, a w czwartym niebo z gwiazdami.

Korowaje utrzymują się głównie z myślistwa, rybactwa i zbierania płodów leśnych. Żyją bardzo krótko, średnio ok. 35 lat. Ze względu na wysoką śmiertelność noworodków mają dziwny zwyczaj nadawania imion swoim dzieciom dopiero po ukończeniu 18. miesiąca życia. Małżeństwa zawiera się bardzo wcześnie, panuje tu poligamia i mężczyzna może mieć kilka żon. W przypadku śmierci męża prawo do wdowy i jej dzieci mają bracia zmarłego, którzy mogą zdecydować o jej poślubieniu lub oddaniu za żonę innemu mężczyźnie. Kuriozalny jest zwyczaj unikania kontaktu między mężem a teściową, nie mogą oni jeść przy tym samym palenisku, używać tych samych naczyń i w ogóle się widywać.

Towarzyszymy całodniowej pracy przy procesie przygotowywania sago. Mężczyzna ścina siekierą, cennym nabytkiem uzyskanym drogą barteru na targowisku oddalonym o kilka dni drogi, odpowiednią palmę. Po jej okorowaniu wkraczają do akcji kobiety, rozbijając drewnianymi młotkami wewnętrzną część pnia na miazgę. Taką pulpę drzewną później dokładnie przepłukują, otrzymując finalnie mączkę sagową. Stanowi ona ważne źródło pożywienia, w postaci podpłomyków czy zupy o galaretowatej konsystencji. Tę ostatnią jakoś przełknąłem, ale już nie miałem ochoty na bogate w białko larwy pędraków grubszych od palca, lokalny specjał wydobywany ze ściętej próchniejącej palmy. Dwóch moich współtowarzyszy odważyło się, ale przypłacili tę degustację biegunką.

W tym swoim mikrokosmosie mieszkańcy czują się bezpiecznie, chronieni przed wszelkimi czarami i atakami wroga

RYZYKOWNA PODRÓŻ

Po trzech dniach pobytu jutro opuścimy Korowajów. Irfan wyjawia, że i nasi gospodarze po pięciu latach porzucą swoje wyniszczone domki i przemieszczą się w nowe miejsce, gdzie jest więcej zwierzyny.

Przed zaśnięciem zapisuję w moleskinie: temperatura 37 stopni i 92 proc. wilgotności. Pod moskitierą z tiulu spryskaną repelentem od żarłocznych moskitów wspominam trudy naszej przygody. Jest nas czterech i mamy do dyspozycji 16-osobową ekipę wsparcia, a wśród niej są przewodnik, dwóch tłumaczy (języka angielskiego i lokalnego), kucharz, jego pomocnik i tragarze. Najpierw lecieliśmy awionetką Trigana Airways z Wameny do Agats. Podczas lotu wydawało się, jakbyśmy jechali autobusem drogą pełną wertepów, było mnóstwo wstrząsów i wibracji, ponadto na krótko przed lądowaniem śmigło prawego silnika zaczęło niepokojąco przerywać. Wyprawa na Nową Gwineę to nie tylko ryzyko wypadku lotniczego, które nie są rzadkością, lecz także malarii, pasożytów przewodu pokarmowego czy choroby skóry, a także złamania nogi albo ukąszenia jadowitego węża na dzikich bagnach w odległości kilku dni marszu od najbliższej prymitywnej wioski, co mogłoby być wyrokiem śmierci dla nieszczęśnika. Potem czekała nas długa żegluga łodzią wyposażoną w dwa 40-konne silniki i wreszcie sześć długich dni przedzierania się po osiem godzin dziennie przez wszechobecne błota, pokonując rwące po zwalonym w poprzek zdradliwie oślizgłym pniu drzewa potoki, klucząc w gęstwinach ciernistych krzewów pod strugami ulewy przypominającej Sąd Ostateczny. Nieustannie w mokrej od potu lub deszczu odzieży, odpierając ataki pijawek i mrowia owadów żądlących bezlitośnie przez ubranie.

Natura ukazała nam swój fascynujący, chociaż też groźny zarazem majestat. W obecności tego nieskażonego i dzikiego sanktuarium zmęczenie i nieodłączne towarzystwo komarów wydawało się bardziej znośne. Dni mijały powoli, zmierzając w nieznane, cofaliśmy się w przeszłość, coraz bardziej zostawiając za sobą efemeryczne bezpieczeństwo zachodniej cywilizacji.

Teraz wracamy do domu pełni wrażeń resztek uchodzącego do historii świata. Często będą mnie pytać o kanibalów. „Wciąż jest nam potrzebny mit pierwotnego osobnika, jeszcze lepiej, jeśli kanibalizmu – mówił mi kiedyś australijski antropolog Chris Ballard. – Lubimy myśleć o istnieniu pozaczasowych, skrystalizowanych w fazie prehistorycznej istnień, bez jakiejkolwiek ewolucji i przemian społecznych. Ta bajka zapewnia o naszej wyższości i progresywności. Dlatego wolimy, aby Dzikus był nagi i prymitywny, charakteryzujący się cechami, które dawno porzuciliśmy".

Przemysł turystyczny kusi egzotycznym programem, tajemniczy łowcy głów silnie działają na wyobraźnię, wzbudzając dreszcz ekscytacji, i „archaiczne" społeczności nauczyły się dawać białym to, co chcieliby uwidzieć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9062e47cf9

REPUBLIKA

Najnowszy program Republiki to innowacyjny format telewizyjny w Polsce. Dwóch gości – polityków z różnych ugrupowań. Trzy rundy z pytaniami dziennikarzy Republiki o najważniejsze tematy dnia. Krótki czas na odpowiedź. Na koniec runda na wzajemne pytania gości.

CODZIENNIE

14:10

w Telewizji Republika

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl 9062e47cf9

HYUNDAI KONA

FOT. JAP

Odważny, futurystyczny wygląd tego miejskiego crossovera pozwala Hyundaiowi wyróżnić się wśród masy konkurencyjnych modeli crossoverów klasy B.

Kona drugiej generacji jest minimalistyczna nie tylko z zewnątrz, lecz także w środku. W przestronnej kabinie – auto podczas liftingu istotnie urosło – uwagę przykuwa nowoczesny kokpit z dwoma wyświetlaczami wysokiej jakości.

Na szczęście futurystyczne wzornictwo konstruktorzy z Korei Południowej sprawnie połączyli z praktycznością. Na przykład nowoczesnym i ergonomicznym rozwiązaniem jest umieszczenie selektora do automatycznej skrzyni biegów przy kierownicy. Taki zabieg pozwolił konstruktorom wygospodarować sporo miejsca w tunelu środkowym: na kubeczki, drobiazgi, a także na ładowarkę bezprzewodową oraz przyciski do obsługi podgrzewanych i wentylowanych foteli etc. Schowki, półeczki są dobrze przemyślane. Dobrze też, że np. klimatyzacją nadal steruje się za pomocą pokrętła. Same fotele są bardzo komfortowe, a pokryte białą skórą sprawiają, że nagle robi się jakby luksusowo... Bardzo wygodnie jest też na tylnej kanapie. Miejsca na nogi nie brakuje. Są osobne nawiewy i porty do ładowania, opcja podgrzewania. No naprawdę ładnie. Kufer ma 466 l pojemności, co w tej klasie również zasługuje na pochwałę. W tej beczce miodu jest też łyżka dziegciu: nieco za dużo tu twardych plastików.

Auto dostępne jest w wersjach benzynowej, hybrydowej oraz całkowicie elektrycznej. Testowany egzemplarz Kony miał pod maską silnik 1.6 T-GDI o mocy 198 KM. Auto od zera do pierwszej setki przyspiesza w 8,1 s. I chociaż nie jest stworzone do wyścigów spod świateł, to prawdziwy użytkownik nowoczesnego crossovera doceni zapewne spokojną pracę dwusprzęgłowej, siedmiobiegowej automatycznej skrzyni biegów. Średnie spalanie (miasto – trasa – autostrada) wyniosło podczas testu 7,4 l/100 km.

Na pokładzie jest też wiele systemów realnie zwiększających bezpieczeństwo (w tym nie tylko ostrzeganie przed autami znajdującymi się akurat w martwym polu, lecz także system ukazujący po włączeniu kierunkowskazu widok z kamer umieszczonych pod lusterkami na wyświetlaczu kierowcy, np. w miejscu prędkościomierza lub obrotomierza).

Najtańsza benzynowa Kona Smart z silniczkiem 1.0 o mocy 120 KM, manualną skrzynią biegów i napędem na jedną oś kosztuje 108,4 tys. zł. Wersja Executive z silnikiem 1.6 T-GDI o mocy 198 KM z manualem i napędem na jedną oś to wydatek 127,4 tys. zł. Za testowaną wersję Platinium z silnikiem 1,6 T-GDI, automatyczną skrzynią (7DCT) oraz napędem na wszystkie łapy trzeba zaś zapłacić co najmniej 164,9 tys. zł. ©℗

SMARTFON REALME 12+ 5G

Świetny stosunek ceny do jakości, ciekawe wzornictwo, ekran AMOLED z odświeżaniem 120 Hz, pojemna bateria i modem 5G – to największe zalety smartfona ze średniej półki chińskiej firmy realme, którego premiera nad Wisłą odbyła się w ubiegły wtorek.

Na pochwałę zasługuje wzornictwo, które znacząco wykracza ponad wymogi średniej półki cenowej. W projektowaniu tego modelu wziął udział francuski designer Ollivier Savéo, który wcześniej odpowiadał za wzornictwo takich luksusowych zegarków jak Rolex, Roger Dubuis, Piaget, Breitling etc. Nie ma się też do czego przyczepić, jeśli chodzi o jakość wykonania.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Plecki z wegańskiej skóry wyglądają ciekawie, a przy okazji są mniej podatne na zabrudzenia. Dobrze prezentuje się także ekran AMOLED o przekątnej 6,67 cala z maksymalnym odświeżaniem na poziomie 120 Hz i rozdzielczością Full HD+. Kolory wyglądają dobrze, a treści są widoczne nawet przy mocno prażącym słońcu (maksymalna jasność wynosi w tym modelu aż 2000 nitów).

Sercem urządzenia jest wykonany w technologii 6 nm MediaTek Dimensity 7050 5G współpracujący z 8GB/12GB pamięci RAM. Nie jest to najmocniejszy procesor na rynku, ale nieźle radzi sobie nie tylko z aplikacjami, lecz także z mniej wymagającymi grami. Na dane producent przewidział 256 GB lub 512 GB pamięci.

Testowany smartfon wyposażony jest w optyczną stabilizację obrazu (OIS) od Sony oraz aparat główny z matrycą Sony LYT-600 o rozdzielczości 50 MP. Jasność głównego obiektywu wynosi f/1.88. Jakość zdjęć zrobiona w dobrym oświetleniu jest niezła jak na model ze średniej półki, choć niekiedy zdarza się, że są za bardzo wyostrzone, a kolory są mocno przesycone. Z kolei fotografie zrobione w nocy są już tylko przyzwoite, czyli jak najbardziej nadają się do oglądania później na ekranie smartfona, ale na monitorze lepiej już ich nie otwierać, a już tym bardziej nie próbować ich drukować (bo zobaczymy sporo szumów). Kamerka do selfików ma rozdzielczość 16 MP.

Plusem jest bateria o pojemności 5000 mAh z możliwością ładowania 67 W. Szkoda, że nie znajdziemy jej w zestawie. Inne minusy? Teoretycznie można ustawić odświeżanie adaptacyjne, ale smartfon nie zawsze dobrze sobie z tym radzi. Warto więc na stałe ustawić poziom 120 Hz.

Smartfon Realme 12+ 5G w wersji z 12 GB pamięci RAM i 512 GB pamięci na dane do 30 maja ma kosztować 1699 zł. Z kolei za wersję z 8 GB RAM/256 GB pamięci na dane trzeba zapłacić 1399 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 9062e47cf9

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Założce uratowane przez kurę

JACEK KOMUDA

Zamek w Założcach, zbudowany na początku XVI w. przez Marcina Kamienieckiego nad Seretem, na północny zachód od Tarnopola, dziś znajduje się w stanie ruiny. Jedynie sama grubość kamiennych murów i ich rozmieszczenie pokazują, że niegdyś była to okazała, trzypiętrowa budowla zaopatrzona w baszty i bramę od strony południowej. Kiedy po Kamienieckich warownia przeszła w ręce Wiśniowieckich, przebywał tutaj, na dworze Konstantego, pierwszy samozwaniec – Dymitr podający się za cudownie uratowanego carewicza, syna Iwana Groźnego. Tutaj zapewne obmyślano plany przyszłej wyprawy po carski tron, która ruszyła późną jesienią 1604 r. i przyniosła osadzenie w Moskwie tego pretendenta.

RYS. MART

Książę Jeremi Wiśniowiecki przebywał tutaj w młodości po tym, jak jego ojciec Michał zmarł otruty w 1616 r. w Mołdawii w trakcie przyjmowania prawosławnej Komunii Świętej (truciznę podano w komunikantach). Po śmierci matki był wychowywany przez stryja Konstantego.

Zamek, w którym znajdowały się liczne kosztownosci, pokoje gościnne, biblioteka, kaplica i skarbiec, został zdobyty i złupiony przez zbuntowanych kozaków Chmielnickiego w 1649 r. Znacznie później, po latach, został odnowiony przez Dymitra Wiśniowieckiego, hetmana wielkiego koronnego i wojewodę krakowskiego. Był on z kolei wychowankiem wspomnianego Jeremiego, kniazia „Jaremy", z którym uczestniczył w obronie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zbaraża i bitwie pod Beresteczkiem. W 1673 r. jako hetman dowodził centrum szyku polsko-litewskiego w wielkiej bitwie pod Chocimiem, która zmazała hańbiący układ pokojowy podpisany w Buczaczu, czyniący z Rzeczypospolitej wasala tureckiego. Jednocześnie był jako wódz poważnie skonfliktowany z królem Janem III, gdyż należał do prohabsburskiego stronnictwa politycznego. W dawnym województwie ruskim posiadał zaś poza Założcami także Wiśniowiec i Zbaraż.

Właśnie z czasów panowania Jana III Sobieskiego pochodzi tytułowa legenda o cudownym ocaleniu zamku przez kurę. Otóż w 1675 r. – jak podaje „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich" – podczas wojny Rzeczypospolitej z Turcją Ibrahim Szyszman, turecki wódz, wysłał tutaj kilku baszów ze znacznym oddziałem wojska, aby opanować twierdzę. Jednak Turcy postanowili najpierw przeprowadzić wróżbę. Wypuścili zatem z obozu czarną kurę w stronę zamku, ta zaś z gdakaniem powróciła w szeregi muzułmańskie. Uważając to za zły omen, najeźdźcy poprzestali na spaleniu miasteczka i cofnęli się pod Zbaraż, nie tykając zamku. Tyle legenda, w rzeczywistości Turcy przeprowadzili dwa nieudane szturmy, po czym przerwali oblężenie po poniesieniu dużych strat.

Najlepsze lata dla zamku to połowa XVIII w., kiedy stał się własnością Józefa Potockiego, regimentarza konfederacji dzikowskiej zawiązanej dla obrony króla Stanisława Leszczyńskiego i późniejszego hetmana. Podniósł on Założce do rangi prawdziwie magnackiej rezydencji. Niestety, po jego śmierci w 1751 r. zamek zaczął gwałtownie podupadać, a kiedy w 1790 r. nabył go Ignacy Miączyński, szambelan królewski, nie nadawał się do zamieszkania. Pomimo tego jednak nowy właściciel założył tutaj najpierw manufakturę sukna, a później kilimów założieckich. Kolejny właściciel, hrabia Włodzimierz Dzieduszycki, prowadził browar, który utrzymał się dłużej niż poprzednie wytwórnie. Niestety, pod koniec XIX w. zamek był już ruiną i służył okolicznym mieszkańcom jako skład materiałów budowlanych – obrobionego kamienia i cegieł.

Ostateczny cios zadała mu pierwsza wojna światowa, w czasie której warownia została ostrzelana przez artylerię. Dziś pozostały z niej resztki murów, jedynie oczyma wyobraźni możemy odtworzyć pełny wygląd tego renesansowego zamku.

W pobliskich Założcach znajduje się jeszcze kilka zabytkowych budowli, niestety, mocno zaniedbanych. Jest tam kościół parafialny pw. Niepokalanego Poczęcia NMP ufundowany w 1639 r. przez ród Wiśniowieckich, gdzie znajdowała się też ich krypta grobowa; obecnie zrujnowany. Innym ciekawym miejscem jest dawny kościół Augustianów, zamieniony na cerkiew pw. Opieki Matki Bożej i przekazany unitom przez Austriaków na początku XIX w. ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Botwina, boćwina czy botwinka?

Botwina to młode liście i korzenie pospolitego buraka. Boćwina od botwiny różni się wyglądem liści oraz tym, że to potoczna nazwa buraka, ale buraka liściowego inaczej zwanego kapustą rzymską lub burakiem szpinakowym. Roślina ta pochodzi z basenu Morza Śródziemnego. Liście boćwiny są grubsze i większe, te bardziej okazałe możemy wykorzystać nie tylko na zupę, lecz także do zawijania w nie mięsa, pieczenia, duszenia.

Botwinka kojarzy się z wiosną i wiosną smakuje szczególnie. Jest prawdziwą „królową sezonu". Możemy ją wykorzystać do zrobienia chłodnika, dodać jej liście do świeżej sałaty czy zrobić botwinkę na ciepło. Znalazłyśmy również przepis na zupę z kurczakiem i warzywami z dodatkiem liści botwiny. Najpopularniejszy jest oczywiście chłodnik litewski gotowany na kościach cielęcych z dodatkiem jajka.

Z liści boćwiny możemy przygotować gołąbki, czyli zawinąć farsz mięsny lub warzywny. Natomiast grube łodygi boćwiny możemy przygotować tak jak szparagi i przygotować z sosem holenderskim. Liście botwiny są bogactwem witamin A, C, B, K2, a także żelaza, magnezu i kwasu foliowego. Zawierają fitohormony podobne do estrogenów, pomagają w stanach napięć nerwowych i wspierają organizm w leczeniu infekcji. Ze względu na zawartość żelaza pomagają leczyć anemię, gdyż wspierają produkcję hemoglobiny i czerwonych krwinek.

Warto pamiętać, by do potraw z botwiny dodawać nabiał, który zrównoważy wypłukiwany przez szczawiany wapń. Botwinka doskonale wpływa na równowagę kwasowo-zasadową w organizmie i sprawia, że nasza skóra wygląda promiennie i zdrowo. Warto częściej sięgać po to cudowne warzywo.

Domowa botwinka

• 1 pęczek botwinki, młodych buraczków • 1 litr bulionu warzywnego lub wywaru na kościach • 1 młoda marchew • 1 pietruszka • 1 por • 4 duże ziemniaki • 2 łyżki soku z cytryny • 2 ząbki czosnku • śmietana kwaśna 30- lub 18-procentowa • pęczek koperku

Bulion zagotować, buraczki obrać, opłukać i zetrzeć na tarce, liście pokroić, pozostałe warzywa również zetrzeć na tarce. Wrzucić warzywa na gotujący się wywar, dodać przeciśnięty przez praskę czosnek. Dodać pokrojone w kostkę ziemniaki. Gotować ok. 20 min do miękkości warzyw. Na koniec dodać śmietanę i pokrojony koperek. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Święto wiosny

Smutek interregnum między Oscarami a festiwalem w Cannes próbuje wypełnić kilka imprez. Mają zapewnić widzom odskocznię od szarego życia, a portalom wzmożoną klikalność. Nieważne, o co tam chodzi, jakie będą konkursy, nagrody, laureaci. Pomińmy śpiew i taniec. Nie trzeba nawet doczekać końca. Samo oglądanie uczestników zapewnia rozrywkę porównywalną z niegdysiejszą wycieczką do cyrku.

Eurowizja oderwała od bieżących zajęć połowę mieszkańców naszej ojczyzny.

„Czy my, normalni ludzie, naprawdę tak to widzimy?" – pyta internauta adrian982.

„Kozły, pentagramy, tańce na krzyżu, mrok, ognie, tańce bez gaci, stare pogańsko-runiczne, odwrócone krzyże. Symbolika satanistyczna sięgała gwiazd".

„Koleś bez spodni, satanistka z Irlandii i koleś na obrotowym podeście udający gotowe danie w mikrofali. Nasza keczupowa lejdi gaga niestety nie była na tyle żenująca, żeby dostać się wyżej. Żenada na festiwalu trzyma bardzo wysoki poziom" – zauważa n3mezis.

Eurowizja może wydawać się zabawą w remizie w porównaniu z dorocznym balem Metropolitan Museum w Nowym Jorku, ale gdy się bliżej przyjrzeć, na Manhattanie także goście dali z siebie wszystko, żeby ich kreacje nie pozostały niezauważone. Bal MET jest świętem mody, na które zaprasza Anna Wintour, szefowa amerykańskiego „Vogue". Impreza jest charytatywna, zaszczyt uczestniczenia opłaca się kwotą kilkudziesięciu tysięcy dolarów. Zrozumiałe, że taki honor nie może być wyrażony byle suknią haute couture czy pospolitym smokingiem z atłasowymi wyłogami. To dobre dla prowincjuszy, elita jest bardziej kreatywna.

Tegoroczne hasło imprezy sprzyjało pomysłowości: Śpiąca Królewna i przebudzenie wiosny. Satanizmu nie było, powodzeniem cieszyły się motywy entomologiczne, np. maski ochronne pszczelarzy i siatki przeciw komarom. W roli ochrony przed nieokiełznaną przyrodą niezbędne mogły też okazać się szyszaki z metalowej siatki. Trudno powiedzieć, jaki związek z wiosną miała srebrna suknia od Balenciagi – aktorka Michele Yeoeh wyglądała w niej jak zawinięta w folię aluminiową, w którą już raz zawinięto kanapki. Groźnie wyglądał amerykański projektant Marc Jacobs z czarnymi pazurami długości równej palcom.

Dwuznacznie skromna beżowa suknia Pameli Anderson – po prostu suknia, nie przebranie – oraz jej pogodna, roześmiana twarz wyglądały zadziwiająco świeżo na paradzie groteskowych pomysłów. Nadmiar słońca Pameli nie zaszkodził, a opalenizna to chyba jeszcze wspomnienie szczęśliwych czasów „Słonecznego patrolu". Ach, gdzież wy jesteście? ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Prawda o Ukrainie

Odwiedziła mnie moja przyjaciółka z Kijowa, Elina. Przesiadała się w Polsce z pociągu na samolot do Brukseli, gdzie zapisała się na jakieś szkolenie w temacie start-upów. Rozmowy ciężkie, bo pamiętam jeszcze ten optymizm sprzed dwóch lat, że się da pogonić Ruskich. Teraz Elina mówi już co innego, a jest kogo posłuchać, bo ona coś tam kombinuje z ukraińskim wojskiem. Jest ciężko, oni już zauważają, że wszyscy zostawili ich w maszynce do mięsa. Coś jakbyś gadał z kimś, kto przeżył kampanię wrześniową z 1939 r. Pokazała mi swoje aplikacje na telefonie, jak wyglądają alarmy – są aż zbyt dokładne, bo pokazują, gdzie spadną rakiety, ale z takim wyprzedzeniem, że możesz się tylko pomodlić. Teraz główną zaletą przy wyborze mieszkania czy domu jest dobrze umocniona piwnica. Inny świat.

Ale chcą do Unii. Człowiek słucha tych wszystkich naiwności z korzyści członkostwa i widzi… siebie sprzed 20 lat. Ja wiem, że dla Ukraińców to ważny, może symboliczny ruch, ale nie wiedzą, do czego tak lgną. Już pomijam te wszystkie zieloności i tęczowości, ale upatrywanie w Brukseli gwarancji bezpieczeństwa to już nie tylko hurraoptymizm, lecz także brak wyciągania wniosków z postaw Zachodu w obecnej wojnie. Ale co ja im tam, w tej wojnie, będę ściągał różowe okulary…

Nie wiedzą, że z tą akcesją to tylko takie gadanie. Że będzie, że wkrótce. Jak Zachód nie da nawet hełmów, to daje chociaż nadzieję. Na razie zrobi się poczekalnię, w której Ukraina będzie przebywać w szarej strefie. Już z dostępem do jednolitego rynku, ale bez zobowiązań wynikających z tego faktu. To, że taka szara strefa wykończy resztę Europy (jak chociażby rolnictwo), to już tylko ukrywana logiczna konsekwencja takich działań. To już Ukraińców, co zrozumiałe, nie obchodzi.

I jak się już zużyje Ukrainę do realizacji ideologicznych celów globalistów europejskich, to zostanie ona odrzucona jak kamień budowniczych. I nie będzie żadnym kamieniem węgielnym. Ukraina nie zostanie wypuszczona z tej poczekalni. Przyda się, bo w swej nadziei, że zostanie wpuszczona na zbawcze salony, będzie popierać taktycznie wszelkie działania, nawet te symulujące pomoc tych, którzy trzymają klamkę europejskiego przedpokoju – Niemców.

Tego oczywiście Elinie nie powiedziałem. Odwiozłem ją na Okęcie, by poleciała na szkolenie o start-upach, dla kraju, w którym już nikt nie zainwestuje. Co ja jej mam powiedzieć? Że teraz padło na nich to, co my już raz przeżyliśmy? Ale coś mi się wydaje, że chcemy to przeżyć jeszcze raz… ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Strażnicy tęczowych przywilejów

Polska najbardziej homofobicznym państwem w UE" – grzmią nagłówki portali. Według rankingu „Rainbow Map" ILGA-Europe nasza obecność na szarym końcu wynika z podsumowania kilku kategorii, wśród których są m.in. „Rodzina", „Przestępstwa z nienawiści i mowa nienawiści" oraz „Integralność cielesna osób interpłciowych".

Nie wdając się w istotę pierwszej i trzeciej kategorii, choć temat wart jest osobnego felietonu, ważna jest dla mnie dziś kwestia tzw. mowy nienawiści. Ranking jest niczym innym jak kolejną polityczną pałką – narzędziem neomarksistowskiej rewolucji. ILGA-Europe to federacja zrzeszająca samych zainteresowanych, czyli organizacje ruchu homoseksualnego. Jak zastrzegają się autorzy, nie są tu badane postawy społeczne, lecz stan regulacji prawnych, czyli to, na ile dane państwo uległo roszczeniom środowisk LGBT+.

Pod rządami nowej koalicji ministrowie Śmiszek, Kotula, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk dostają nowy argument w walce o forsowanie przywilejów dla tęczowych mniejszości. W dniu, gdy ogłoszono ranking, w Warszawie trwała kolejna rozprawa z serii procesów wytoczonych przeciwko stowarzyszeniu Rodzin Wielodzietnych Warszawy i Mazowsza przez organizacje LGBT+. Rodzice i działacze społeczni zostali pozwani o rzekome naruszenie dóbr osobistych aktywistów, ponieważ w broszurze informacyjnej wysłanej do kilkudziesięciu tysięcy szkół w Polsce znalazły się ostrzeżenia, czym jest w praktyce tzw. edukacja antydyskryminacyjna. Procesy trwają już siedem lat, a ich istotą jest to, czy edukatorzy – rzekomo antydyskryminacyjni – mogą wchodzić do szkół ze swoimi treściami, a skoro wchodzą, to czy rodzice mogą także przekazać dyrekcjom szkół ostrzeżenia o ideach i celach politycznego ruchu homoseksualnego.

Samo cytowanie naukowych badań i statystyk dotyczących zagrożeń zdrowotnych i skutków społecznych obserwowanych w krajach, gdzie tęczowa rewolucja zagnieździła się w edukacji, sądy w Polsce traktują jako naruszenie dóbr. Obserwowałem rozprawę i wszystko wskazuje na to, że aktywiści LGBT+ wygrają ten proces. Jeśli Polska (co bardzo prawdopodobne) przyjmie ustawę o mowie nienawiści, to działacze „równościowi" nie będą już musieli wytaczać procesów – zrobi to za nich prokurator. Karą zaś nie będą kosztujące setki tysięcy złotych publikacje przeprosin, lecz wyroki bezwzględnego więzienia. ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Sęk jest w tym pogrzebany

Chyba przebiła, ale niech państwo ocenią sami. Stop. Chyba minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska przebiła byłą premier Ewę Kopacz werbalnie. Stop. Ewa Kopacz opowiadała w czasie wywiadu: „Przypomnę trochę dawne czasy. Wtedy, kiedy jeszcze dinozaury były, a ludzie nie mieli strzelb i nowoczesnej broni, która pozwoliłaby ich zabić. Wie pani, co robili? Rzucali kamieniami w tego dinozaura. Wiadomo, że od jednego rzucenia na pewno nie padł. Ale jeśli przez miesiąc, dwa rzucali tymi kamieniami, to go na tyle osłabili, że mogli go pokonać". Stop. Sęk jest w tym pogrzebany, że dinozaury żyły miliony lat przed pojawieniem się człowieka na Ziemi, więc człowiek nie mógł do nich strzelać, nie mógł ich oglądać i nie za bardzo mógł w nie rzucać kamieniami. W zasadzie wiedzą to dzieci w szkole podstawowej, ale... Stop.

Z kolei pani minister Hennig-Kloska w czasie wywiadu rzekła: „Z Polski firmy uciekają dziś głównie dlatego, że mamy najbardziej emisyjną gospodarkę w Europie, a firmy chcą już przechodzić na czystą energię. Zmiana w energetyce jest potrzebna, by nasza gospodarka była konkurencyjna". Oraz dodała: „Są badania, które pokazują, że jeśli o 5 stopni wzrośnie temperatura na świecie – dziś jesteśmy na poziomie 1,5 stopnia – to będziemy mieli fale upałów praktycznie obejmujące cały rok". Stop. Koncept, że przedsiębiorcy kierują się nie zyskiem, a zeroemisyjnością, jest śmiały, natomiast upał przy temperaturze np. 5 stopni nie jest zbyt łatwy do wyobrażenia. Stop. Z satysfakcją stwierdzamy, że pojawili się jednak merytoryczni obrońcy pani minister, akcentujący, iż w przeszłości ministra należała do Nowoczesnej Ryszarda Petru...

A to podam jeszcze jedną ważną wypowiedź z wywiadu znanej polityk, tym razem z Trzeciej Drogi, Róży Thun. Stop. „Nie udawajmy ekspertów, którzy muszą coś poprawiać, co zostało przygotowane przez najlepszych specjalistów, jakich mamy na tym kontynencie" – powiedziała w RMF FM. Stop. Nie podzielam zaufania do zielonkawych ekspertów, ale zastanawia mnie jedno: Jak progresywne poglądy pani Róży są akceptowane przez rolników, a nawet wręcz chłopów z PSL? Jak?

I na koniec perełeczka: Hanna Gronkiewicz-Waltz ogłosiła, że kandydować będzie z list Koalicji Obywatelskiej do Parlamentu Europejskiego, i natychmiast pozyskała nie lada zwolennika. Stop. Znany i szanowany łódzki Żyd Jarek Papis-Rosenbaum napisał na portalu X: „Pani Żydom przywróciła wiarę! Wielu z nas odnalazło po latach swoich bliskich, pomyłkowo uznanych za zamordowanych. Dała nam Pani nadzieję, że można żyć grubo ponad 120 lat, których to sobie zwyczajowo życzymy. L'haim, droga nasza Haniu kochana! L'haim!". ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

W ogniu trudnych pytań

Zaskakującą refleksją podzielił się ostatnio z czytelnikami portalu onet.pl jeden z czołowych polskich ekspertów wojskowych, płk Piotr Lewandowski. „Na początku Ukraińcy, ale i Zachód zaczął przedstawiać Rosjan jako całkowicie niekompetentnych. Że to orki, mobiki. Ja tych pojęć nigdy nie używałem, uważałem, że one mogą stać się groźne. Dlaczego? Dlatego, że w momencie, kiedy Rosjanie uzyskali przewagę, pojawia się trudne pytanie: jak to możliwe, że ten głupkowaty przeciwnik nagle zaczyna z nami wygrywać?".

Pytanie płk. Lewandowskiego jest zupełnie zasadne. Propagowanie „groźnych" i prowokujących dziś „trudne pytania" opinii przypisuje on jednak Zachodowi i Ukraińcom. „Przy przekazie propagandowym »patrzcie, jacy Rosjanie są marni« nagle okazuje się, że armia ukraińska zaczyna się cofać. I teraz trudno zmienić taką narrację. Bo trzeba uderzyć się w piersi i powiedzieć: patrzcie, nie skompensowaliśmy swoich słabości".

Wygląda na to, że nie tylko polscy politycy nabrali ostatnio fatalnego zwyczaju wycofywania się z niedawno wypowiadanych sądów, zaprzeczania im „w żywe oczy" i wmawiania czytelnikom, że mówiło się coś całkiem innego. Ten sam płk Lewandowski, który oburza się dziś na przypadki przedstawiania Rosjan jako przeciwników niekompetentnych i „głupkowatych", tak wypowiadał się o nich dla portalu polukr.pl: „Idealny oficer armii rosyjskiej jest pasywny i przeciętny: mierny i bierny [...]. Tam przygotowanie oficerów jest słabe, aż do generałów. Tam oficer nie jest przyzwyczajony do tego, by szybko reagować na zmiany na polu bitwy, do poszukiwania nowych i twórczych rozwiązań. Sztab rosyjski jest po prostu przestarzały". W wywiadzie udzielonym przed rokiem portalowi dziennik.pl nie tylko oficerowie i sztab, lecz także cała armia rosyjska okazywały się, zdaniem płk. Lewandowskiego, „byle jakie". „No bo to jest po prostu zwykłe bylejactwo wynikające z bylejactwa systemu, w którym żyją. A ten system się robi coraz bardziej byle jaki. Bo Putin nie stworzył porządnego państwa, stworzył państwo byle jakie i ma byle jaką armię".

Kogo namawia dziś autor powyższych analiz do „uderzenia się w piersi"? Czyżby samego siebie? Czy nazywanie rosyjskiej armii „byle jaką" różni się diametralnie od odmawiania jej kompetencji? Pułkownik Lewandowski umiejętność odwracania kota ogonem i wypierania się własnych słów traktuje zapewne jako rodzaj „szybkiego reagowania na zmiany na polu bitwy". Zbyt wielu polskich wojskowych opanowało tę sztukę do perfekcji. ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kant bez dwóch skrzydeł

Na terenie Rosji znajduje się grób największego filozofa epoki europejskiego oświecenia. Chodzi o Immanuela Kanta, którego doczesne szczątki spoczywają w Królewcu należącym po 1945 r. do Związku Sowieckiego, a od 1991 r. do Rosji. Skoro miasto nad Pregołą, z którego Kant nie ruszał się przez całe swoje życie, znalazło się w Sowietach, to i wszystko, i wszyscy tam znajdujący się byli sowieccy.

Zupełnie jak mormoni, którzy „przepisują" dawno zmarłych przodków do swojego „Kościoła", tak i niektórzy propagandyści w czasach ZSRS nazywali Kanta jednym z największych „sowieckich filozofów". Gdy w epoce jelcynowskiej przez moment zastanawiano się nad zmianą nazwy miasta z obecnej, upamiętniającej jednego z sowieckich zbrodniarzy (Kalinina, którego podpis znajduje się m.in. na wyroku śmierci dla tysięcy polskich oficerów zamordowanych przez NKWD w 1940 r.), rozważano koncepcję „Kantogradu". Po dojściu do władzy Putina również nad Pregołą zwyciężył ruski mir obejmujący w Moskwie i Chrystusa Odkupiciela (wielki prawosławny sobór, odbudowany od fundamentów), i Jego śmiertelnego wroga, który utopił rosyjską Cerkiew w morzu krwi (wciąż utrzymywane mauzoleum z truchłem Lenina w środku), a w Królewcu Kalinina i Kanta.

Pozostawiając na boku wszystkie kanty ruskiego miru, powróćmy do autora „Krytyki czystego rozumu". Tym bardziej że przypadająca w tym roku 300. rocznica jego urodzin skłania do refleksji nad znaczeniem myśli pruskiego filozofa. Należy zacząć od tego, że akurat Kant w pełni zasługiwał na to miano w przeciwieństwie do publicystów o zacięciu filozoficznym w rodzaju Woltera, Diderota czy Rousseau. Wiek XVIII był okresem inflacyjnego mnożenia się „filozofów". Wystarczyło być ateistą i głośno drwić z najświętszych dla chrześcijan prawd wiary oraz być dobrze „usieciowionym" w różnych jawnych (salony) i tajnych (wolnomularstwo) towarzystwach wpływających na kształtującą się wówczas opinię publiczną, by zostać „filozofem". Wszystkie te warunki spełniał władca Prus Fryderyk II, fetowany powszechnie w salonach i lożach jako „król filozof".

Duch człowieka zbliża się do kontemplacji Prawdy na dwóch skrzydłach, wiary i rozumu – pisał św. Jan Paweł II. Filozofia Kanta skutecznie podcinała obydwa te skrzydła

W czasie panowania tego Hohenzollerna, darzącego szczerą nienawiścią Prusy Wschodnie od czasu, gdy ich mieszkańcy w czasie wojny siedmioletniej (1756–1763) nazbyt skwapliwie złożyli przysięgę na wierność rosyjskiej carycy Elżbiecie, dojrzewała myśl Immanuela Kanta. Do dzisiaj dzieła filozofa z Królewca są czytane. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że w XXI w. obok Clausewitza (autora słynnego traktatu „O wojnie") jest on najbardziej wpływowym autorem wywodzącym się z dawnej monarchii Hohenzollernów.

Na początku XX w. George Santayana wskazał Kanta jako głównego sprawcę rozwoju „egotyzmu niemieckiej filozofii". Amerykański myśliciel nawiązywał w ten sposób do tego, że to autor „Krytyki czystego rozumu" jest powszechnie uznawany za twórcę niemieckiej filozofii idealistycznej. Kant unieważniał filozofię realistyczną (filozofię bytu), sięgającą swoimi korzeniami metafizyki epoki klasycznej (Arystoteles), która za sprawą takich wielkich myślicieli jak św. Tomasz z Akwinu stała się podstawą dla katolickiej filozofii i teologii. Pruski filozof utrzymywał bowiem, że ludzki rozum nie jest w stanie pojąć, ba, stwierdzić istnienia takich „rzeczy samych w sobie" jak Bóg, nieśmiertelność, prawda, wolność. Jednak człowiek nie jest w stanie bez nich się obejść. „Rozum praktyczny" nakazuje więc przyjąć ich istnienie. Kant mówi: „Powinienem, więc jestem". Bóg Kanta nie mówi: „Jestem, który jestem", ale: „Jestem, bo powinienem być".

Jak podkreślał Marian Zdziechowski, filozofia Kanta jest apoteozą woli, by nie powiedzieć triumfem woli. Jednak w sytuacji, gdy człowiek dojdzie do wniosku, że nie jest jego powinnością uznawanie istnienia Boga oraz stosowanie się do ustanowionego przezeń prawa moralnego (a odkrywanego „we mnie"), otwiera się droga do pojmowania Boga jako „stałego rozwoju" (Hegel) lub po prostu Jego zanegowania (Feuerbach – uczeń Kanta i mistrz młodego Marksa).

Duch człowieka zbliża się do kontemplacji Prawdy na dwóch skrzydłach, wiary i rozumu – pisał św. Jan Paweł II. Filozofia Kanta skutecznie podcinała obydwa te skrzydła i zachęcała do kontemplowania świata własnych myśli wykreowanego aktem woli. ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

GRA W DURNIA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Telewizyjne wiadomości to śmietnik. Niektóre śmieci są posegregowane na polskie, zagraniczne, kulturalne… ale to nadal śmietnik – nawrzucali wszystkiego, co się wydarzyło w danym dniu.

Aby rozumieć, co się dzieje, należy ustawiać obok siebie informacje, które mają ze sobą jakiś związek, a nie polskie osobno, zagraniczne osobno… Poza tym czasami warto poczekać na jakieś kolejne wydarzenie z danej serii, aby zobaczyć, że to była SERIA i być może przez kogoś zaplanowana. Nie każdy news jest newsem w dniu, w którym się wydarza…

***

13 maja premier Tusk mówi do prezydenta Dudy, że nie będzie z nim konsultował żadnych kandydatów. Ja też uważam, że nie warto konsultować, skoro Duda nie może Tuskowi nic zrobić. W tej sytuacji Duda powinien zacząć myślenie od tego, co ewentualnie mógłby zrobić Tuskowi, a potem go o tym poinformować. Duda nie umie zrobić Tuskowi nic, natomiast odchodzący ministrowie Tuska wsławili się (cytat za TV Republika): rozbojem, niszczeniem mediów, odwoływaniem prezesów, dyrektorów, ambasadorów. Tak się robi skuteczną politykę w UE – najpierw Tusk nasłał swoich bandytów do wykonania brudnej roboty, a teraz ich wszystkich schowa za mocnym immunitetem w Parlamencie Europejskim. Na zakończenie Tusk poinformował, że to był czas rozbijania muru, a nadchodzi czas porządkowania.

Jeżeli mamy w Polsce jakąś opozycję, to ona stoi z rozdziawionymi ustami i się gapi, bo nie wie, co robić. Konfederacja kopie w stolik, jak obiecała w kampanii, ale stolik dalej stoi, jak stał, bo oni kopią pod stołem, siedząc przy tym stole – jak dzieci na obiedzie u nielubianej cioci Hołowni.

***

Poniżej seria informacji, które pojawiały się pojedynczo. Nie robiły wrażenia w formie rozproszonej. Gdy się je połączy… widać, jak z nami grają w durnia:

Radek Sikorski w Waszyngtonie powiedział, że wciąż jest możliwe, aby Ukraina wygrała z Rosją. Czyli powiedział coś zupełnie innego, niż podaje Pentagon: rosyjska armia jest teraz większa niż na początku wojny, a Ukraina w żaden sposób nie jest w stanie za tym nadążyć. Pentagon mówi do Amerykanów, Radek mówi do nas, i robi to z Waszyngtonu, aby wyglądało, jakby to Waszyngton do nas mówił. Dwie sprzeczne narracje.

Pod koniec lutego „Times of London" opublikował wyniki sondażu przeprowadzonego w całej Europie. Pytanie było proste: „Czy Ukraina jest w stanie wygrać wojnę?". Tylko 10 proc. badanych odpowiedziało „TAK". Władze nadal pompują pieniądze podatników w Ukrainę, pomimo że 90 proc. obywateli uważa zwycięstwo Ukrainy za nieosiągalne.

Kolejne informacje: Ukraina ma za mało żołnierzy aby wygrać. 70 tys. zginęło, kolejne 100 tys. jest z różnych powodów niezdolnych do walki. Ukraiński dowodzący sił zbrojnych poinformował 11 kwietnia, że Rosja wystawiła na front od 7 do 10 razy więcej wojska niż Ukraina. Trzy dni wcześniej gen. Ołeksandr Pawluk powiedział, że to nieważne, jakiej pomocy udzieli Ameryka lub Europa, bo i tak Ukrainie brakuje pół miliona żołnierzy. W tej sytuacji ukraiński parlament zaostrzył przepisy dotyczące poboru do armii, ale społeczeństwo stawia opór. Jest masa dekowników. Wielu ucieka za granicę. Polsat (w oderwaniu od powyższych wiadomości) podał: „Wyjechało 650 tys. mężczyzn w wieku poborowym. Średnia wieku żołnierzy w okopach to 40 lat".

Z ukraińskich źródeł wiemy, że oddziały frontowe domagają się systemu rotacyjnego – żołnierze chcą regularnie jeździć do domu i żyć normalnie. Ukraiński parlament powiedział NIE, co spowodowało duży spadek morale – w okopach siedzą panowie w średnim wieku, którzy nie chcą się bić.

Pentagon informuje: Moskwa odrobiła swoje wcześniejsze straty w sprzęcie i ludziach. Obecnie siły rosyjskie są o 15 proc. większe niż na początku wojny.

Putin rozpoczął V kadencję na Kremlu tak: Rosja nie zmieni kursu. Będzie uważać F-16 na Ukrainie za nośniki broni jądrowej. Przestawia swoją gospodarkę całkowicie na wojenną.

Pentagon zawiadamia, że rosyjska machina wojenna produkuje samodzielnie lub z pomocą Chin szokujące ilości broni i amunicji. W ocenie Pentagonu wszystkie wcześniej zniszczone czołgi zostały zastąpione nowymi. Władimir Putin przetrzymał wszelkie sankcje, a gospodarka Rosji ma się dobrze. Gdyby Pentagon mówił do Polaków, zostałby ruską onucą!

Z kolei Wołodymyr Zełenski nie radzi sobie z kolosalną korupcją – jego kraj jest rozkradany przez urzędników państwowych, członków rządu, wojskowych. Informował o tym magazyn „Time" w listopadzie zeszłego roku, cytując wypowiedź jednego ze współpracowników Zełenskiego: ludzie kradną, jakby miało nie być jutra.

Telewizja Polska podała 26 kwietnia kolejną informację bez kontekstu: „Ukraiński minister rolnictwa aresztowany". Przywłaszczył ogromny obszar gruntu i sprzedał za 7 mln dol. Z aresztu wyszedł za kaucją 2 mln dol. I znów jest ministrem.

W polskich mediach nie podaje się pewnych informacji wcale: wzrasta liczba Ukraińców, którzy uważają, że ta wojna jest przegrana, należy usiąść do rozmów pokojowych i negocjować warunki. Sondaż na ten temat przeprowadzono w styczniu 2023 r. i wówczas za zakończeniem wojny było 29 proc. badanych; w listopadzie było ich już 42 proc. Badań aktualnych nie znalazłem, ale przecież na Ukrainie nic się nie poprawiło, a tym bardziej na froncie; żołnierze w okopach nie zrobili się młodsi, dekownicy z zagranicy nie wracają – z tego należy wnosić, że teraz ponad połowa Ukraińców wolałaby dostać pokój w zamian za ziemię.

Na razie to nie oni decydują. Zełenski robi, co mu Joe Biden każe. W kwietniu roku 2022 Joe Biden powiedział, że celem tej wojny jest zmiana władzy w Moskwie. Ten cel jest niewykonalny i oddala się z każdym dniem. Gdy ludzie giną w Strefie Gazy, Biden krzyczy: POKÓJ. Gdy giną na Ukrainie, krzyczy: WOJNA. ©℗

eprasa.pl 9062e47cf9

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

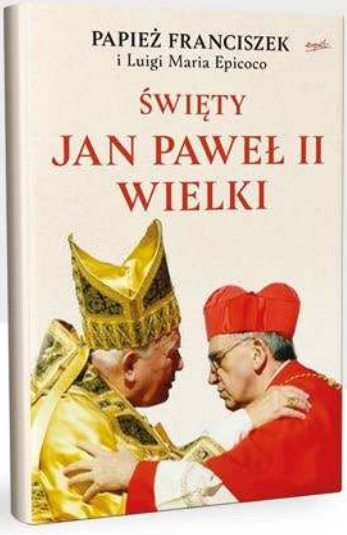

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAPIEŻ FRANCISZEK I KS. LUIGI MARIA EPICOCO:
„ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II WIELKI"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

489 ZŁ

234,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 255 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9062e47cf9

NARODOWY BANK POLSKI

STULECIE UTWORZENIA BANKU POLSKIEGO SA I WPROWADZENIA ZŁOTEGO DO OBIEGU

Srebrna moneta kolekcjonerska o nominale 1 zł

100. rocznica wprowadzenia złotego do obiegu

Metal: Ag 999/1000 ◆ Wymiary: 40,00 × 40,00 mm ◆ Masa: 28,28 g
Stempel: lustrzany, selektywne złocenie ◆ Brzeg (bok): gładki
Nakład: do 10 000 szt. ◆ Projektantka: Urszula Walerzak ◆ Emitent: NBP
Na zlecenie NBP monety wyprodukowała Mennica Polska SA

Narodowy Bank Polski niezależny od rządu i parlamentu oraz stabilna własna waluta są finansową podstawą rozwoju gospodarczego Polski i wzrostu dobrobytu jej obywateli.

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic i postaci oraz do rozwijania zainteresowań polską kulturą, nauką i tradycją.

Wartości kolekcjonerskie do nabycia w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym: KOLEKCJONER.NBP.PL

eprasa.pl 9062e47cf9